SIECI

MARIUSZ BŁASZCZAK ODPOWIADA NA ATAK: ODTAJNIŁEM DOKUMENTY, BY CHRONIĆ POLAKÓW

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE
7 (637) 2025
10-16 lutego 2025
CENA: 12,90 zł
(w tym 8% VAT)

TYLKO U NAS

CAŁA PRAWDA O WOŁYNIU

ODSŁANIAMY WSTRZĄSAJĄCĄ PRAWDĘ O ZAKŁAMYWANEJ PRZEZ LATA TRAGEDII POLAKÓW

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694
9 772544 269502 07
Numer w sprzedaży do 17 II 2025 r.

NARODOWY BANK POLSKI

Dbamy o wartość polskiego pieniądza

Złoto Polaków
450 ton złota

dla bezpieczeństwa polskich rodzin

450
ton złota

100
ton złota

2016 Wzrost rezerw złota w trakcie kadencji prof. Adama Glapińskiego **2025**

Polska z 450 tonami złota w rezerwach NBP znajduje się w światowej czołówce największych posiadaczy złota wśród banków centralnych, wyprzedzając m.in. Wielką Brytanię, Hiszpanię oraz Austrię i zbliża się do Europejskiego Banku Centralnego.

nbp.pl

eprasa.pl ddcc5e7c42

Tom Rose podczas rozmowy z Michałem Karnowskim, grudzień 2024 r.

Fot. wPolityce.pl

Teraz Tom Rose

W ubiegły czwartek w nocy nadeszła informacja, której polski świat polityki wypatrywał z dużym zainteresowaniem. Prezydent Donald Trump nominował nowego ambasadora Stanów Zjednoczonych w Polsce. Został nim Tom Rose.

„Thomas jest szanowanym biznesmenem i komentatorem, który przez prawie dekadę prowadził udany program radiowy w SiriusXM oraz pełnił funkcję wydawcy i dyrektora generalnego »The Jerusalem Post«. Zadba o to, aby nasze interesy były reprezentowane w Polsce i zawsze stawiał Amerykę na pierwszym miejscu" – napisał Trump na swoim portalu społecznościowym Truth Social.

Rose był też doradcą wiceprezydenta USA Mike'a Pence'a.

Nowy ambasador Stanów Zjednoczonych w Warszawie Thomas Rose jest dobrze znany widzom telewizji wPolsce24. Był gościem tej stacji kilkakrotnie, także w dniu wyborów w USA. Osobiście spotkałem go w grudniu ub.r. Na zaproszenie posła do Parlamentu Europejskiego Adama Bielana przyjechał na dni studyjne frakcji EKR w Warszawie. Obaj dobrze się znają. Rose był pod wrażeniem wystąpienie premiera Mateusza Morawieckiego, który z pasją mówił o konieczności przywrócenia konkurencyjności europejskiej gospodarki.

Tom Rose uczestniczył w moderowanym przeze mnie panelu na tej konferencji, potem rozmawialiśmy bezpośrednio przez półtorej godziny.

W zamierzeniu miał to być wywiad, ale role się szybko odwróciły. Rose był bardzo zainteresowany sytuacją w Polsce i naszym regionie. Przedstawiłem mu też polski punkt widzenia na wojnę na Ukrainie, podkreślałem kluczowe znaczenie utrzymania amerykańskiego wsparcia dla niepodległości naszego sąsiada, bezpieczeństwa całego regionu oraz postrzegania Ameryki jako mocarstwa.

To sympatyczny i inteligentny rozmówca. Wyczuwa się dziennikarskie i biznesowe doświadczenie, duże zainteresowanie światem, szerokie horyzonty. Nie jest ideologiczny, szuka racjonalnych rozwiązań.

Co ważne, w przeszłości Tom Rose publicznie bronił prawdy o polskim losie i bohaterstwie w czasie II wojny światowej: „Polski rząd nie tylko »nie brał udziału« w stłumieniu powstania w getcie warszawskim — polski rząd, odmawiając poddania się Hitlerowi, uciekł do Londynu, gdzie przyłączył się do aliantów, aby kontynuować walkę o wyzwolenie Polski i całej okupowanej Europy z nazistowskiego piekła" – napisał w internetowej dyskusji w 2019 r.

Ostatnio ironicznie komentował zabiegi europejskiej lewicy o „przywrócenie praworządności" w Polsce, które zaowocowały zainstalowaniem władzy Donalda Tuska i wiadomo jakim podejściem do prawa.

W rozmowie ze mną mówił o kluczowej roli Polski w regionie i wyborze, który przed nami stoi. Przestrzegał przed rezygnacją z samodzielności i rozpuszczeniem się w Unii, zwłaszcza takiej, która wypycha Stany Zjednoczone z Europy. W jego ocenie kończy się czas NATO, w którym amerykańska ochrona jest dla wszystkich za darmo. „Prezydent Trump chce silnych, niezależnych sojuszników. Sytuacja, w której tylko jeden partner sojuszu dysponuje realną siłą, nie jest sojuszem, tylko zależnością" – stwierdził. I dodawał: „Z perspektywy Donalda Trumpa Polska jest przykładem tego, jak powinno wyglądać prawdziwe partnerstwo". Rozumiemy zatem znaczenie amerykańskiego wsparcia, ale sami dajemy z siebie wszystko, by zapewnić ojczyźnie bezpieczeństwo, nie chcemy bezpieczeństwa za darmo, wyłącznie na koszt amerykańskiego podatnika. „Tym śladem powinny pójść inne państwa NATO i UE" – stwierdził.

Mocno dopytywał się o perspektywę wyborów prezydenckich. Niepokoiła go możliwość, że w ich wyniku Polska mogłaby zejść z dotychczasowej ścieżki.

Trzeba podkreślić, że wszystkie te słowa i opinie padły jeszcze przed nominacją na ambasadora, były zatem prywatne. To oczywiście nie pozbawia ich znaczenia. Sądzę, że Rose będzie ambasadorem aktywnym, życzliwym polskiej niepodległości, dalekim od ideologicznego zacietrzewienia poprzednika. Ale pozostanie oczywiście przedstawicielem Stanów Zjednoczonych i będzie pilnował interesów swojego kraju.

Michał Karnowski

Reklama | 01/0225/F

eprasa.pl ddcc5e7c42

SIECI spis treści

37 Sposoby na kryzys demograficzny
Rozmowa Doroty Łosiewicz

41 „Mamy czas do lata…”
Jan Rokita

57 W pogoni za sobą
Jolanta Gajda-Zadworna

NA POCZĄTEK

5 **SZANTAŻYŚCI W TOGACH**
Bronisław Wildstein

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **ŁYSO WAM?**
Dorota Łosiewicz

9 **KAMPANIA ZEMSTY**
Ryszard Makowski

10 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski

12 **KOMPAS BEZ IGŁY, CZYLI JAK URSULA VON DER LEYEN DRYFUJE PO MORZU ILUZJI**
Daniel Obajtek

13 **CUI BONO?**
Marta Kaczyńska-Zielińska

14 **WALIZKA JANUSZA DYBOWSKIEGO**
Michał Korsun

16 **CO NIE PODLEGA DYSKUSJI?**
Jan Pietrzak

16 **STRACH PRZED INTERNETEM**
Samuel Pereira

17 **ZIELONY ŁAD, CZERWONY ALARM**
Arkadiusz Mularczyk

TEMAT TYGODNIA

18 **O SYMETRII I RACHUNKACH KRZYWD**
Katarzyna Osowska-Wołos, Mariusz Wołos

KRAJ

26 **NIE ZRZEKNĘ SIĘ IMMUNITETU**
Z Mariuszem Błaszczakiem rozmawia Piotr Gursztyn

30 **PSYCHOKAMPANIA TRZASKOWSKIEGO**
Stanisław Janecki

32 **KRZYŻE Z KOPCA POWSTANIA WARSZAWSKIEGO W BRUDNYM MAGAZYNIE**
Stanisław Płużański

34 **NOWE BAJKI TUSKA**
Konrad Kołodziejski

37 **SPOSOBY NA KRYZYS DEMOGRAFICZNY**
Z Bartoszem Marczukiem rozmawia Dorota Łosiewicz

ŚWIAT

41 **„MAMY CZAS DO LATA…”**
Jan Rokita

44 **KAŻDEGO DNIA COŚ NOWEGO**
Z Timem Constantine'em rozmawia Michał Karnowski

47 **KATASTROFA NAD POTOMAKIEM OŻYWIŁA AMERYKAŃSKIE SPORY**
Marek Budzisz

50 **LEWICA POŻERA SIĘ SAMA**
Aleksandra Rybińska

52 **CZY AMERYKANON NALEŻY SIĘ CHIŃSKI KANAŁ PANAMSKI?**
Dariusz Matuszak

HISTORIA

54 **TAJNA MISJA PUŁKOWNIKA**
Z Filipem Frąckowiakiem rozmawia Grzegorz Górny

SIECI KULTURY

57 **W POGONI ZA SOBĄ**
Jolanta Gajda-Zadworna

60 **ZIEMIE ZACHODNIE OPOWIEDZIANE NA NOWO**
Maciej Walaszczyk

62 **KARTY SZATANA**
Robert Tekieli

63 **WOJNA CYWILIZACJI**
Robert Tekieli

64 **KOKTAJL KULTURALNO-POLITYCZNY**
Maciej Walaszczyk

GOSPODARKA

66 **KREDYT ZA DARMO**
Stanisław Koczot

PODRÓŻE

68 **MOJE SZLAKI: SALVADOR DALÍ**
Jolanta Gajda-Zadworna

KUCHNIA

69 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

70 **SPISAĆ SŁOWA I CZYNY**
Marek Pyza

71 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

72 **POLITPOPRAWNA SZCZEROŚĆ**
Aleksander Nalaskowski

73 **„BIĆ RUSKICH”: KIBICE, LIZUSY I CENZORZY**
Ryszard Czarnecki

74 **ANOMALIE ORAZ „ANOMALIE”**
Katarzyna Zybertowicz

eprasa.pl ddcc5e7c42

BRONISŁAW WILDSTEIN

Szantażyści w togach

W Polsce masowo uchylane są wyroki na najgorszych przestępców. Uwalniani od zarzutów są gangsterzy, mordercy czy gwałciciele. Ludzie, którzy na skutek oszustwa potracili swoje mienie, nie mogą go odzyskać, gdyż wyroki w ich sprawach zostały unieważnione. Podobno dotyczy to ponad tysiąca sądowych orzeczeń, ale ponieważ proces ten przyśpiesza, kiedy czytali będą państwo ten tekst, liczba anulowanych wyroków zasadniczo wzrośnie.

Dzieje się tak, gdyż pewna liczba sędziów, zachęcana przez rząd Tuska, nie chce uznać swoich mianowanych przez prezydenta Dudę kolegów, określając ich jako „neosędziów". Automatycznie unieważniają oni wyroki sądów, w których składzie znaleźli się ci, których nie akceptują.

W 2017 r. establishment sędziowski zakwestionował ustawę dopuszczającą władze ustawodawcze do większego udziału w wyłanianiu Krajowej Rady Sądownictwa. Liderzy środowiska ogłosili, że prawo to jest „niekonstytucyjne". Wprawdzie niezgodność ustawy z konstytucją według jej litery stwierdzić może wyłącznie Trybunał Konstytucyjny, ale elity sędziowskie nie uznały także jego nowego, wyłonionego przez sejmową większość składu. Zbuntowani sędziowie przy aplauzie dominujących ośrodków opiniotwórczych ogłosili, że to oni decydują, co jest „duchem konstytucji" i za niezgodną z nim uznali ustawę o KRS, gdyż na konkretny przepis trudno się im było powołać. No, ale przecież mówiły to „autorytety", z natury rzeczy lepiej znające się na prawie, które potrafią odkryć w nim niuanse niedostępne dla tego, kto jedynie dosłownie czyta zapisy.

Establishment sędziowski poparty został przez elity UE gotowe zrobić wszystko, aby utrącić PiS. TSUE jako niewłaściwe potępił zwiększenie wpływu polskiego Sejmu na skład KRS, choć w tym samym czasie nie znalazł niczego niestosownego we wskazywaniu sędziów przez premiera na Malcie.

W różnych krajach UE obowiązują odmienne modele wyłaniania sędziów. Nawet po reformie KRS wpływ polityków na mianowanie sędziów w Polsce jest radykalnie mniejszy niż np. w Niemczech. Ale co wolno Berlinowi...

Polska konstytucja mówi jednoznacznie, że (nieodwoływalnych!) sędziów powołuje prezydent. Nawet niechętne mu instancje europejskie uznają to i potwierdzają, że nie sposób sędziego pozbawić jego stanowiska. Polski establishment prawniczy nie bierze tego pod uwagę. Unieważnianie wyroków „neosędziów" jest uniemożliwieniem im sądzenia, a obecna władza próbuje to ustawowo sankcjonować.

W ciągu 10 lat prezydentury Duda mianował blisko jedną trzecią polskich sędziów, którzy działają w różnych składach. Można więc unieważnić ogromną liczbę prawnych orzeczeń pod pretekstem, że w zespołach, które je wydawały zasiadali „neosędziowie".

Sędziowski establishment nie uznaje również jakichkolwiek awansów w polskich sądach za czasów rządów prawicy. Rząd Tuska i jego sędziowie mogą więc unieważnić dowolny wyrok. Minister Bodnar odrzucił uchwałę Izby Karnej SN w sprawie nieprawnego mianowania nowego prokuratora krajowego dlatego, że „została podjęta przez nieuprawnione osoby". Osoby te były sędziami na długo przed dojściem PiS do władzy, ale... w trakcie jego kadencji awansowały. Nb. wcześniejsze orzeczenia tej Izby Bodnar akceptował. To stała praktyka rządu PO, który decyduje, które wyroki są prawomocne, a które nie i w ten sposób staje się najwyższą instancją sędziowską. „Autorytety" sędziowskie uznają to realne podporządkowanie wymiaru sprawiedliwości władzy wykonawczej.

Sędziowie, którzy unieważniają wyroki na groźnych przestępców, posługują się metodą szantażu i zastraszenia. Stawiają Polaków przed alternatywą: albo oddacie wymiar sprawiedliwości w nasze ręce, albo uniemożliwimy jego funkcjonowanie. Ten, który tworzymy, jest wprawdzie narzędziem panowania nowej oligarchii, prześladuje przeciwników politycznych i blokuje procesy demokratyczne, ale jednak choćby do pewnego stopnia pełni przypisane sobie funkcje.

Sędziowie, którzy angażują się w ten proces, łamią normy polskiej konstytucji i uderzają w fundamenty zachodniej cywilizacji. Za nic sobie mają zasadę nieusuwalności sędziów. Demonstrują obojętność na ludzkie tragedie i na elementarny sens sprawiedliwości. Dopóki ludzie tacy będą pełnili sędziowskie stanowiska i stanowili najsilniejszą grupę w tym środowisku, dopóty nie możemy marzyć o sprawiedliwym i dobrze funkcjonującym państwie.

Powinniśmy dokumentować wszystkie naruszenia prawa przestępców w togach i zrobić wszystko, aby wobec tych, którzy je popełnili, wyciągnąć najdalej idące konsekwencje włącznie z odpowiedzialnością karną. Pomagają oni przecież przestępcom uniknąć kary i uniemożliwiają ofiarom uzyskać zadośćuczynienie.

Najważniejsze jest jednak oczyszczenie polskiego wymiaru sprawiedliwości z szantażystów w togach. Trzeba zacząć planować to już dziś, bo zadanie jest trudne, a bez praworządności żadne państwo nie może dobrze funkcjonować.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl ddcc5e7c42

Sygnalista nadaje

Zaczynamy od najważniejszej sprawy w polityce polskiej, europejskiej oraz globalnej. Premier ***Donald Franciszek Tusk*** otrzymał placki od teściowej, o czym osobiście poinformował opinię publiczną. Jednocześnie szef rządu zakomunikował Polakom, że jego współpracownicy „męczą się z brukselskim, hotelowym śniadaniem", podczas gdy on mógł zjeść „placuszki, ulubione, od ukochanej teściowej". Analitycy zwracają uwagę, że premier nie podzielił się placuszkami ze wspomnianymi współpracownikami, w tym nawet z podsekretarzem stanu w KPRM Agnieszką Rucińską. W polityce to jasny sygnał – szef rządu krytycznie ocenia poziom swojego najbliższego otoczenia. – Nie ma wyników w pracy, nie ma placuszków – mówią nasze źródła.

Ze spraw ważnych, choć nie tak jak kwestia placuszków, odnotujmy ostrzeżenia premiera Tuska pod adresem agresywnej amerykańskiej soldateski wyciągającej pazury po Grenlandię. „Integralność terytorialna państwa członkowskiego UE jest bezdyskusyjna" – ostrzegł agresorów szef rządu. Wprawdzie Grenlandia, terytorium zależne Danii, jest poza Unią Europejską, ale słowa naszego premiera zmieniły rzeczywistość geopolityczną. Według ekspertów eskalacja konfliktu może przynieść ogromne straty reżimowi Donalda Trumpa. Rządzony przez premiera Tuska Tenkraj ma wiele narzędzi, które są w stanie powstrzymać działania awanturników z Waszyngtonu, a nawet doprowadzić do upadku ich kliki. „Administracja Trumpa zostanie sparaliżowana, jeśli Tusk uruchomi prokuraturę kierowaną przez Adama Bodnara. A w zanadrzu ma przecież komisję śledczą pani Sroki czy wreszcie Silnych Razem. Na koniec przecież Tusk może uroczyście unieważnić Trumpa. To opcja atomowa, ale też możliwa" – komentuje jeden z najwybitniejszych polskich OSINT-owców.

Stan Wojtka Czuchnowskiego stabilny. Ma zapewnioną opiekę ze strony przyjaciół: Tomków Lisa, Piątka i Wiejskiego, Dorotki Schnepfowej, Janka Pińskiego (to ten z przetłuszczonymi włosami), no i Bartoscha Wielińskiego. Ich stan też jest stabilny, identycznie jak u Wojtka.

Cieszymy się na unijny program FIT for 55. Ale jeszcze bardziej cieszymy się na CIC for 49. Nie wiecie, co to jest? To się dowiecie, zwłaszcza jeśli mieszkacie w obecnym lub byłym mieście wojewódzkim. Rząd przygotował ciekawą ofertę rozwojową dla tych ośrodków. Powstają tam centra integracji cudzoziemców (CIC), czyli placówki, dzięki którym miejscowa zaściankowa ludność będzie mogła poznać zwyczaje i tradycje ze wszystkich stron świata. Wszystko pod hasłem pięknych słów z hymnu zjednoczonej Europy: „Alle Menschen werden Brüder". Jedynym, co czujemy, jest niedosyt. Liczymy na to, że program CIC for 49 szybko przekształci się w CIC for 380, bo tyle przecież jest powiatów w Tymkraju. A potem CIC for 1020, tak aby każde miasto mogło zostać ubogacone kulturowo. I docelowo CIC for 2479, aby nie było gminy pozbawionej szans na poznanie innych kultur. Na to nie może zabraknąć pieniędzy. I nie zabraknie. Tymczasem zapraszamy do pierwszego wzorcowego centrum integracji cudzoziemców. Podajemy adres: Sopot, ul. Syrokomli 5.

Między Przemysławem Czarnkiem a ***Władysławem Kosiniakiem-Kamyszem*** wybuchła epicka

eprasa.pl ddcc5e7c42

wojna na plaformie X. Konflikt był o to, czy przedszkolaki stały na korytarzu swojego luksusowego przedszkola przed występem, czy w jego trakcie. Bez sztucznej inteligencji tego nie rozstrzygniemy. A ponieważ osoba poselska Zembaczyński zadecydowała, że Polska nie potrzebuje czipów, więc i tak nie będziemy w stanie tego rozstrzygnąć. Najważniejsze jest jednak to, że po półrocznej mozolnej i heroicznej pracy w miejsce starego, zniszczonego przez powódź przedszkola stanęło kontenerowe. I kto dalej będzie twierdził, że rząd Donalda Tuska nie potrafi budować z rozmachem? Szkoda, że afera z osobami przedszkolnymi przysłoniła fakt oddania do użytku tej niezwykłej budowli. Oprócz warszawskiej kładki oraz toalety w stołecznym parku Skaryszewskim jest to kolejny dowód, że uśmiechnięta Polska potrafi. Niewątpliwie miejsca te staną się punktami „must-see" przyciągającymi rzesze turystów. Także dewizowych.

W powyższej uroczystości otwarcia przedszkola Kontener-World ministrowi ***Marcinowi Kierwińskiemu*** towarzyszyła sekretarz stanu w KPRM Magdalena Roguska. Co widać na opublikowanych zdjęciach. *Sapienti sat*. Jedna rzecz nie daje nam jednak spokoju. Czy nie byłaby to wspaniała para prezydencka – Marcin i Magdalena? Co o tym myślicie? Niech złośliwe języki śpiewają piosenkę Grażyny Łobaszewskiej „Brzydka ona, brzydki on". A dla nas i tak liczą się tylko słowa z refrenu: „A taka ładna miłość, aż nierealna wręcz". Bo my tak jak Marcin i Magdalena popieramy politykę miłości pana premiera Tuska.

Zachęcamy do czytania ciekawej i jakże potrzebnej publikacji. Ukazał się „Warszawski poradnik dla Inuitów". Dobrze się złożyło w momencie, gdy przyjmiemy miliony osób uchodźczych z bratniej Grenlandii zaatakowanej przez amerykańskie onuce. Warszawski ratusz sprawnie kierowany przez naszego ***Rafała*** wydał „Poradnik empatycznej i skutecznej komunikacji". Dzięki niemu nawet najbardziej prawacki tępak dowie się, że nie mówimy do osób eskimoskich, że są Eskimosami, lecz Inuitami. W związku z tym, że istnieje wiele opcji płciowych, unikamy – co podkreśla autor poradnika – misdżenderowania. Czyli nazywamy osobę zgodnie z płcią, którą sobie życzy. Np. osoba inuicka upierająca się, że jest mężczyzną to Inuit. Kobieta to Inuitka, osoba innej tożsamości to Inuiszcze. Analogicznie: kretyn, kretynka, kretyniszcze itd.

Oczywiście prawacka ciemnota prędko tego nie zrozumie, dlatego nasz Rafał wykonał wspaniały slalom, aby zmylić pisiorów. Na podchwytliwe pytanie o to, ile jest płci, odpowiedział przebiegle: dwie biologiczne, zgodnie z obowiązującym prawem. Ale my wiemy, że ważniejsze są płci kulturowe, a tych na szczęście jest dużo więcej. Wiemy też, że obowiązujące prawo można zmienić. I o tym są te wybory. A wiecie, że Nawrocki nazywa Inuitów Eskimosami? Ktoś taki nie może być prezydentem Tegokraju!

Rafał też powiedział, że w rządzie premiera Tuska jest za dużo wiceministrów. Fajny trik, pisiory znowu się nabiorą i zagłosują na niego. Jest tylko obawa, żeby Rafał nie posunął się zbyt daleko w prawo w tej przedwyborczej krytyce naszej uśmiechniętej koalicji. Oczywiście wiemy, że to dla zmyłki, ale prawackie trolle to podchwytują i sieją propagandę w internetach. A te mimo obietnic i zapowiedzi nadal są otwarte dla każdego, kto chce w nich pisać. Niepokoi nas powolne działanie Brukseli i wicepremiera Gawkowskiego, który przecież obiecał, że tak skontroluje te wszystkie internety, że już żaden prawacki troll nie odważy się w nich pisać.

Słowa Rafała o wiceministrach dotyczą zapowiedzi zwolnień grupowych w rządzie. Ogłosił to sam premier Tusk. On zawsze ma rację, ale czasem się przejęzycza. Trochę podobnie jak osoba ministerska Niejaka-Nowacka (chociaż zgadzamy się z jej oceną działalności polskich osób nazistowskich). Mamy jednak nadzieję, że zapowiedź zwolnień też jest przejęzyczeniem. Przynajmniej zależy nam na tym, aby w rządzie pozostały ci członkowie i członkinie, które są jego intelektualną podporą. Muszą zostać osoby ministerskie i wiceministerskie takie jak Iza Leszczyna, Paulina Hennig-Kloska, Ula Zielińska. No i pan Dorożała, którego tak cenią myśliwi i rolnicy. PS Dlaczego ministrem nie jest pani Filiks? Przecież świetnie nadaje się do resortu kultury.

Ponieważ zwycięstwo Rafała uważamy za formalność (zresztą wybory są niepotrzebne, wystarczy, że premier napisze na platformie X, kogo uważa za prezydenta) to już dzisiaj zgłaszamy ważny wniosek. Order Orła Białego dla Magdaleny Sroki za zasługi w budowaniu prestiżu instytucji sejmowych komisji śledczych oraz wybitne osiągnięcia intelektualne. Magdalena Sroka jest naszą dumą, podobnie jak wiele innych osób członkowskich z tejże komisji. Dlatego postulujemy odznaczenie tych, którzy ofiarnie tam pracują: ordery Budowniczego Polski Uśmiechniętej dla Marcina Bosackiego i jego obecnej dziewczyny oraz Ordery Uśmiechu dla osób poselskich Zembaczyński i Jaskulski.

Fot. Andrzej Skwarczyński x2, Andrzej Wiktor, Liudmyla Skwarczyńska

eprasa.pl ddcc5e7c42

WIEŻA BAB

Łyso wam?

Absolutnym mistrzem okazywania pogardy wyborcom jest premier. To, co w ostatnich dniach wyprawia na platformie X, ociera się już o szaleństwo

Ależ rządząca koalicja gardzi Polakami! Przed wyborami Donald Tusk zapewniał, że będzie słuchać obywateli. O wsłuchiwaniu się w głos rodaków przekonuje także kandydat KO na prezydenta Rafał Trzaskowski. Z tym słuchaniem jednak jest pod górkę.

Koalicja, która miała słuchać Polaków, wyrzuciła właśnie do kosza 200 tys. podpisów obywateli pod projektem ustawy „Tak dla CPK". Podczas posiedzenia sejmowej komisji infrastruktury przedstawiciele koalicji głosowali za odrzuceniem społecznego projektu ustawy, który miał zobowiązywać władze do realizacji inwestycji Centralnego Portu Komunikacyjnego. Jest to ruch o tyle niezrozumiały, że Rafał Trzaskowski traci w kampanii argument o ambitnych planach rozwojowych Polski, po który ostatnio bardzo chętnie sięgał. Trudno to zrozumieć także dlatego, że do tej pory żaden projekt infrastrukturalny nie miał tak wielkiego oddolnego poparcia społecznego, co pokazuje rozbudzone ambicje Polaków i sen o rozwoju Polski. Sen, z którego rodacy zostali brutalnie wybudzeni przez polityków rządzącej koalicji. Ale przynajmniej PO realizuje jedną ze swoich przedwyborczych obietnic. Przecież Maciej Lasek zapewniał, że CPK nie powstanie i robi wszystko, by dotrzymać choć tego słowa.

Polakami musi tez gardzić minister klimatu Paulina Hennig-Kloska. Radio ZET ujawniło, że jej resort wysłał pismo do PKP z prośbą o znalezienie dla pani minister vipowskiej przestrzeni na dworcu w Gdańsku, by mogła tam poczekać na pociąg. Choć w budynku podobnie jak na innych polskich dworcach kolejowych nie ma takich saloników, urzędnicy ministerstwa mieli się domagać udostępnienia na potrzeby polityk pomieszczeń zajmowanych przez pracowników dworca. Minister tłumaczy, że bardzo lubi podróżować pociągami, bo może rozmawiać z wyborcami, a cała historia ma być wynikiem nadgorliwości urzędniczki ministerstwa. Nie pierwszy raz Hennig-Kloska zasłania się urzędnikami. Gdy zapowiadała niskooprocentowane pożyczki dla powodzian i wybuchł skandal, wówczas z pracą pożegnał się jej rzecznik.

Jednak absolutnym mistrzem okazywania pogardy wyborcom jest premier. To, co w ostatnich dniach wyprawia na platformie X, ociera się już o szaleństwo. Gdy GUS ogłosił dane o wzroście gospodarczym, Donald Tusk pytał przeciwników politycznych: „Łyso wam?". Jednak intarnauci od razu wytknęli szefowi rządu zwalnianych pocztowców, pracowników Rafako, górników, kolejarzy, PKP Cargo, branży automotive. Gdy prokuratura przygotowała akt oskarżenia w sprawie Funduszu Sprawiedliwości, Tusk wrzucił do sieci nagranie, na którym recytuje „Lokomotywę" Jana Brzechwy, ciesząc się z przyspieszających rozliczeń: „Najpierw powoli, jak żółw ociężale, ruszyła maszyna po szynach ospale. Szarpnęła wagony i ciągnie z mozołem, i kręci się, kręci koło za kołem. I biegu przyspiesza, i gna coraz prędzej" – czytał Tusk z kartki. Sęk w tym, że występ pana premiera bardziej pasuje do sytuacji związanej z paktem migracyjnym, który przyspiesza. Choć rząd twierdzi, że nie zostanie on wdrożony w Polsce, urzędnicy i przedstawiciele Komisji Europejskiej uważają, że nie ma innej możliwości. To naprawdę jest już rozpędzona maszyna, której nie da się zatrzymać: „I dudni, i stuka, łomoce i pędzi". A wszystko wbrew sondażom i woli większości społeczeństwa, które przy referendum dało się omamić i uwierzyło, że migracja to nie problem.

I wreszcie – gdy prezes TK Bogdan Święczkowski poinformował o skierowaniu do prokuratury zawiadomienia o możliwości popełnienia przestępstwa polegającego na zamachu stanu, szef rządu wrzucił na platformie X filmik pokazujący, jak gra w ping-ponga i nic sobie nie robi z dramatycznego chaosu w wymiarze sprawiedliwości, z tego, że SN podważa wyroki sądów niższej instancji, bo dopatrzył się w składzie tzw. neosędziego. A kryminaliści zacierają ręce.

Drodzy wyborcy Donalda Tuska, czy dziś nie jest wam łyso, że wybraliście sobie człowieka, który śmieje się wam prosto w oczy?

Dorota Łosiewicz

TRENDY I OWĘDY

Kampania zemsty

Opinie, że kampania prezydencka prezydenta Rafała Trzaskowskiego to jeden wielki mem dla beki, są zdecydowanie nieuprawnione. Przekaz jest spójny, klarowny i skrojony pod wyborcę latami wyselekcjonowanego przez „GW", TVN i inne Onety. Ten odbiorca potrzebuje kłamstwa, bzdury, kompletnych andronów, a przede wszystkim jak wampir musi nieustanie zaspakajać swój głód nienawiścią i pogardą. Nie jest przypadkiem, że akurat w tym środowisku furorę zrobiło osiem gwiazdek.

Ryszard Makowski

Teraz podstawowym źródłem satysfakcji dla tego podpinającego się pod inteligencję elektoratu ma być zemsta. I to nie taka byle jaka zemsta – to musi być dintojra w gangsterskim stylu. Musi dawać satysfakcję, że dopadliśmy tych, którzy starali się stworzyć lepszą Polskę. Budżet na 2020 r. miał być bez deficytu. Ale COVID-19, wojna na Ukrainie, sabotaż ze strony UE i na 2025 r. mamy blisko 300 mld deficytu.

Ale uwaga! Takie skojarzenia nie mogą zakłócić kampanii wiceprzewodniczącego PO. Okazało się, że PKB jest fantastyczne! Jak podaje portal www.fxmag.pl: „Rzetelne wyliczenie tego wskaźnika jest bardzo skomplikowane i rozciągnięte w czasie". Nie po to jednak wymieniono prezesa GUS, żeby się ociągać z dobrymi wiadomościami.

Nic nie wzmocni działań Rafała Trzaskowskiego tak jak procesy pokazowe na wzór najlepszych lat PRL. Ile uśmiechu gwarantuje pozbawienie dotacji partii wspierającej kandydata nazywanego obrazoburczo „obywatelskim"? Teraz trzeba odebrać immunitety co najmniej 50 posłom i senatorom PiS, na rynkach miast ustawić pręgierze z serduszkiem WOŚP i wygrana pewna.

POWOLNE MEDIA WEDŁUG MICHAŁA KORSUNA

SIECI

ISSN 2544-2694

www.SIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 255 93 32, (22) 255 93 33; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, JAROMIR KWIATKOWSKI, JAKUB MACIEJEWSKI, LECH MAKOWIECKI, RYSZARD MAKOWSKI, DARIUSZ MATUSZAK, ALEKSANDER NALASKOWSKI, MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, JAN PIETRZAK, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PIOTR SŁABEK, ROBERT TEKIELI, MACIEJ WALASZCZYK, BRONISŁAW WILDSTEIN, MAŁGORZATA WOŁCZYK, PIOTR ZAREMBA, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

FRATRIA grupa medialna

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO

PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA, MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK), ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL, LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOLIŃSKA, KATARZYNA LASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 14.00 – 16.00)
PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.SIECIPRAWDY.PL

WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA, W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT.: ANDRZEJ WIKTOR X 2, LIUDMYLA SKWARCZYŃSKA, SHUTTERSTOCK/ARTHUR KRAVTSOV, SULEIKA I, DANNYOLIVA, ARTEM GLUSHCHENKO

Zamów prenumeratę Sieci! Od 2 stycznia 2025 r. według nowego cennika

CENNIK PRENUMERATY*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
Krajowa	118 zł	207 zł	375 zł
Zagraniczna	296 zł	566 zł	1099 zł

**Dane do przelewu w stopce redakcyjnej*

eprasa.pl ddcc5e7c42

Łowcy nielegalnych imigrantów

W stanie Missisipi pojawiła się propozycja wynajęcia płatnych łowców nagród, którzy mieliby pomóc władzom w lokalizowaniu, zatrzymywaniu i deportacji nielegalnych imigrantów. Projekt poparł Matthew Barton, prokurator okręgowy hrabstwa DeSoto, którego zdaniem byłby to niezbędny element wsparcia działań administracji Donalda Trumpa zmierzających do uszczelnienia granicy.

Większość Amerykanów popiera plany masowych deportacji. „Legalna imigracja jest kamieniem węgielnym Ameryki, dlatego musimy zadbać o bezpieczeństwo naszych granic, a bezpieczeństwo mieszkańców Missisipi powinno być na pierwszym miejscu" – oświadczył prokurator, podkreślając, że w związku z nasileniem się działalności przestępczych karteli przemycających ludzi do USA sytuacja na granicach jest kryzysowa, a wydane przez Trumpa zarządzenia dają lokalnym władzom możliwość wspierania wysiłków podejmowanych przez władze federalne.

Justin Keen, były policjant, który zaprezentował projekt w stanowej Izbie Reprezentantów zapowiada certyfikację profesji łowców nagród przez Departament Bezpieczeństwa Publicznego, która obejmowałaby utworzenie programu szkoleniowego, licencjonowanie, a także utworzenie infolinii umożliwiającej zgłaszanie anonimowych informacji na temat przemytu ludzi. Propozycja przewiduje ustanowienie nagrody w wysokości 1 tys. dol. za każdą udaną deportację, a środki na nią mają zostać zagwarantowane przez władze stanowe.

Wcześniej podobne rozwiązanie zaproponowano w Missouri. Tam ściganiem osób podejrzewanych o nielegalne przekroczenie granicy zajmowaliby się agenci, którzy parają się niesolidnymi dłużnikami. Nowe przepisy miałyby również uniemożliwić nielegalnym imigrantom otrzymywanie świadczeń socjalnych, karty stałego pobytu oraz prawa jazdy.

Propozycje wywołały wielką dyskusję. Skrytykowały je organizacje broniące praw człowieka oraz niektórzy prawnicy. Inną sprawą jest fakt, że w czasie kadencji Joe Bidena nastąpił prawdziwy szturm na południową granicę Stanów Zjednoczonych. W ub.r. nastąpiła kulminacja, gdy fala nielegalnej migracji z Meksyku do USA wzrosła niemal trzykrotnie w porównaniu do 2023 r., osłabiając poczucie bezpieczeństwa obywateli i przyczyniając się m.in. do triumfu republikanów.

Maciej Walaszczyk

Władza ustępuje

Protestujący w Serbii odnieśli pierwszy sukces. Do dymisji podał się urzędujący premier Miloš Vučević, który od 2023 r. jest również przewodniczącym rządzącej Serbskiej Partii Postępowej i uchodził dotąd za następcę prezydenta Aleksandra Vučicia, którego druga kadencja kończy się w 2027 r.

Protesty rozpoczęły się po tragedii, do której doszło 1 listopada w mieście Nowy Sad. Zawalił się wówczas betonowy dach remontowanego kilka lat wcześniej dworca, co spowodowało śmierć 15 osób. Opinia publiczna oskarżyła wówczas rządzących o korupcję i nadmierną uległość wobec Chin (konsorcjum firm z tego kraju odpowiadało za fatalny remont). Te oskarżenia były o tyle uzasadnione, że z powodów propagandowych dworzec otwarto przed terminem, a władze odmówiły ujawnienia zawartych umów.

Obóz rządzący próbował rozładować napięcie – do dymisji podał się najpierw minister budownictwa, a następnie Milan Đurić, burmistrz Nowego Sadu. To jednak nie pomogło, bo opinia publiczna uznała te decyzje za niewystarczające. W ostatnich dniach protesty przybrały na sile, co miało związek zarówno z represjami wobec demonstrantów, jak i napaścią na nich „niezidentyfikowanych" osób z kijami bejsbolowymi. Pojawiły się wówczas oskarżenia, że rządzący wysłali przeciw protestującym uzbrojone bojówki, co jeszcze bardziej podgrzało sytuację.

Zdaniem komentatorów dymisja premiera Vučevića była przesądzona, bo zanim objął on dotychczasową funkcję, był prezydentem Nowego Sadu i podpisywał umowę z chińskimi firmami odpowiadającymi za remont dworca. Znacznie istotniejsza wydaje się jednak kwestia przyszłości prezydenta Vučicia, którego obóz polityczny wygrywał wszystkie wybory w Serbii od 2012 r., nie przejmując się licznymi oskarżeniami o fałszerstwa. Podczas wystąpień wzywał on do dialogu i pojednania, ale jednocześnie nazywał protestujących faszystami oraz agentami Kosowa i Chorwacji.

Protestów nie dało się w ten sposób ugasić i ostatecznie Vučić postanowił pójść na ustępstwa. Zapowiedział przeprowadzenie referendum w sprawie zaufania do siebie i zadeklarował ustąpienie z funkcji w razie przegranej, a także nakazał ujawnienie wszystkich dokumentów związanych z remontem dworca w Nowym Sadzie. Nie ma jednak pewności, czy te posunięcia nie okażą się spóźnione i zdołają uspokoić sytuację.

Marek Budzisz

eprasa.pl ddcc5e7c42

Szwecja

Zamordowany za bluźnierstwo

29 stycznia w swoim mieszkaniu w Sztokholmie został zastrzelony Salwan Momika, Irakijczyk mieszkający w Szwecji, który w 2023 r. dwukrotnie spalił publicznie Koran: przed stołecznym meczetem i ambasadą Iraku.

Na oba te akty otrzymał zezwolenie miejscowych władz, które przydzieliły mu ochronę policji. Korzystając z tego, Momika nie tylko spalił Koran, lecz także włożył między jego stronice plaster bekonu (mięsa ze świni, która dla muzułmanów jest zwierzęciem nieczystym), a następnie wyrwał niektóre strony i podeptał je. Działo się to 28 czerwca – w dniu, w którym muzułmanie na całym świecie obchodzą jedno z dwóch swoich najważniejszych świąt: Id al-Adha. Dokonując swego czynu, Irakijczyk mówił: „Mój problem nie dotyczy ksiąg Żydów, chrześcijan czy innych religii. Mój problem to księga, która namawia do przemocy: Koran". Szwedzkie władze, godząc się na jego publiczną demonstrację, uznały, że wolność słowa jest najwyższym prawem, nawet jeśli pociąga za sobą obrażanie wyznawców innych religii.

Podpalenie Koranu wywołało wówczas wiele międzynarodowych protestów, m.in. ze strony Iraku, Iranu, Jordanii, Maroka, Kuwejtu, Arabii Saudyjskiej czy Zjednoczonych Emiratów Arabskich. Utrudniło też wejście Szwecji do NATO, ponieważ blokowała je Turcja, której prezydent Recep Tayyip Erdoğan oskarżył władze w Sztokholmie o tolerowanie islamofobii. Przeciw Salwanowi Momice wszczęto więc śledztwo i 30 stycznia miał stanąć przed sądem. Dzień wcześniej został jednak zamordowany. W związku z tym rozprawę przesunięto na 3 lutego, a jako podsądny zjawił się Salwan Najem, inny Irakijczyk, który także publicznie spalił Koran. Został on skazany na dwa lata więzienia i grzywnę pieniężną. Wyrok nie dotyczył jednak bluźnierstwa ani obrażania uczuć religijnych, lecz podżegania do nienawiści rasowej, gdyż paleniu Koranu towarzyszyły poniżające i obelżywe uwagi na temat muzułmanów. Ponieważ Najem nie trafi za kratki (wyrok jest w zawieszeniu), nie może być pewny dnia ani godziny.

Grzegorz Górny

Fot. Shutterstock x4

Najdłuższa wojna w Afryce

Demokratyczna Rep. Konga

W Afryce przybiera na sile konflikt, który oprócz wojny na Ukrainie i Bliskim Wschodzie jest w tej chwili najkrwawszym starciem na świecie. Walki toczą się we wschodnich prowincjach Demokratycznej Republiki Konga, gdzie oddziały armii rządowej bronią się przed rebeliantami wspieranymi przez Rwandę.

W ostatnim tygodniu stycznia rebelianci z ruchu M23 zajęli liczące ponad 1 mln mieszkańców miasto Goma. Docierające z tego rejonu informacje mówią o zbrodniach popełnianych na cywilach oraz gigantycznej fali uchodźców liczącej kilkaset tysięcy ludzi.

Korzenie konfliktu tkwią w ludobójstwie, do którego doszło w Rwandzie w 1994 r., gdy członkowie plemienia Hutu dokonali rzezi Tutsi. Po zakończeniu walk w wielu Hutu schroniło się w sąsiednim Kongu (wówczas Zairze), gdzie stworzyli grupę powstańczą zwaną Demokratycznymi Siłami Wyzwolenia Rwandy (FDLR). Ich akcje doprowadziły do interwencji armii rwandyjskiej oraz wybuchu wojny na dużą skalę, która zakończyła się obaleniem zairskiego dyktatora Mobutu w 1997 r.

Rok później rozpoczął się kolejny konflikt, w którym uczestniczyło aż 9 państw afrykańskich oraz 25 grup zbrojnych. W trakcie trwających 15 lat walk zginęło 6 mln ludzi, a głównym polem bitwy stał się obszar wschodniego Konga. Region jest bogaty w surowce, takie jak kobalt, złoto i koltan, które są kluczowe dla światowego przemysłu. To bogactwo napędza niekończący się konflikt.

W 2012 r. Tutsi, którzy służyli wcześniej w rządowej armii kongijskiej, podnieśli bunt przeciwko władzom w Kinszasie, tworząc ruch rebeliancki M23. Początkowo bunt została stłumiony, ale w 2022 r. wybuchły kolejne walki, w których rebeliantów aktywnie wsparła armia sąsiedniej Rwandy. Oficjalnie rwandyjski rząd twierdzi, że działa w samoobronie, odpierając ataki Hutu. Jednak kluczowe są motywy ekonomiczne. Rwanda korzysta bowiem z zasobów surowcowych DRK. Na terenach kontrolowanych przez M23 wydobywa się cenne minerały, które według różnych doniesień są potem przesyłane do Rwandy, rafinowane i eksportowane na cały świat.

Każda grupa zbrojna we wschodnim Kongu kontroluje terytorium bogate w surowce. Władza rządu w Kinszasie jest na tych terenach fikcją. Rebelianci pobierają opłaty od górników i przemycają wydobyte przez nich minerały. Szczególnie cenny jest kobalt, używany w bateriach do telefonów i samochodów elektrycznych. Na terytorium DRK znajduje się 70 proc. światowych zasobów tego surowca. Wraz ze wzrostem globalnego popytu kontrola nad kopalniami jest więc warta miliardy dolarów. A także mnóstwo krwi, którą przelewa się tutaj od 30 lat.

Konrad Kołodziejski

eprasa.pl ddcc5e7c42

Kompas bez igły, czyli jak Ursula von der Leyen dryfuje po morzu iluzji

Po miesiącach rosnącego niezadowolenia w europejskim przemyśle i kolejnych sygnałach o spadającej konkurencyjności Unii na tle USA i Chin, Komisja Europejska postanowiła odpowiedzieć... kolejną deklaracją pełną sloganów, z których nic nie wynika. Bo oto zamiast realnego planu naprawy dostajemy kolejną porcję banałów o zielonej transformacji, innowacjach i strategicznej suwerenności, ale bez jakichkolwiek konkretów, skąd wziąć na to pieniądze i jak wzmocnić ledwo zipiący przemysł europejski. Punktem centralnym tej „strategii" pozostaje dogmat Zielonego Ładu. Jakby nic się nie wydarzyło, w Kompasie Konkurencyjności nadal bezrefleksyjnie utrzymano cele redukcji emisji na 2030 r., neutralność klimatyczną na 2050 i jakby tego było mało kolejny „ambitny" cel redukcji emisji o 90 proc. na 2040 r. Tak, dobrze państwo czytają. Gdy Europa nie ma pieniędzy na przeprowadzenie nawet połowy zapowiadanych reform, Komisja postanawia dalej zaciskać pętlę na szyi unijnych przedsiębiorstw. Bo nie dość, że europejski przemysł już dziś przegrywa z tańszą konkurencją z Azji i USA, to zamiast dać mu oddech, chce się mu dorzucić kolejne kosztowne obowiązki.

Każdy zdroworozsądkowy plan odbudowy przemysłu zaczyna się od pytania: jak to sfinansujemy? Niestety Kompas na nie nie odpowiada. Zdaje się, że Komisja Europejska zakłada, iż pieniądze na miliardowe inwestycje w nowe technologie i dekarbonizację znajdą się same – może wyrosną na unijnych polach obok ekologicznych farm wiatrowych? Nie ma mowy o nowych realnych źródłach funduszy wspierających przemysł, nie ma propozycji ulgi regulacyjnej, nie ma planu na tanią energię. Zamiast tego mamy kolejne wezwania do „mobilizacji środków prywatnych" – czyli niech przedsiębiorstwa same się martwią, jak to sfinansować, byle tylko zgadzały się unijne cele klimatyczne. To tak jakby powiedzieć komuś, kto ledwo wiąże koniec z końcem: „Zainwestuj w nowe technologie i modernizację, ale skąd weźmiesz na to pieniądze, to już twój problem".

Gdyby unijna biurokracja kiedykolwiek miała własny konkurs na największy zbiór pustych frazesów i życzeniowego myślenia, nowo ogłoszony przez Ursulę von der Leyen Kompas Konkurencyjności (Competitiveness Compass) z pewnością zdobyłby złoty medal

Oczywiście nie można zapomnieć o tym, że w kilku miejscach Kompas wspomina o konieczności wzmocnienia europejskiego przemysłu. Problem w tym, że brakuje nawet jednego konkretnego mechanizmu wsparcia. Nie ma niczego na wzór zapowiedzi prezydenta Trumpa, który realnie pompuje miliardy dolarów w rozwój amerykańskich firm. Najwyraźniej UE uznała, że może konkurować, nie oferując przedsiębiorcom żadnych zachęt ani ulg, a jedynie narzucając im kolejne zobowiązania klimatyczne. Zamiast zmniejszenia obciążeń, KE wciąż wierzy, że odpowiedzią na problemy europejskiej gospodarki jest... więcej tego samego. Bo po co zmieniać coś, co od lat nie działa?

Gdy Bruksela snuje kolejne fantasmagorie o zielonej konkurencyjności, firmy coraz chętniej uciekają z Europy. Giganci przemysłowi od producentów chemii po motoryzację przenoszą produkcję do USA, Azji i Ameryki Południowej, gdzie nie muszą się mierzyć z unijną biurokracją i horrendalnymi kosztami energii. Nawet Volkswagen, do niedawna wierny Zielonemu Ładowi, ostrzega, że dalsze podwyższanie kosztów produkcji w UE doprowadzi do trwałej utraty konkurencyjności sektora.

Gdyby Kompas Konkurencyjności był nawigacją w samochodzie, kierowca wpadłby do rowu na pierwszym zakręcie. Dokument, który miał wskazywać drogę do odbudowy europejskiej gospodarki, w rzeczywistości jest kolejną cegłą do jej upadku.

Daniel Obajtek

Fot. Archiwum autora

eprasa.pl ddcc5e7c42

Cui bono?

Marta Kaczyńska-Zielińska

Według niemieckiego MSW na styczniowym spotkaniu ministrów spraw wewnętrznych UE w Warszawie zapadła decyzja o przyspieszeniu wdrożenia paktu migracyjnego, który według oficjalnych planów ma wejść w życie w 2026 r. Zarówno unijny komisarz ds. migracji, jak i rzecznik niemieckiego MSW poinformowali, że nasz kraj nie jest z niego zwolniony. Przedstawiciele polskiej prezydencji w UE wyrazili pozytywną opinię na temat migracji, wskazując, że przyczynia się ona do wzrostu gospodarczego i niweluje niż demograficzny. Wcześniej premier Donald Tusk zapewniał, że nie będziemy musieli przyjmować relokowanych nielegalnych migrantów, ponieważ zapewniliśmy pobyt mnóstwu uchodźców z Ukrainy.

W ostatnim oświadczeniu dotyczącym paktu obecny premier zadeklarował, że Polska nie będzie implementować „żadnego paktu migracyjnego ani żadnego zapisu tego typu projektów [...]". Wbrew pozorom Donald Tusk nie wprowadził opinii publicznej w błąd. Zbiór przepisów prawa określanych mianem paktu migracyjnego to przede wszystkim rozporządzenia, które zgodnie z przepisem zawartym w art. 288 Traktatu o Funkcjonowaniu Unii Europejskiej są aktami prawa stosowanymi bezpośrednio. Dla ich wejścia w życie nie jest więc konieczne uchwalanie krajowych ustaw. Rozporządzenia unijne wiążą państwa członkowskie w całości i ze swej istoty nie wymagają implementacji. Jedynym sposobem na zakwestionowanie paktu migracyjnego jest skarga do TSUE albo zbudowanie siły politycznej w UE pozwalającej na przeforsowanie zmian w pakcie, tak żeby znieść niehumanitarną relokację, skoncentrować przepisy na wzmocnieniu granic i usprawnieniu deportacji nielegalnych migrantów.

Skorzystanie z klauzuli opt-out będzie trudne. Z pewnością pozycja negocjacyjna polskiego rządu byłaby mocniejsza, gdyby legitymował się opinią obywateli wyrażoną w ważnym referendum. Donald Tusk „uroczyście unieważnił" plebiscyt towarzyszący wyborom z 15 października 2023 r., a stacja TVN instruowała swoich widzów, jak skutecznie nie wziąć w nim udziału i tym samym obniżyć frekwencję warunkującą jego ważność.

PiS zbiera podpisy pod referendum w sprawie odrzucenia paktu migracyjnego. Polacy po raz kolejny będą mieli szansę wyrazić jednoznaczny sprzeciw wobec relokacji migrantów, uratować nasz kraj przed falą przestępczości oraz unicestwieniem przez zastąpienie kolejnych pokoleń dziećmi przybyszów obcych nam kulturowo i mentalnie.

Przykładem państwa zmagającego się ze zjawiskiem coraz bardziej zdecydowanej dominacji środowisk migranckich i pogarszającą się jakością życia jest m.in. Szwecja, w której w 2024 r. odnotowano 317 zamachów terrorystycznych, a w styczniu br. średnio każdego dnia miał miejsce zamach bombowy. Premier Szwecji przyznaje, że państwo nie ma już kontroli nad bezpieczeństwem swoich obywateli. Z kolei francuskie społeczeństwo opłakuje kolejny mord dokonany na niewinnym dziecku, 11-letniej dziewczynce w bestialski sposób zadźganej przez migranta.

Historia zbrodni dokonywanych przez nielegalnych przybyszów jest długa. Zanika poczucia bezpieczeństwa Europejczyków, co jednoznacznie świadczy o tym, jak wielkim błędem jest brak stanowczego sprzeciwu wobec lukratywnego dla zorganizowanych grup przestępczych procederu szmuglowania ludzi do Europy. *Cui bono*?

Okazuje się, że nie jest tak, iż nad Sekwaną dopiero w ostatnim czasie zaczęto odczuwać sprzeciw wobec nielegalnej migracji. W styczniu 2013 r. aż 70 proc. ankietowanych Francuzów stwierdziło, że w ich kraju jest zbyt wielu obcokrajowców. Elity polityczne pozostawały jednak niewzruszone. W latach 1997–2023 liczba nowych zezwoleń na pobyt wydawanych osobom spoza UE wzrosła we Francji o 175 proc. Jak to możliwe? Winić można zapewne wiele czynników odnoszących się do polityków, a także brak realnego pluralizmu mediów, które wywierałyby presję na rządzących. Pozostawanie w neoliberalnej lub, jak kto woli, lewackiej bańce przynosi opłakane skutki.

REKLAMA

12/0125/F

eprasa.pl ddcc5e7c42

Walizka Janusza Dybowskiego

operatora filmowego, absolwenta Łódzkiej Szkoły Filmowej, podczas pobytu w Australii członka prestiżowego Australian Cinematographers Society (ACS)

W mojej podróży przez życie towarzyszy mi rodzina i kamera, a nad wszystkim czuwa Bóg. Po ukończeniu szkoły filmowej pochłonęła mnie fabuła, bo wymaga kreacji, tworzenia klimatu przez zabawę ze światłem i cieniem, kolorem i kontrastami. Dlatego gdy reżyser Jarosław Rędziak zaprosił mnie do współpracy przy dokumencie, musiał poświęcić trochę czasu, żeby mnie przekonać. W trakcie zdjęć nie do końca czułem, w jakim kierunku to wszystko zmierza, więc całkowicie zdałem się na reżysera. Pewnego dnia podesłał mi minutową próbkę obrobionego już materiału „Oblicze Jezusa" i to mnie dosłownie ścięło z nóg. Padłem na kolana, zalewając się łzami. Biłem się w pierś, przepraszając Boga, że w pełni nie wierzyłem w ten projekt. A potem wszystko poszło już samo. Dokument ewangelizacyjny wstępnie planowany do Internetu trafił do polskich kin, a już niedługo pojawi się w amerykańskich. Potrzebowałem doświadczenia, jakim było otworzenie się na dokument, ponieważ nie byłbym w stanie należycie realizować najnowszego i najważniejszego projektu – fabularyzowanego dokumentu „Oblicze Boga Ojca". Ten wyjątkowy pomysł pojawił się podczas pielgrzymki do Medziugorie, kiedy w autokarze pod fotelem znalazłem broszurę pt. „Bóg Ojciec mówi do swoich dzieci" z orędziem przekazanym przez włoską zakonnicę Eugenię Elisabettę Ravasio. Używając słów pełnych czułości, Bóg Ojciec zapewnia o najprawdziwszej i bezwarunkowej miłości wobec ludzi. Równocześnie ubolewa z powodu zafałszowania jego wizerunku na Ziemi, który przedstawia go jako surowego sędziego, który ocenia, stawia warunki i straszy karą. Bóg Ojciec chce tylko, żeby każdy człowiek kochał go jak dziecko kocha ojca.

„OBLICZE BOGA OJCA"

Pokazanie prawdziwego oblicza Boga Ojca jest naszą misją, dlatego główną osią dokumentu są słowa wypowiedziane przez Stwórcę podczas objawienia matce Ravasio; jedynego, które zostało uznane przez Kościół. Ważny temat wymaga właściwej oprawy, dlatego w planach jest kręcenie zdjęć na kilku kontynentach, rozmowy z duchownymi, naukowcami, osobami, które otrzymały charyzmaty. Planujemy nakręcenie kilku scen fabularnych inspirowanych Pismem Świętym, które dopełnią siłę przekazu, a do współpracy chcemy zaprosić znanego amerykańskiego aktora, który nada produkcji odpowiednią jakość. Ten ambitny projekt już jest zrealizowany w ok. 50 proc., a przed nami jeszcze zdjęcia w Ziemi Świętej, Brazylii i USA. Szukamy funduszy, żeby obraz był na jak najwyższym artystycznym poziomie i miał światową promocję.

Fot. Janusz Dybowski, materiały promocyjne filmu „Oblicze Boga Ojca", RED Digital Cinema, ATOMOS Company

eprasa.pl ddcc5e7c42

MONITOR PODGLĄDOWY

Moja tajna broń. Dokładnie przez mnie skalibrowany daje mi możliwość bardzo precyzyjnej oceny ekspozycji i kolorów. Montuję go na aparacie w miejscu, gdzie tradycyjnie mocowana jest lampa błyskowa. Pięciocalowy podgląd daje mi spory komfort pracy we wnętrzach i na otwartym powietrzu.

LAPTOP MACBOOK PRO M3 PRO

Pracuję na oprogramowaniu DaVinci Resolve. Pasjonuje mnie praca z kolorem, dlatego zajmuję się również kolor-korekcją. Na plan filmowy zawsze zabieram ze sobą laptopa, aby już po pierwszych zdjęciach móc podziałać ze wstępną obróbką obrazu.

KAMERA #1

RED Weapon Dragon marki RED. To producent profesjonalnych kamer cyfrowych, dzięki którym powstało wiele wybitnych dzieł m.in. autorstwa Davida Finchera. Jest to moja główna kamera, którą zabieram ze sobą na większe plany filmowe.

MATKA BOSKA

Zawsze byłem maryjny, ale dopiero wizyta w Medziugorie sprawiła, że ta relacja z litanijnej stała się synowsko-matczyna. Nawet przy drobnych sprawach, np. siadając do montowania filmu, proszę o prowadzenie. Żyję w przekonaniu, że cokolwiek robi się w życiu, trzeba to zawiarzyć Bogu przez Maryję.

KAMERA #2

Sony Alpha A7 IV jest nie tylko znacznie lżejsza od REDa, lecz także nie wymaga całej ekipy, m.in. ostrzyciela. Ma rewelacyjnie działający autofocus, dzięki któremu kamera sama rozpoznaje twarz i wyostrza obraz. Dodatkowo jest bardzo czuła: doskonale widzi w ciemnościach, co świetnie sprawdza się przy filmach dokumentalnych.

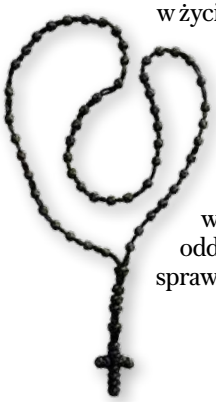

RÓŻANIEC

Mój nieodłączny towarzysz podróży. Zawsze mam go przy sobie w kieszeni. Lubię usiąść tam, gdzie roztacza się cudowny widok i z różańcem w dłoniach oddawać Bogu przez Maryję sprawy całego świata.

OBIEKTYWY

Ponieważ przy dokumencie współpracuję z drugim operatorem, mamy wspólnie zestaw pięciu jasnych obiektywów stałoogniskowych oraz kilka zoomów.

LEKTURY

Wszędzie zabieram dzienniki duchowe mistyczki Alicji Lenczewskiej. „Świadectwo" oraz „Słowo pouczenia" treścią i stylem pasują do naszych czasów, zawierając konkretne wskazówki dotyczące współczesnych wyzwań. Bardzo bliski memu sercu jest również „Dzienniczek" św. Faustyny Kowalskiej, z którym zetknąłem się jeszcze podczas studiów. Zafascynowała mnie idea ufności, którą jak naczyniem można czerpać łaski z Bożego miłosierdzia.

KARTY PAMIĘCI

Kamera RED wymaga sporo dysków, z kolei przy Sony Alpha na jednej karcie o pojemności 256 GB można nagrać 4 godziny materiału jakości 4K. Dlatego 6 kart na planie daje duże poczucie bezpieczeństwa.

Wysłuchał i zapisał Michał Korsun

Osoby chętne do wsparcia realizacji „Oblicze Boga Ojca" prosimy o kontakt z producentką filmu Moniką Rędziak tel. 505 924 494

eprasa.pl ddcc5e7c42

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Co nie podlega dyskusji?

Jan Pietrzak

Kiedyś Donald Tusk powiedział, że zależność Donalda Trumpa od Rosji nie podlega dyskusji. Co to teraz dla nas oznacza? Możemy o tym dyskutować czy nie? Politycy codziennie wygadują wiele głupstw i nikt do tego nie wraca, bo szkoda czasu i atłasu, jak mawiał mój dziadek. Lecz w tym przypadku sprawa jest nie do ukrycia. Duży Donald został wybrany na prezydenta przez naród amerykański i ma zamiar podyskutować z małym Donaldem, skąd się dowiedział o jego zwerbowaniu przez Rosję. Do Amerykanów dołączają ciekawscy Polacy, ponieważ w międzyczasie mały Donald stał się premierem kraju nad Wisłą popieranym przez unijne media. A my wszyscy ponosimy odpowiedzialność za jego poczynania. „To nie podlega dyskusji"!

Ale dyskutować można w chałupie, na zebraniu lub w mediach. Liczy się skala. Wolność słowa na podwórku ma inny zasięg niż wolność słowa w mediach narodowych. Więc przypomnijmy, że rząd im. 13 grudnia zaczął urzędowanie od zawłaszczenia Polskiego Radia i Telewizji Polskiej w sposób bezprawny i nielegalny. Chwała Bogu istnieją jeszcze miejsca w których można wyrażać dowolne poglądy, takie jak telewizja wPolsce24, TV Republika, lecz daleko do równowagi. Dominacja kłamstwa jest przerażająca. Przypadek z ostatnich dni: ministerka udająca magisterkę. Feministki ustaliły, że należy mówić „magistra" wbrew językowej tradycji. Per analogiam sam duch języka, bez instrukcji genderystów, ustanowił, że mówimy „nauczycielka, dyrektorka", a nie ta nauczyciela, ta dyrektora... itp. Wracając do haniebnej ministerki bez magisterki, niechże ją wreszcie ktoś wyrzuci z rządu, bo przykro patrzeć na fizjonomię przynoszącą wstyd nie tylko marnemu rządowi, lecz także nam wszystkim. W skrócie: to nie jest fizys na kryzys!

Co dotyczy również ministry edukacji kłamiącej o polskich nazistach budujących obozy śmierci. To jest dużo grubszy skandal. Dotyczy bowiem milionów ludzi zamordowanych przez Niemców w czasie II wojny światowej (przed wojną było 36 mln obywateli w Polsce, po wojnie 24 mln). W Warszawie, w początkach PRL, umieszczono ok. 400 tablic upamiętniających likwidowanych tubylców. Były to tzw. tablice Tchorka. Zostało ich ok. 100. Jest na nich napisane, że to hitlerowcy zabijali polskich patriotów. Wygląda na to, że Niemców przy tym nie było. Konsekwentnie trzymajmy się tej formuły. Nie używajmy zakazanej nazwy „Niemcy", stosujmy formalnie zatwierdzoną „hitlerowcy". Jak to będzie wyglądać w druku: „Hitlerowscy ekolodzy chcą zablokować inwestycje na Odrze". „Hitlerowców nie interesuje 1000. rocznica koronacji Bolesława Chrobrego". „Hitlerowcy nie płacą za utrzymanie Auschwitz". „Hitlerowcy sabotują port w Elblągu" itp. Brzmi ciekawie i nie podlega dyskusji!

Strach przed internetem

Samuel Pereira

Kiedy polityk organizuje tajne spotkanie tylko po to, by powiedzieć swoim ludziom, że muszą więcej pisać w internecie, to znak, że coś jest nie tak. Donald Tusk zawezwał parlamentarzystów Koalicji Obywatelskiej i wygłosił im kazanie o roli mediów społecznościowych. Naciskał, żeby byli bardziej aktywni, bo jak sam przyznał, prawica dominuje w sieci. Dlaczego premier, który ma pod kontrolą większość mediów, tak bardzo boi się internetu? Bo to miejsce, którego nie da się kontrolować tak łatwo jak telewizji czy gazet. To tam obywatele mogą swobodnie komentować rzeczywistość, analizować decyzje rządu i obnażać polityczne manipulacje. Właśnie dlatego szef rządu wpada w panikę. Widzi, że mimo sprzyjających mu mediów tradycyjnych, to prawica ma przewagę w sieci.

Najciekawsze jest jednak to, co Tusk radził swoim politykom. Jeśli nie mają pomysłów na własne wpisy, powinni kopiować jego treści albo wrzucać komentarze innych polityków KO. Brzmi jak instrukcja obsługi internetowego trolla? Problem w tym, że taka strategia nie buduje autentyczności – a w sieci ludzie szybko wyczuwają fałsz.

Mało tego, okazuje się, że KO posiada aplikację śledzącą aktywność posłów w sieci. Tusk dostaje dokładne raporty o tym, kto ile publikuje, kto jest aktywny, a kto „zawala sprawę". Politycy KO mogą się więc czuć jak uczniowie pod czujnym okiem surowego nauczyciela, który sprawdza, kto odrobił pracę domową.

Premier zdaje sobie sprawę, że czasy się zmieniły. Nie wystarczy już wpływ na duże media, by kontrolować przekaz. Dziś ludzie sami wybierają źródła informacji i to właśnie w internecie toczy się prawdziwa debata. A nerwowe działania i instrukcje Tuska dotyczące wpisów jego polityków pokazują, że nie idzie ona po jego myśli.

Zamiast zajmować się realnymi problemami Polski, premier woli koncentrować się na budowaniu internetowej propagandy. Może liczy na to, że jeśli jego politycy zaleją sieć powielanymi hasłami, uda mu się przykryć niewygodne tematy? Tyle że internet to nie kontrolowana telewizja, tu rządowa narracja jest stale konfrontowana z rzeczywistością. A prawda ma to do siebie, że jest jak oliwa – prędzej czy później wypływa na wierzch.

eprasa.pl ddcc5e7c42

Zielony Ład, czerwony alarm

W ubiegłym tygodniu ulice Brukseli zapełniły się ludźmi, którzy na własnej skórze doświadczają skutków dogmatycznej polityki klimatycznej Unii Europejskiej. Protestowali hutnicy, metalowcy i pracownicy sektora motoryzacyjnego, w tym wielu Polaków z Małopolski i Świętokrzyskiego. Związkowcy z Solidarności przyjechali, by powiedzieć jasno: zielona ideologia niszczy europejski przemysł.

Polityka Zielonego Ładu, zamiast zapewnić Europie konkurencyjność, skutecznie ją demoluje. Pod pozorem troski o klimat Bruksela narzuca coraz bardziej wyśrubowane normy, które sprawiają, że produkcja w Europie staje się absurdalnie droga i nieopłacalna. Podczas gdy my dusimy się w gąszczu regulacji, Chiny i inne światowe potęgi triumfują, bo produkują panele fotowoltaiczne, baterie, samochody elektryczne – wszystko to, co nam każe się kupować. I robią to taniej, bo nie muszą przestrzegać tych samych zabójczych dla przemysłu norm środowiskowych.

Zachodnie elity zapatrzone w swoją utopijną wizję świata oczyszczają sumienia, ale nie powietrze. Zielone szaleństwo sprawia, że zamiast nowoczesnego przemysłu mamy dopłaty do własnej porażki w globalnym wyścigu. Bo jak można konkurować z krajami, które nie krępują się biurokratycznym gorsetem? Trump to rozumie, a Europa, jak widać, nie.

Ekologia jest ważna, ale czy walka o środowisko naprawdę musi oznaczać likwidację miejsc pracy i uzależnienie od chińskich dostaw? Dziś to właśnie Chiny zbierają owoce brukselskiej krótkowzroczności. Oni nie pytają, ile CO_2 wyemituje fabryka produkująca baterie do aut elektrycznych, bo liczy się dla nich rozwój i dominacja. Europa, zamiast iść tą drogą, potulnie zaciska sobie pętlę na szyi.

Brukselscy biurokraci uparcie popychają nas ku przepaści, usprawiedliwiając to koniecznością transformacji. Ale transformacja nie może oznaczać upadku! Jeśli nie zmienimy kursu, Europa niebawem stanie się skansenem, który będą podziwiać turyści z dynamicznie rozwijających się państw Azji.

Polska nie może się zgodzić na rolę biernego wykonawcy absurdalnych decyzji. Potrzebujemy polityki przemysłowej, która wzmacnia konkurencyjność, a nie ją niszczy. Zamiast ulegać szantażowi ideologicznemu, powinniśmy inwestować w nowoczesne technologie, rozwijać własną energetykę i dbać o to, by nasi pracownicy mieli gdzie pracować. Przyszłość Europy nie może się opierać na biurokratycznych mrzonkach, ale na sile realnej gospodarki.

Czas skończyć z samobójczą polityką Zielonego Ładu, zanim w pogoni za ekologiczną utopią całkowicie znikniemy z globalnej mapy przemysłu.

Arkadiusz Mularczyk

Jak na córkę „Falka" przystało

Z Amelią Czają, Matyldą z serialu „Na dobre i na złe", rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Liczyłaś, ile czasu spędziłaś na planie serialu „Na dobre i na złe"?

Amelia Czaja: Szczerze mówiąc, nie, ale myślę, że uzbierało się tego sporo. Kiedy dołączyłam do ekipy, miałam 7 lat.

Można powiedzieć, że ponad połowę swojego życia spędziłaś w Leśnej Górze. Jak ogląda się serial od środka?

To bardzo fajne uczucie. Poznałam działanie wielu rzeczy, które kiedyś mnie zastanawiały i ciekawiły jako dziewczynkę oglądającą telewizję. Zobaczyłam je od drugiej strony i ciekawość została zaspokojona.

Spotykasz się na planie ze znakomitymi aktorami, m.in. Aldoną Jankowską i Michałem Żebrowskim. Jak się z tym czujesz?

Poznałam ich jako dziecko i nie do końca zdawałam sobie sprawę z pozycji, jaką mają w zawodzie. Dla mnie Michał Żebrowski był ekranowym „Falkiem". Ale oczywiście jestem wdzięczna, że mogę pracować z takiej klasy aktorami.

Serialowa Matylda zdobywa teraz wiedzę w szkole pielęgniarskiej, a Amelia?

Uczę się w liceum, jestem w klasie maturalnej.

Co będzie po egzaminie dojrzałości?

Mam pewne plany, ale nie chciałabym zapeszyć. Poczekam do wyników matury. Na egzaminie będę zdawać rozszerzoną biologię i chemię. Jak na córkę „Falka" przystało.

Fot. ©Artrama, Karina Szymczuk

eprasa.pl ddcc5e7c42

O symetrii i rachunkach krzywd

Esej o stosunkach polsko-ukraińskich podczas II wojny światowej

eprasa.pl ddcc5e7c42

KATARZYNA OSOWSKA-WOŁOS

MARIUSZ WOŁOS

Na początku trzeba postawić kluczowe pytanie – na co liczyli liderzy ukraińskiego nacjonalizmu, podejmując decyzję o oczyszczeniu Wołynia i dawnej Galicji Wschodniej z osób innych narodowości ze wskazaniem na Polaków, również Żydów, Czechów, Ormian, a nawet tych Ukraińców, którym nie było po drodze z nacjonalistami?

GEOPOLITYCZNY ABSURD DECYZJI O LUDOBÓJSTWIE

Oczywiście pozbycie się „obcych" z ziem traktowanych jako odwiecznie ukraińskie było postrzegane przez ludzi takich jak Roman Szuchewycz w kategorii wartości dodanej. Przywódcy Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów (OUN) wiedzieli, że czystka etniczna będzie możliwa do przeprowadzenia tylko pod okupacją niemiecką. Tym bardziej że niemieckie garnizony były stosunkowo słabe i znajdowały się przeważnie w miastach. Mieszkańcy polskich wsi w przeważającej większości nie potrafili skutecznie się bronić, nie mogli też liczyć na wsparcie własnych oddziałów partyzanckich, których tam brakowało albo były bardzo słabe. Do tego wszystkiego Ukraińcy mogli liczyć na przychylność Niemców, którzy kierując się polityką rasową, nie mieli nic przeciwko mordowaniu jednych Słowian przez drugich. Wszystkie nacje słowiańskie uważali za podludzi (*Untermenschen*), nawet jeśli jednych wyróżniali bardziej niż innych.

Postawione wyżej pytanie ma szerszy kontekst. Po wiktorii stalingradzkiej, a tym bardziej po bitwie pod Kurskiem (5 lipca – 23 sierpnia 1943 r.) było jasne, że inicjatywa operacyjna na froncie wschodnim przeszła w ręce Armii Czerwonej. Wiadomo było zatem, że niebawem sowiecki walec przekroczy wschodnią granicę II Rzeczypospolitej ze wszystkimi konsekwencjami tego stanu rzeczy. Podstawową było zaś zainstalowanie na zdobytych terenach władzy sowieckiej. Jeśli liderzy ukraińskiego nacjonalizmu liczyliby na zatrzymanie się krasnoarmiejców na linii Zbrucza, czyli dawnej granicy polsko-sowieckiej, byliby naiwni. Byliby jeszcze bardziej naiwni, wierząc, że Józef Stalin podaruje im państwo ukraińskie, tak jak w 1941 r. liczyli na tego rodzaju podarunek od Adolfa Hitlera.

Doświadczenia z lat 1939–1941 były wymowne. Sowiecki dyktator zamierzał na stałe włączyć „zachodnią Ukrainę" do swojego państwa i mógł się co najwyżej zgodzić, aby miała ona pozorną autonomię w postaci Ukraińskiej Socjalistycznej Republiki Rad. Jakkolwiek było, na tych terenach rządziliby całkowicie zależni od Moskwy komuniści, co potwierdziły późniejsze wypadki. W takim państwie nie było miejsca dla ukraińskich nacjonalistów. Zresztą oni sami definiowali się jako wrogowie komunizmu i wszystkiego, co sowieckie. W oczach Stalina kolaboracja z Niemcami skazywała ich na niebyt.

Po co zatem podjęli decyzję o „oczyszczeniu" Wołynia i dawnej Galicji Wschodniej? Czy już w 1943 r. przewidywali, że wcześniej czy później dojdzie do III wojny światowej, a pokonany Związek Sowiecki cofnie się na wschód i byłe województwa południowo-wschodnie II Rzeczypospolitej zostaną oddane niepodległej Ukrainie? Jeśli tak, to naiwność liderów ukraińskiego nacjonalizmu była posunięta poza granice rozsądku. Jeśli zaś wierzyli oni, że po owej niedoszłej III wojnie światowej mocarstwa zachodnie zaproszą ich do stołu obrad, przy którym będą mogli stawiać warunki terytorialne, to takie nadzieje stanowiły zwykłą aberrację.

> Podczas rozprawy z Polakami na wielką skalę stosowano zasadę odpowiedzialności zbiorowej, bez najmniejszych skrupułów rozkładając ją na dzieci, kobiety i starców. W rzeczywistości nie chodziło bowiem o mityczne naprawianie historycznych krzywd, ale o czystkę etniczną, która miała być podstawą budowy niepodległej Ukrainy, uwolnionej od obecności przedstawicieli innych nacji

Abstrahujemy od oczywistego faktu, że współpraca sojusznicza między mocarstwami zachodnimi a Związkiem Sowieckim w latach 1941–1945 układała się bardzo dobrze, bo wspólnym celem było pokonanie III Rzeszy oraz Japonii. Wszystko to prowadzi do wniosku, że podjęcie decyzji o ludobójstwie na Wołyniu i w dawnej Galicji Wschodniej stanowiło po prostu geopolityczny absurd dyktowany zaślepieniem i nienawiścią do przedstawicieli innych narodów.

OFIARY LUDOBÓJSTWA

Prawdą jest, że akcją ludobójczą dokonaną w latach 1943–1945 objęto przede wszystkim Polaków, a także cudem ocalonych z Holokaustu Żydów. To jednak niepełny obraz. Liderzy ukraińskiego nacjonalizmu chcieli usunąć z Wołynia i byłej Galicji Wschodniej wszystkich nie-Ukraińców. Dlatego mordowano Czechów, którzy byli potomkami osadników z czasów Imperium Rosyjskiego i mieszkali głównie na Wołyniu. Zabijano Ormian, od wieków mieszkających na dawnych południowo-wschodnich kresach Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Z Żydami

Zdjęcia: IPN

eprasa.pl ddcc5e7c42

było inaczej. W latach 1943–1945 w dawnych południowo-wschodnich województwach II Rzeczypospolitej przetrwało ich już niewielu. Większość wymordowano wcześniej przy aktywnym udziale kolaborujących z Niemcami ukraińskich formacji militarnych i policyjnych. Stało się to przed walną rozprawą z Polakami. Usunięcie z terenów Wołynia i dawnej Galicji Wschodniej Żydów jako elementu obcego i niechcianego wychodziło naprzeciw planom ukraińskich nacjonalistów.

Liderzy ukraińskiego nacjonalizmu nie zdecydowali się natomiast na rozprawę z mniejszością niemiecką zamieszkującą wspomniane tereny, bo naraziłoby to cały ruch ukraiński na krwawy odwet ze strony III Rzeszy. Tej granicy nie przekroczono, kierując się instynktem samozachowawczym. Bez skrupułów mordowano natomiast Ukraińców, którzy stawali w obronie Polaków lub Żydów. To samo dotyczy Ukraińców z rodzin mieszanych, których stawiano przed koniecznością opowiedzenia się po stronie oprawców lub ofiar. Jeśli wybierali drugą opcję, ginęli. Dziś Ukraińców, którzy starali się pomagać ofiarom, zasadnie określa się mianem „sprawiedliwych".

Wszystko to łamie narrację obecną w ukraińskich publikacjach o wyrównywaniu historycznych krzywd z Polakami jako odwiecznymi gnębicielami narodu ukraińskiego, bowiem z nie mniejszą nienawiścią odnoszono się do innych narodowości. Trzeba dodać, że te historyczne krzywdy sięgają nawet średniowiecza i nowożytności z akcentem na gnębienie ukraińskiego chłopa przez „polskiego pana". Pomija się przy tym fakt, że owi „polscy panowie", nierzadko posiadający ruskie korzenie, w identycznym czy podobnym stopniu gnębili swych polskich poddanych.

Niespecjalnie podkreśla się też to, że w latach 1943–1945 na Wołyniu i w byłej Galicji Wschodniej nie było już „polskich panów", bo wcześniej rozprawili się z nimi Sowieci i hitlerowcy. Podobnie rzecz się miała z przedstawicielami wszelkich instytucji II Rzeczypospolitej: policjantami, leśnikami, nauczycielami, urzędnikami itd. Innym rachunkiem krzywd była przegrana z Polską wojna o Lwów i Galicję Wschodnią w latach 1918–1919. Wielu Ukraińców miało ją w pamięci przez długie lata. Za jeszcze inną historyczną krzywdę uważali oni podział ziem ukraińskich między II Rzeczpospolitą a sowiecką Rosję i Ukrainę dokonany podczas pertraktacji pokojowych w Rydze w latach 1920–1921 najpierw w postaci linii demarkacyjnej, a następnie granicy państwowej. Ukraińscy nacjonaliści oskarżali za antyukraińskie działania władz międzywojennej Polski wszystkich Polaków, także tych, którzy nie mieli na nie żadnego wpływu lub byli im przeciwni.

Podczas rozprawy z Polakami na wielką skalę stosowano zasadę odpowiedzialności zbiorowej, bez najmniejszych skrupułów rozkładając ją na dzieci, kobiety i starców. W rzeczywistości nie chodziło bowiem o mityczne naprawianie historycznych krzywd, ale o czystkę etniczną, która miała być podstawą budowy niepodległej Ukrainy uwolnionej od obecności przedstawicieli innych nacji.

Aby bliżej przyjrzeć się źródłom opisywanych wydarzeń, musimy cofnąć się na chwilę do międzywojnia i tragicznego września 1939 r. OUN została utworzona w 1929 r. w Wiedniu. Jednym z jej liderów stał się Stepan Bandera pochodzący z Galicji Wschodniej. Działalność OUN była wymierzona w instytucje państwa polskiego, a także w polskich sąsiadów mieszkających w południowo-wschodnich województwach II Rzeczypospolitej. W swej ideologii i programie była też

eprasa.pl ddcc5e7c42

organizacją antysowiecką. Ze względu na brak możliwości działania na terenie Związku Sowieckiego przez kolejną dekadę ostrze skierowano głównie przeciwko Polakom.

Od początku istnienia OUN podjęła intensywną akcję terrorystyczno-sabotażową, atakując posterunki policyjne, paląc dobytek należący do polskich sąsiadów, dokonując akcji ekspropriacyjnych. Wywołało to działania odwetowe w postaci tzw. pacyfikacji Małopolski Wschodniej w 1930 r. Dziś wydarzenia te są mocno eksponowane w ukraińskiej literaturze naukowej i publicystyce. Chętnie abstrahuje się przy tym od wyjaśnienia czytelnikom, że słowo „pacyfikacja" nabrało zupełnie innego znaczenia po doświadczeniach II wojny światowej, kiedy pod tym pojęciem kryły się akcje mordowania czy wywożenia mieszkańców miejscowości lub nawet całych regionów, jak choćby Zamojszczyzna.

W okresie „pacyfikacji Małopolski Wschodniej" uczyniono Ukraińcom wiele krzywd, ludzi bito i poniżano, stosowano odpowiedzialność zbiorową. W żadnym wypadku nie była to jednak akcja zakładająca wymordowanie ludności ukraińskiej na takim czy innym obszarze. Jej skutkiem był wzrost antagonizmu między Ukraińcami a Polakami, nawet jeśli skargi przeciwko Rzeczypospolitej skierowane do Ligi Narodów zostały oddalone.

Szybko znalazło to wyraz w terrorze o charakterze indywidualnym. W sierpniu 1931 r. ukraińscy nacjonaliści zabili w Truskawcu Tadeusza Hołówkę, człowieka bliskiego Józefowi Piłsudskiemu, o postępowych poglądach, który z przekonaniem dążył do polsko-ukraińskiego porozumienia. W czerwcu 1934 r. w centrum Warszawy zastrzelono ministra spraw wewnętrznych płk. Bronisława Pierackiego, również wybitnego przedstawiciela obozu władzy. Z badań przeprowadzonych niedawno przez dr. Jarosława Jakubowskiego wynika, że Pieracki także szukał dróg porozumienia z Ukraińcami. Wbrew pozorom nie był więc zamordystą, którego można było uznać za symbol twardego kursu wobec mniejszości ukraińskiej w Polsce.

Jeszcze jeden przykład. Krótko po zamordowaniu Pierackiego z rąk swoich rodaków zginął we Lwowie Iwan Babij, dyrektor ukraińskiego gimnazjum akademickiego w tym mieście i zarazem krytyk nacjonalizmu w wydaniu OUN. Co łączyło wszystkich tych ludzi? To, że stali pośrodku. Dla nacjonalistów najgroźniejsi są bowiem ci, którzy próbują budować mosty między zwaśnionymi narodami.

Podsycany przez nacjonalistów wybuch nienawiści do wszystkiego, co polskie, nastąpił podczas wojny obronnej 1939 r., niezależnie od tego, że duża część obywateli narodowości ukraińskiej zachowała wobec państwa polskiego zaatakowanego przez III Rzeszę i Związek Sowiecki postawę lojalną lub wyczekującą. Symbolem owej nienawiści były wydarzenia w Sławentynie w województwie tarnopolskim, gdzie we wrześniu 1939 r. zamordowano, najczęściej w okrutny sposób, ponad 50 Polaków, nie oszczędzając też „sprawiedliwych" Ukraińców. Inny przykład to rozstrzelanie w końcu września we wsi Pnikut w województwie lwowskim dowódcy 25. Pułku Ułanów Wielkopolskich płk. Bohdana Stachlewskiego, dziś postaci niemal zapomnianej. Tego rodzaju przypadków było dużo więcej.

Historycy wkładają wiele wysiłku w policzenie osób pomordowanych podczas ludobójczej akcji na Wołyniu i w byłej Galicji Wschodniej ze wskazaniem na wydarzenia lat 1943–1944. Nigdy nie poznamy liczby ofiar. Nikt ich dokładnie nie liczył, bo w ówczesnych warunkach było to niemożliwe. Nie mamy więc precyzyjnych statystyk. Sumowanie zawsze niekompletnych danych cząstkowych też nie ukaże pełnej skali zbrodni, choć wciąż pozyskujemy nowe źródła, by wspomnieć o tzw. archiwum dr Urszuli Szumskiej, która została zobowiązana przez struktury Polskiego Państwa Podziemnego do zbierania relacji od ocalonych i wszelkich innych materiałów na temat zbrodni. Pozostają zatem szacunki niemal zawsze dające możliwość manipulacji.

> Liderzy ukraińskiego nacjonalizmu nie zdecydowali się na rozprawę z mniejszością niemiecką, bo naraziłoby to cały ruch ukraiński na krwawy odwet ze strony III Rzeszy. Bez skrupułów mordowano natomiast Ukraińców, którzy stawali w obronie Polaków lub Żydów

Wedle obliczeń badaczy polskich na Wołyniu ukraińscy nacjonaliści i ich poplecznicy, skądinąd często sąsiedzi ofiar, wymordowali ok. 60 tys. Polaków. Na terenie byłej Galicji Wschodniej liczba ofiar śmiertelnych oscyluje między 35 a 40 tys. W sumie daje to ok. 100 tys. zamordowanych. Niektórzy polscy historycy podnoszą liczbę ofiar śmiertelnych do ok. 120 tys. Ta liczba jest podważana przez niemałą grupę badaczy i publicystów ukraińskich uważających ją za zawyżoną. Przyjmuje się, że w akcjach odwetowych przeprowadzonych przez Polaków na Wołyniu i w byłej Galicji Wschodniej zginęło ok. 10 tys. Ukraińców. Zwłaszcza w ostatnim czasie publicyści, dziennikarze i przedstawiciele mniejszości ukraińskiej w Polsce piszą o ok. 30 tys. ofiar ukraińskich. Strona ukraińska mieści w tej liczbie osoby zamordowane w latach 1944–1950 w granicach dzisiejszych Rzeczypospolitej, a zatem we wschodniej części Lubelszczyzny i Rzeszowszczyzny, na Pogórzu Przemyskim, w Bieszczadach, wreszcie w Beskidzie Niskim. Część polskich badaczy uważa, że są to dane zawyżone. Podkreśla się przy tym, że przedstawiciele strony ukraińskiej konsekwentnie dążą w ten sposób do znalezienia symetrii, zaniżając liczbę ofiar polskich i zawyżając statystyki ofiar ukraińskich. Ponownie abstrahujemy od faktu, że między szacunkową liczbą zamordowanych Polaków (100–120 tys.) a liczbą zamordowanych Ukraińców (nawet jeśli przyjmiemy ok. 30 tys.) do symetrii jeszcze bardzo daleko. Zwracamy natomiast uwagę, że takie dążenie to w gruncie rzeczy brnięcie w ślepy zaułek.

eprasa.pl ddcc5e7c42

O wiele ważniejsze jest następstwo faktów, niechętnie eksponowane w ukraińskiej literaturze. Polska akcja odwetowa była spowodowana falą mordów na Polakach dokonaną przez ukraińskich nacjonalistów i ich popleczników na Wołyniu oraz w dawnej Galicji Wschodniej, a nie odwrotnie. Z kolei mordy na terenach położonych na zachód od Bugu i Wisły nie poprzedzały rzezi wołyńskiej, ale miały miejsce później, kiedy znano już niektóre fakty i skalę ukraińskich zbrodni. Ofiary były po obu stronach, bo we wschodniej części Lubelszczyzny i Rzeszowszczyzny, na Pogórzu Przemyskim, w Bieszczadach czy w Beskidzie Niskim proporcje ludnościowe wyglądały inaczej. Nie były tak korzystne dla Ukraińców jak na Wołyniu i w byłej Galicji Wschodniej. Mieszkało tam znacznie więcej Polaków. Poza tym nie byli oni dotknięci inżynierią społeczną Stalina, czyli mordami i deportacjami przeprowadzonymi na wschód od Bugu i Sanu w okresie panowania sowieckiego w latach 1939–1941. Innymi słowy, na zachód od wymienianych rzek Polacy byli w stanie skuteczniej się bronić i atakować.

AKCJA „BUG–SAN"

Badając ludobójstwo na Wołyniu i w dawnej Galicji Wschodniej, historycy znacznie więcej uwagi poświęcają ofiarom śmiertelnym. Mniej miejsca zajmuje martyrologia tych, którzy cudem uratowali życie i pod wpływem tragicznych wydarzeń zostali zmuszeni do exodusu na zachód, właśnie za Bug i San. I w tym przypadku nie dysponujemy szczegółowymi danymi, znów możemy się posłużyć tylko szacunkami. A są one bardzo wymowne i godne przytoczenia. Wedle badań polskich historyków na Wołyniu zmuszono do ucieczki na zachód ok. 100 tys. osób, w większości narodowości polskiej. Dla dawnej Galicji Wschodniej liczby są większe, bo oscylują wokół 300 tys. wygnanych. W sumie daje to ok. 400 tys. osób, które ratując życie, uchodziły za Bug i San. Niektórzy czasowo znajdywali schronienie na terenach z przewagą ukraińską (np. z Wołynia po fali mordów przeprowadzonych latem 1943 r. uciekano do byłej Galicji Wschodniej, a dopiero później kierowano się na zachód).

Przytoczone wyżej szacunki są mniej więcej trzykrotnie większe od liczby osób wywiezionych na ziemie poniemieckie w ramach akcji „Wisła" (ok. 147 tys.). Polacy z Wołynia czy byłej Galicji Wschodniej uciekali, czym i jak się dało, nierzadko pokonując ogromne odległości na własnych nogach. Jeśli ktoś miał rodzinę albo znajomych na terenach, które wydawały się bezpieczne, mógł liczyć na jakieś lokum. Jeśli nie miał krewnych lub przyjaciół, szedł w nieznane. Wygnańcy tracili najczęściej wszystko, co najwyżej byli w stanie zabrać tyle, ile mieściło się do tobołków lub na podwody. Resztę dobytku, w tym domy i ziemię, musieli zostawić na pastwę losu. Tym samym tracono majątki gromadzone od lat, nierzadko od pokoleń. Ludzi odrywano od korzeni i pozbawiano ojcowizny. Ten tragiczny exodus był realizacją celu nakreślonego przez ukraińskich nacjonalistów. Po prostu tych, których nie uda się wymordować, należało zmusić do opuszczenia ziem odwiecznie ukraińskich na zawsze. Przestraszyć na tyle, aby nigdy nie chcieli tam powrócić.

> Wedle obliczeń badaczy polskich na Wołyniu nacjonaliści ukraińscy i ich poplecznicy, skądinąd często sąsiedzi ofiar, wymordowali ok. 60 tys. Polaków. Na terenie byłej Galicji Wschodniej liczba ofiar śmiertelnych oscyluje między 35 a 40 tys. Warto też pamiętać, że do ucieczki na zachód zmuszono ok. 400 tys. osób w większości narodowości polskiej

Należy przyznać, że ukraińskim nacjonalistom udało się to osiągnąć. Wypędzono ludzi złamanych, wypaczonych psychicznie do końca życia. Zachowali oni bowiem niewyobrażalne dla nas obrazy. Widzieli ukochanych bliskich przerzynanych piłami. Oglądali swoje jeszcze żywe maleńkie dzieci niesione na widłach przez Ukraińców jako symbole polskiego orła. Czy ktoś, kto widział coś takiego i słyszał krzyki najbliższych, jest w stanie potem normalnie funkcjonować?

Autorka tego tekstu niejednokrotnie słyszała od ocalonych przerażające zdania: „Miałam to szczęście, że moi bliscy zginęli od kuli" albo: „Byłoby mi lżej, gdyby moi zostali zastrzeleni". Zdania te pokazują, dlaczego zasadne jest używanie określenia *genocidium atrox* (ludobójstwo straszliwe/okrutne). Działy się tam bowiem rzeczy przerażające, których ludzka psychika nie jest w stanie unieść. Człowiek pozostaje okaleczony na zawsze. Ewidentnie jest ofiarą, którą powinniśmy ujmować w statystykach. Tymczasem z niewiadomego powodu pomijamy ich, bo przecież ocalili życie. Była to dopiero pierwsza faza ekspulsowania Polaków na zachód.

Paradoks historii polega na tym, że ukraińscy nacjonaliści dostarczyli Sowietom dodatkowe argumenty na rzecz wysiedlenia Polaków z terenów Wołynia i dawnej Galicji Wschodniej, czyli przeprowadzenia drugiej fazy ich ekspulsowania na zachód. Potwierdzają to dokumenty, w których możemy znaleźć informacje o nieuchronności wyjazdu naszych rodaków za Bug czy San, aby uniknąć zagrożenia ze strony ukraińskich nacjonalistów.

Oto przykłady zaczerpnięte z sowieckich dokumentów przechowywanych w Centralnym Archiwum Federalnej Służby Bezpieczeństwa Rosji. Pod datą 5 listopada 1944 r. zapisano relację Polaka z obwodu tarnopolskiego, który powiedział: „Krążą u nas pogłoski, że jakoby będą Polaków wywozić za San. Nieprzyjemnie wyjeżdżać na zimę, ale kto wie, czy banderowcy dadzą nam dożyć do wiosny". Pod datą 15 listopada 1944 r. znajdziemy inną relację z tego samego

eprasa.pl ddcc5e7c42

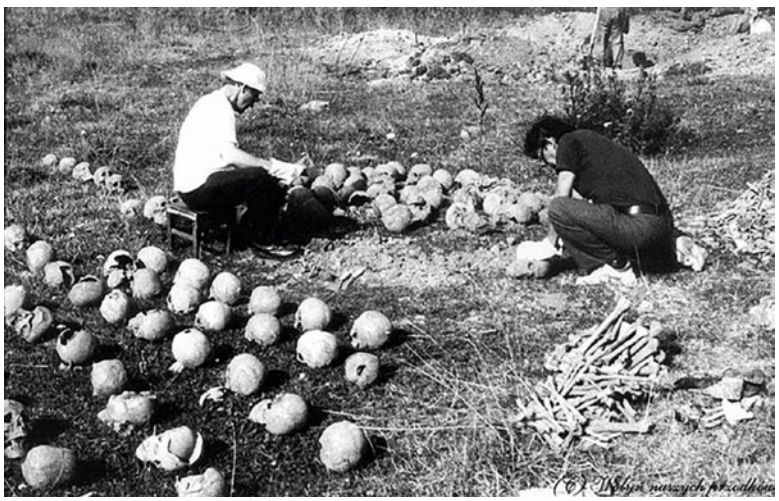

obwodu: „Banderowcy z każdym dniem nachodzą nas coraz częściej i każdej nocy dzieje się coś nowego. Wydaje mi się, że będziemy zmuszeni wyjechać stąd na zachód, bo tu nie można wytrzymać" (Забытый геноцид. „Волынская резня" 1943–1944 годов. Документы и исследования, Москва 2008, s. 59–60).

Tego rodzaju źródła, skrupulatnie zbierane przez sowiecką policję polityczną i przesyłane do Moskwy, stanowiły wodę na młyn dla uzasadnienia akcji z premedytacją nazwanej „repatriacją". Tymczasem nie była to żadna „repatriacja", ale wypędzenie, ucieczka lub wysiedlenie ludności polskiej z terenów, które zarówno ukraińscy nacjonaliści, jak i Sowieci uznawali za swoje. Słowo „repatriacja" to pojęcie propagandowe wpisujące się w sowiecką nowomowę. Repatriować można bowiem tego, kto przybył niedawno na jakiś teren, a teraz ma wrócić z powrotem. Repatriantami byli tzw. bieżeńcy, którzy w 1915 r. pod przymusem władz carskich uchodzili z Królestwa Polskiego na wschód przed zbliżającymi się wojskami państw centralnych, a po traktacie ryskim z 1921 r. wracali z głębi Rosji do domów. Repartriantem nie był natomiast Polak, którego rodzina od pokoleń, niekiedy od stuleci, mieszkała na Wołyniu lub w dawnej Galicji Wschodniej. Był on wygnańcem zmuszonym do opuszczenia rodzinnych stron bez nadziei na powrót.

Akcja „Wisła" nie stanowiła rezultatu decyzji suwerennych i niepodległych władz polskich, choć tak starają się ją przedstawić niektórzy ukraińscy autorzy, widząc w niej główny element źle pojętej symetrii w „konflikcie polsko-ukraińskim". Decyzja o przeprowadzeniu tej operacji nie została podjęta przez demokratycznie wybrany polski parlament czy polski rząd funkcjonujący w warunkach swobody politycznej. Odpowiedzialność za nią ponoszą polscy komuniści oraz ich sowieccy towarzysze, choć odsłonięcie mechanizmu decyzyjnego i roli Moskwy w tym procesie wciąż pozostaje wyzwaniem dla historyków. Jego kompletne wyjaśnienie będzie możliwe dopiero po uzyskaniu pełnego dostępu do sowieckich dokumentów w Moskwie, Archiwum Prezydenta Federacji Rosyjskiej i archiwum policji politycznej.

Akcja „Bug–San" była tymczasem efektem zamierzonych działań liderów ukraińskiego nacjonalizmu, takich jak Roman Szuchewycz czy Dmytro Kłaczkiwski. Wyrazem tego było znane hasło Ukraińców – „Lachy za San". Komuniści, którzy podejmowali decyzję o przeprowadzeniu akcji „Wisła", nie stoją w Polsce na cokołach. Ale osoby odpowiedzialne za dalekosiężne skutki akcji „Bug–San" są dziś na Ukrainie otaczane czcią. Mają swoje pomniki, ulice, muzea. Chcielibyśmy szczególnie podkreślić tę różnicę, raz jeszcze zwracając uwagę na kolejność wydarzeń.

Między akcjami „Bug–San" a „Wisła" jest więcej różnic. W odniesieniu do tej drugiej dysponujemy całą serią rozkazów i dokumentów wykonawczych pochodzących od władz komunistycznych w Polsce. Nie mamy tak precyzyjnych ukraińskich dokumentów o planach wygnania Polaków z Wołynia i byłej Galicji Wschodniej. Są natomiast liczne źródła pośrednie.

Znów przykład. W tajnej dyrektywie terytorialnego dowództwa Ukraińskiej Powstańczej Armii (UPA), zbrojnego ramienia OUN odłamu banderowskiego, dla obszaru obejmującego Wołyń (kryptonim „Piwnycz") podpisanej przez Kłaczkiwskiego napisano: „Powinniśmy przeprowadzić wielką akcję likwidacji polskiego elementu. Przy odejściu wojsk niemieckich należy wykorzystać ten dogodny moment dla zlikwidowania całej ludności męskiej w wieku od 16 do 60 lat. [...] Tej walki nie możemy przegrać i za każdą cenę trzeba osłabić polskie siły. Leśne wsie oraz wioski położone obok leśnych masywów powinny zniknąć z powierzchni ziemi" (cyt. za W. Filar, „Wołyń 1939–1944. Eksterminacja czy walki polsko-ukraińskie. Studium historyczno-wojskowe zmagań na Wołyniu w obronie polskości, wiary i godności ludzkiej", Toruń 2004, s. 99).

Zachowane w formie dokumentów wytyczne o dokonaniu ludobójstwa są w historii rzadkością. Przykładowo znamy treść rozkazu podpisanego przez Nikołaja Jeżowa o operacji polskiej NKWD przeprowadzonej w latach 1937–1938. To właśnie taki ewenement. Nie ma rozkazu Hitlera o zagładzie Żydów, ale nikt poważny nie neguje Holokaustu. Sama strona ukraińska nie kwestionuje decyzji Stalina o zagłodzeniu sowieckiej Ukrainy w latach 1932–1933, innymi słowy o Hołodomorze, choć do tej pory nikomu nie udało się odnaleźć pisemnej decyzji na ten temat. W pełni zresztą solidaryzujemy się z taką interpretacją.

Z kolei brak rozkazu o przeprowadzeniu ludobójstwa na Wołyniu i w dawnej Galicji Wschodniej jest dla części ukraińskich historyków, publicystów i polityków argumentem przemawiającym za podważaniem samego faktu genocydu. Na ten relatywizm zwrócił uwagę John-Paul Himka, kanadyjski historyk o ukraińskich korzeniach. Powtarzamy za nim tę istotną refleksję.

Reasumując, ofiarami ludobójstwa na Wołyniu i w byłej Galicji Wschodniej są nie tylko pomordowani, lecz także mniej więcej czterokrotnie większa grupa osób brutalnie zmuszonych do opuszczenia tych terenów i ucieczki na zachód w obawie przed dalszymi zbrodniami nacjonalistów ukraińskich oraz ich popleczników.

eprasa.pl ddcc5e7c42

Wypędzono ludzi złamanych, wypaczonych psychicznie do końca życia. Zachowali oni bowiem niewyobrażalne dla nas obrazy. Widzieli ukochanych bliskich przerzynanych piłami. Oglądali swoje jeszcze żywe maleńkie dzieci niesione na widłach przez Ukraińców jako symbole polskiego orła. Czy ktoś, kto widział coś takiego i słyszał krzyki najbliższych, jest w stanie potem normalnie funkcjonować?

PROBLEM EKSHUMACJI OFIAR LUDOBÓJSTWA

Pogrzeb jest trwale wpisany w polską tradycję. Pożegnanie i pogrzebanie zmarłego traktuje się u nas jak święty obowiązek żyjących. Jest on też elementem tradycji chrześcijańskiej. Długoletnie starania strony polskiej o ekshumacje i pogrzeby ofiar ludobójstwa na Wołyniu oraz w byłej Galicji Wschodniej przyniosły więcej niż mizerny efekt. Ukraińskie władze czynią wiele, aby nie doszło do ekshumacji. Te zaś, które się odbyły, napotkały piętrzące się problemy tworzone przez stronę ukraińską. W obliczu coraz bardziej stanowczo stawianego przez część polskich elit politycznych warunku zadośćuczynienia w sprawie ekshumacji ofiar ludobójstwa dla poparcia aspiracji Ukrainy w dążeniu do NATO i Unii Europejskiej, Kijów być może uczyni jakieś ustępstwa, ale na swoich warunkach i własnych zasadach. Innymi słowy, w najlepszym wypadku strona ukraińska będzie dążyć do tego, aby ekshumacji dokonywali sami Ukraińcy, co najwyżej przy biernej roli obserwatora zastrzeżonej dla Polaków. W tej ostatniej kwestii ugnie się tylko pod przymusem, dążąc zarazem do niemożliwego w praktyce oddzielenia ekshumacji od upamiętnień. Taki warunek już się pojawił. Także w tym przypadku Ukraińcy dążą do symetrii, abstrahując od skali polskich ofiar. Strona ukraińska domaga się bowiem upamiętnienia w Polsce członków UPA. Jest coś jeszcze.

Ukraińskie władze są świadome wieloletnich a nieskutecznych starań Turcji o wejście do struktur jednoczącej się Europy. Jedną z przeszkód było nierozliczenie ludobójstwa Ormian dokonanego przez Turków i Kurdów w latach 1915–1916. Rzecz jasna nie była to jedyna przyczyna tureckiej porażki, aczkolwiek dość istotna przy dużym zaangażowaniu diaspory ormiańskiej, która niestrudzenie przypominała światu o tragedii rodaków. Analogia do problemu ekshumacji polskich ofiar ludobójstwa jest tu uprawniona w tym sensie, że Turcy do tej pory mówią o konflikcie czy wręcz wojnie domowej między nimi a Ormianami, a nawet stawiają się w roli ofiar swoich ormiańskich sąsiadów, co jest mocno naciąganym argumentem. Warto dodać, że w 1991 r. strona sowiecka zgodziła się na przeprowadzenie przez polskich archeologów ekshumacji ofiar zbrodni katyńskiej. Kilka lat później w Katyniu, Miednoje i Charkowie powstały cmentarze będące zarazem upamiętnieniem ofiar.

Dlaczego zatem władze ukraińskie od kilku dziesięcioleci torpedują polskie starania o przeprowadzenie ekshumacji?

Po pierwsze, wydobycie doczesnych szczątków ofiar odsłoni nie tylko skalę dokonywanych zbrodni, lecz także ukaże niewyobrażalne okrucieństwo sprawców, nierzadko posługujących się siekierami, nożami, widłami czy piłami. Będzie to tym bardziej wstrząsające, że duży procent ofiar stanowiły dzieci, kobiety i starcy. Wynika to z zachowanych źródeł pisanych i dostępnych relacji świadków. Dzieci są tu jednym z najważniejszych elementów układanki, to one stanowią powód tak dużego oporu strony ukraińskiej. W dołach śmierci, na polach czy w studniach na terenie dzisiejszej Ukrainy leżą dziesiątki tysięcy trupów, w niemałej części dzieci. Niemowlęta, kilkuletnie maluchy, których najbardziej nienawidzili ukraińscy nacjonaliści, jako że były polskie. Umierały w strasznych bólach, często porzucane przez oprawców na długie godziny, aby konały w męczarniach. Nienawiść do dzieci była tak duża, że znane są przypadki mordów ukraińskich ojców na ich własnych pociechach zrodzonych z polskich matek.

Współcześni Ukraińcy wiedzą, że w momencie odkrycia grobów to właśnie te dzieci będą najtrudniejszym proble-

eprasa.pl ddcc5e7c42

mem do wytłumaczenia. Dziecko nie staje do walki. Ufa dorosłym, bawi się, śpi. Dzieci nie rozumieją polityki, jak zatem wytłumaczyć tezę o „konflikcie polsko-ukraińskim"? Mordowanie dzieci to jedna z najcięższych i najbardziej haniebnych zbrodni, jakich może dokonać żołnierz. Jak zatem uparcie trwać w micie wielkiej bohaterskiej armii, skoro ta paliła żywcem dzieci? Ukraińcy wiedzą, że wraz z odkryciem dziecięcych kości upadnie wiele mitów.

Te dzieci będą także największym wyrzutem sumienia dla Polaków, którzy sprawę ekshumacji oddalają argumentem, że ze względu na rosyjską agresję przeciwko Ukrainie i toczącą się wojnę to zły czas na podnoszenie sprawy ekshumacji. Trudno jest pozbyć się smutnej refleksji, że wraz z umacnianiem mitu o „gierojach" z UPA umiera obraz Rzeczypospolitej stającej w obronie najsłabszych. Jednocześnie znalezienie tytułowej symetrii będzie w takim przypadku o wiele trudniejsze, może wręcz niemożliwe. Na tę kwestię niejednokrotnie zwracali uwagę przedstawiciele środowisk kresowych, w tym śp. ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski. Nie jest to zatem nowa sprawa.

Po wtóre, pokazanie światu i własnej opinii publicznej okrucieństwa sprawców uderzy w mit OUN i UPA jako organizacji niepodległościowych walczących o wolność Ukrainy przede wszystkim ze Związkiem Sowieckim i rodzimymi komunistami. Będzie to miało dalsze konsekwencje, bo ugodzi w mit założycielski i „politykę historyczną" współczesnej Ukrainy. To groźne dla fundamentów państwa ukraińskiego właśnie ze względu na ich kruchość.

Po trzecie, władze ukraińskie obawiają się, że ekshumacje uruchomią lawinę roszczeń i żądań o odszkodowania ze strony rodzin lub spadkobierców ofiar. Przy dzisiejszych możliwościach (medycyna sądowa, bazy DNA) nie jest niemożliwe ustalenie do kogo należały wykopane z ziemi kości. Podobne obawy pojawiły się w latach 90. ub.w. i jeszcze na początku tego stulecia w Rosji w odniesieniu do ofiar zbrodni katyńskiej. Określenie jej mianem ludobójstwa wywoływało gniewne reakcje władz rosyjskich i oburzenie wielu Rosjan. Niżej podpisany miał okazję kilkukrotnie się o tym przekonać w trakcie rozmów z przedstawicielami rosyjskiej elity intelektualnej, rzecz jasna wyłącznie kuluarowych.

Ukraińcy żywią podobne obawy, choć nie mówią o tym głośno. Co więcej, nawet nie zadają sobie trudu, aby zapytać rodziny ofiar o zamiary. Tym ostatnim niekoniecznie zależy na materialnym czy finansowym zadośćuczynieniu. Chcieliby oni po prostu pogrzebać doczesne szczątki bliskich i spełnić wreszcie chrześcijański obowiązek. Jak widać, po obu stronach mamy zupełnie odmienne podejście do tej fundamentalnej sprawy.

* * *

W ostatnich latach sprawa ludobójstwa na Wołyniu i w dawnej Galicji Wschodniej stała się w Polsce powszechnie znana. Nabrała też większej wagi. Jest tak nie tyle z powodu badań prowadzonych przez historyków, ile podniesienia jej do rangi problemu politycznego w relacjach z Kijowem. Wykracza zresztą poza stosunki polsko-ukraińskie, jest bowiem wygodnym instrumentem antagonizowania Polaków i Ukraińców przez Rosję.

Samo określenie „rzeź wołyńska" należy traktować jako symbol martyrologii Polaków, którzy ucierpieli z rąk ukraińskich nacjonalistów i ich popleczników nie tylko na Wołyniu, lecz także w byłej Galicji Wschodniej oraz na terenach południowo-wschodnich dzisiejszej Rzeczypospolitej. Nasuwa się tu semantyczna analogia do zbrodni katyńskiej, która jest symbolem martyrologii Polaków w Związku Sowieckim podczas II wojny światowej.

W historii nie ma symetrii, to nie matematyka czy fizyka. Widoczne po stronie ukraińskiej dążenie do niej w rachunkach krzywd nie służy i nie będzie służyć pojednaniu obu narodów. Tak samo jak „anty-Katyń", sztucznie wykreowany przez władze sowieckie w końcu lat 80. ub.w., aby znaleźć przeciwwagę dla zbrodni katyńskiej nie służy wyjaśnieniu mrocznych kart przeszłości. Efektem będzie przerzucanie się przez obie strony historycznymi krzywdami, zwłaszcza liczbą ofiar, co prowadzi na manowce, a w badaniach historycznych tworzy idealne podglebie dla aprioryzmu.

Ludobójstwo na Wołyniu i w dawnej Galicji Wschodniej, zwłaszcza zaś ekshumacja ofiar, to również twardy orzech do zgryzienia dla niemałej części polskich elit politycznych oraz intelektualnych. Nie rozróżniają one lub udają, że nie rozróżniają dążenia do prawdy od antyukraińskich resentymentów. Stąd już tylko krok do formułowania oskarżeń o prorosyjską postawę każdego, kto domaga się ekshumacji i wyjaśnienia do końca okoliczności ludobójstwa w czasie, gdy Ukraina broni się przed agresją rosyjską. Chętnie szermuje się przy tym takimi określeniami, jak „ruska onuca" czy „narracja pisana w Moskwie". Tymczasem to nie takie proste.

Strona ukraińska była przeciwna ekshumacjom wiele lat przed agresją rosyjską. Konsekwentnie odrzucała też samo pojęcie ludobójstwa. Nie informowała własnej opinii publicznej o skali zbrodni i działaniach ukraińskich nacjonalistów przeciwko Polakom podczas II wojny światowej i po jej zakończeniu. Budowała mit OUN i UPA jako organizacji antysowieckich, stawiając ich członków w roli ofiar stalinizmu oraz bohaterów narodowych. To również droga donikąd.

Prawdziwe pojednanie Polaków i Ukraińców będzie możliwe tylko wówczas, gdy obie strony szczerze podążą drogą prawdy o tragicznej przeszłości. Tylko w ten sposób wytrąci się z rąk Rosjan instrument antagonizowania naszych narodów. Czym szybciej to się stanie, tym lepiej.

Pierwszym krokiem ku temu są ekshumacje zabitych w trakcie rzezi wołyńskiej prowadzone bez niedomówień i trudności piętrzonych przez władze ukraińskie. Muszą one iść w parze z upamiętnieniem ofiar. Jak bowiem wydobyć ludzkie szczątki bez uczczenia pamięci tych, do których należały?

***Katarzyna Osowska-Wołos**, historyk, pracownik Oddziałowego Biura Edukacji Narodowej IPN w Krakowie*

***Mariusz Wołos**, historyk, profesor doktor habilitowany, pracownik Instytutu Historii i Archiwistyki Uniwersytetu Komisji Edukacji Narodowej w Krakowie oraz Instytutu Historii im. Tadeusza Manteuffla PAN w Warszawie*

eprasa.pl ddcc5e7c42

Nie zrzeknę się immunitetu

eprasa.pl ddcc5e7642

Odtajniłem ten dokument z dwóch powodów – po pierwsze, żeby wstrząsnąć opinią publiczną i by nikt nigdy nie wpadł już na pomysł cofnięcia linii obrony na Wisłę. Po drugie, aby ujawnić prawdziwe intencje pierwszego rządu PO-PSL

Z Mariuszem Błaszczakiem, szefem klubu parlamentarnego PiS, byłym wicepremierem i ministrem obrony narodowej, rozmawia Piotr Gursztyn

Minister sprawiedliwości skierował wniosek o uchylenie panu immunitetu. Streszczając zarzut: jako minister obrony odtajnił pan dokumenty dotyczące planów obrony kraju, co miało przynieść szkody Siłom Zbrojnym RP.

Mariusz Błaszczak: Zacznę od jasnej deklaracji: bez wahania zrobiłbym to jeszcze raz. To był mój obowiązek. Polacy, szczególnie ci ze wschodu, mieszkający na wschód od linii Wisły, mieli prawo wiedzieć, jaki los szykował dla nich pierwszy rząd PO-PSL. Za tego gabinetu zwijano Wojsko Polskie, likwidowano jednostki, szczególnie te zlokalizowane na wschodzie kraju, i wprowadzono doktrynę realnej obrony Polski dopiero na linii Wisły. Przebudowaliśmy cały system obrony, tak aby broniony był każdy centymetr Rzeczypospolitej. Kiedy zmieniliśmy zasady, doszedłem do wniosku, że należy zdjąć klauzulę niejawności z części dokumentów historycznych zawartych w planach obrony. Odtajniłem ten dokument z dwóch powodów – po pierwsze, żeby wstrząsnąć opinią publiczną i by nikt nigdy nie wpadł już na pomysł cofnięcia linii obrony na Wisłę. Po drugie, aby ujawnić prawdziwe intencje pierwszego rządu PO-PSL. Nie mam sobie nic do zarzucenia. Nie zrzeknę się immunitetu, ale nie dlatego, że się czegoś boję. Nie zrzeknę się immunitetu, bo dzięki temu będę miał możliwość zabrania głosu na sali sejmowej. Patrząc prosto w oczy Tuskowi i Bodnarowi, powiem im, co myślę o tym, co szykowali Polakom na wschodzie kraju.

Przejdźmy do geopolityki. Donald Tusk powiedział, że „dla UE jako całości integralność terytorialna państwa, a szczególnie członka UE, jest czymś bezdyskusyjnym i będziemy ją traktowali jako najwyższy priorytet całej Wspólnoty". To wypowiedź w kontekście sporu między USA a Danią na temat Grenlandii. Co oznacza ta wypowiedź dla polskiej polityki obronnej?

Mój obóz polityczny zawsze traktował poszanowanie integralności terytorialnej oraz niezależności politycznej państw jako jedną z naczelnych zasad współistnienia pokojowego. Dlatego od początku przeciwstawialiśmy się odrodzeniu rosyjskiego imperializmu, którego przejawem były groźby użycia siły militarnej, a następnie jej faktyczne zastosowanie przeciwko Gruzji i Ukrainie. Opowiadaliśmy się przeciwko błędnej polityce resetu z Putinem. Przypomnę, że o poszanowaniu suwerenności mówił w 2008 r. śp. prezydent Lech Kaczyński podczas pamiętnego wystąpienia w Tbilisi. Słowa Donalda Tuska, podobnie jak wiele innych jego wypowiedzi dotyczących bezpieczeństwa międzynarodowego i wewnętrznego, należy traktować jedynie jako górnolotne frazesy zawodowego eurokraty, za którymi nie stoją konkretne działania. Trzeba też pamiętać, że Unia Europejska nie dysponuje odpowiednimi narzędziami i zasobami do reagowania na militarne zagrożenia. Parasol w tej kwestii zapewnia jedynie NATO. Wszelkie próby podzielenia odpowiedzialności za sprawy bezpieczeństwa militarnego pomiędzy Unię Europejską a Sojusz Północnoatlantycki skończą się *de facto* osłabieniem bezpieczeństwa w całej Europie.

Jest jeszcze jedna wypowiedź Donalda Tuska – że Polska już kupiła bardzo dużo uzbrojenia w USA, zatem „trudno, żebyśmy jeszcze więcej broni nabywali od naszych amerykańskich przyjaciół".

To skrajnie antyamerykańska wypowiedź. Godzi w bezpieczeństwo naszego kraju. Zapewne Tusk będzie robił wszystko, aby broń była kupowana głównie od Niemiec. Musimy pamiętać, że zamawiając sprzęt wojskowy, powinniśmy kierować się jego jakością i dostępnością, a nie osobistymi animozjami premiera wobec prezydenta Trumpa oraz jego sentymentem wobec Niemiec. Przede wszystkim powinniśmy rozwijać polski przemysł zbrojeniowy i dokonywać zakupów sprzętu, który jest dostępny w naszych zakładach. Jeśli jakiś rodzaj uzbrojenia jest u nas niedostępny, kupujmy go za granicą, ale kierujmy się przede wszystkim jakością i skutecznością. USA to największy producent najnowocześniejszego i najwyższej jakości sprzętu wojskowego na świecie. USA są także kluczowym gwarantem naszego bezpieczeństwa w ramach NATO. Dlatego doprowadziłem do podpisania polsko-amerykańskiej umowy o wzmocnionej współpracy obronnej, która stworzyła ramy dla dalszego zwiększania liczebności wojsk amerykańskich stacjonujących w Polsce. Obrażanie się na USA to działanie przeciw bezpieczeństwu Polski i zaprzepaszczanie wieloletnich działań mających na celu zwiększenie zaangażowania Waszyngtonu w gwarancje na rzecz naszego kraju.

Tu wraca zarzut, że za rządów PiS zakupy uzbrojenia były zbyt jednostronne – USA i Korea, a zaniedbanie zakupów krajowych oraz szczególnie brak zakupów w Europie.

W warunkach pełnoskalowego konfliktu, w którym uczestniczy nasz sąsiad, a także wobec neoimperialnej polityki Federacji Rosyjskiej, nie ma innej alternatywy dla zakupów

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl ddcc5e7c42

od państw dysponujących silnym przemysłem zbrojeniowym. Niestety większość państw europejskich już w latach 90. XX w., powołując się na tzw. dywidendę pokoju, zdecydowała się radykalnie zmniejszyć wydatki na obronność i przemysł obronny. Nawet wojna na Ukrainie mimo politycznych deklaracji nie doprowadziła do istotnego przewartościowania europejskiego podejścia do obronności, o czym świadczy wysokość wydatków poszczególnych państw na obronność w stosunku do PKB. O potencjale przemysłu obronnego może świadczyć tempo pozyskiwania przez Polskę czołgów Abrams i K2, które kontrastuje np. z tempem dostaw czołgów Leopard dla sił zbrojnych Węgier.

Nagłaśnia pan w mediach swoje stanowisko, że miniony rok był zmarnowanym czasem dla Wojska Polskiego.

Ta ocena opiera się na obiektywnych przesłankach. Praktycznie w każdym obszarze funkcjonowania sił zbrojnych panuje marazm. Na początku zmarnowano wiele miesięcy na podważanie wszystkiego, co udało się osiągnąć w wojsku w ciągu ostatnich ośmiu lat. Najważniejsze stały się wielomiesięczne audyty, rozliczenia i negowanie mojego programu rozwoju armii. Efektem było zahamowanie modernizacji technicznej, chociaż założenia większości umów zbrojeniowych zostały wypracowane za moich czasów. Kolejnym skutkiem jest niepełne wydatkowanie środków budżetowych na ten cel mimo różnych sztuczek księgowych. Obniżono dynamikę naboru do wojska, a praktycznie zahamowano proces tworzenia nowych jednostek wojskowych. Co istotne, minister Władysław Kosiniak-Kamysz nie zrealizował praktycznie żadnej ze swoich zapowiedzi. Nie ma m.in. nowej strategii bezpieczeństwa, dowództwa transformacji, komponentu wojsk medycznych ani ustawy o inwestycjach strategicznych. Zamiast dowództwa wojsk dronowych powstał inspektorat w ramach Dowództwa Generalnego, który nie ma realnych kompetencji. Z kolei Tarcza Wschód to działanie prawie wyłącznie propagandowe.

Co się dzieje z kontraktami na czołgi K2, armatohaubice K9 i wyrzutnie HIMARS?

To bardzo dobre pytanie. Na wschodzie trwa pełnoskalowa wojna. Generałowie otwarcie mówią, że eskalacja, w tym przeniesienie działań wojennych na nasze terytorium, jest realnym zagrożeniem. Z kolei politycy koalicji rządzącej deklarują, że priorytetem rządu jest bezpieczeństwo. Kontrastuje to z realnymi decyzjami dotyczącymi kontraktów zbrojeniowych służących budowaniu zdolności do odstraszania potencjalnego agresora. Dlatego szybko potrzebne są nam kolejne wyrzutnie HIMARS, armatohaubice K9 oraz czołgi K2. To nasza racja stanu. Podejrzewam, że te kontrakty niestety nie zostaną zrealizowane, gdyż Tusk chce doprowadzić do tego, aby środki były wydawane przede wszystkim w niemieckim przemyśle zbrojeniowym.

> Pozorowanie przez obecny rząd kierowania znacznych nakładów finansowych na obronność jest jedynie elementem prezydenckiej kampanii wyborczej. Po wyborach prawdopodobnie okaże się, że finanse publiczne są w tak złym stanie, że należy wprowadzić program oszczędnościowy, a źródłem środków finansowych stanie się MON

Pytanie o przyczyny: nieudolność, rozbieżności między koalicjantami odnośnie do wizji rozwoju, inne priorytety w sprawie rozwoju sił zbrojnych, chęć znalezienia nowych dostawców?

Moim zdaniem główną przyczyną tych działań jest niechęć Donalda Tuska do inwestowania w bezpieczeństwo. Przypomnę, że podczas poprzednich rządów PO resort obrony narodowej wielokrotnie zwracał do budżetu państwa środki przeznaczone na modernizację techniczną. Z kolei hasło „profesjonalizacji" wojska było podstawą do ograniczenia jego liczebności. Co więcej, zakładam, że pozorowanie przez obecny rząd kierowania znacznych nakładów finansowych na obronność jest jedynie elementem prezydenckiej kampanii wyborczej. Po wyborach prawdopodobnie okaże się, że finanse publiczne są w tak złym stanie, że należy wprowadzić program oszczędnościowy, a źródłem środków finansowych stanie się MON. Świadczy o tym m.in. opóźnianie kontraktów zbrojeniowych.

Oto wypowiedź wiceministra obrony Pawła Bejdy o bojowym wozie piechoty Borsuk: „Prace badawcze nad BWP Borsuk trwają 12 lat. Przy sytuacji za naszą wschodnią granicą należałoby się zastanowić, czy powinniśmy iść w prace badawczo-rozwojowe, czy skorzystać z licencji i doświadczenia innych państw i zacząć produkcję w Polsce". Jak pan ocenia te słowa?

Prace nad Borsukiem należy jak najszybciej doprowadzić do końca, a jednocześnie pozbyć się postsowieckich bojowych wozów piechoty. Jak widać, przez ostatni rok nie zrobiono nic w tym zakresie, a skala planowanej umowy jest kompromitująca. Natomiast wypowiedź wiceministra Bejdy jest interesująca z innych powodów. Po pierwsze, szkoda, że mimo wojny na Ukrainie sprawa ta stała się przedmiotem refleksji dopiero ponad rok po przejęciu władzy w resorcie. Po drugie, to właśnie wiceminister Bejda wielokrotnie krytykował mnie za zakupy gotowych rozwiązań zbrojeniowych

eprasa.pl ddcc5e7c42

za granicą. Pokazuje to, jak obecna koalicja rządowa upolityczniała i nadal upolitycznia kwestie obronności.

Drwił pan z zapowiedzi zamówienia „grubo" ponad 100 borsuków. Może przy polskich możliwościach finansowych i produkcyjnych nie da się więcej?

Nie ma alternatywy dla dużego zamówienia na borsuki. Przypomnę, że podpisałem umowę ramową na dostawę 1,4 tys. BWP Borsuk. Po pierwsze, takie są pilne potrzeby sił zbrojnych. Musimy szybko zastąpić wysłużone i nieposiadające zdolności na współczesnym polu walki pojazdy BWP-1. Tu nie ma na co czekać. Po drugie, tylko duże zamówienia dają gwarancję budowy zdolności produkcyjnych w polskim przemyśle obronnym. Przy małej skali zamówienia kosztowne inwestycje stają się pozbawione sensu. Dlatego też minimalizowanie zamówienia na nowy bojowy wóz piechoty jest kolejnym dowodem na to, że dla obecnej koalicji modernizacja wojska to tylko działania propagandowe.

Wysunięto zarzut, że pana umowa jest ramowa, a nie wykonawcza, czyli na zakup jedynie czterech sztuk. Dlaczego za rządów PiS nie było dużego zamówienia na borsuki?

W przypadku tego typu zamówień naturalne jest, że najpierw zawiera się umowę ramową, określającą skalę zakupów, a następnie dopiero umowę wykonawczą. Zawarcie tej ostatniej jest uzależnione od zdolności produkcyjnych dostawcy. Przypomnę, że gdy byłem ministrem obrony narodowej, w przypadku kontraktów koreańskich oba rodzaje umów, np. na czołgi K2, samoloty FA-50 czy wyrzutnie K239 Chunmu, były podpisywane w bardzo krótkich odstępach czasu. W przypadku Borsuka celem umowy ramowej było wskazanie potrzeb wojska i dostosowanie do nich potencjału polskiego przemysłu obronnego. Jednak gdy odchodziłem ze stanowiska w MON, prace nad umową wykonawczą były zaawansowane i gdyby udało się ją podpisać, obejmowałaby ona znaczną liczbę wozów.

Wróćmy do bulwersującej afery z podróżującymi minami przeciwczołgowi. Dlaczego doszło do takiej sytuacji?

Moim zdaniem znaczący wpływ na to ma niewystarczający nadzór cywilnego kierownictwa nad sytuacją w wojsku. Gdy byłem ministrem obrony narodowej, praktycznie co tydzień pod moim przewodnictwem spotykała się Rada Modernizacji Technicznej, w ramach której omawiane były wszystkie najważniejsze programy modernizacyjne. Odbywały się posiedzenia poświęcone wdrażaniu tzw. pakietu wzmocnienia, podczas których koordynowano działania związane z napływem sprzętu wojskowego, budową infrastruktury i szkoleniem wojska. Regularnie organizowałem odprawy z dowódcami związane z naborem do armii. Z otrzymywanych z ministerstwa odpowiedzi na interpelacje wiem, że tego typu odprawy nie są organizowane lub odbywają się na niższym szczeblu. MON to wiele instytucji i równoległych procesów, a więc również decyzji, które muszą zapadać na najwyższym szczeblu. Wiem, że teraz wiele obszarów funkcjonowania wojska znajduje się poza zainteresowaniem cywilnego kierownictwa. Dodatkowo bulwersujące jest to, że całą odpowiedzialnością za zdarzenie obarczono szefa Inspektoratu Wsparcia, który, co istotne, został odwołany wiele miesięcy po incydencie. Zresztą kierownictwo nie miało odwagi poinformować społeczeństwa o tej bulwersującej aferze – prawdopodobnie gdyby nie doniesienia prasowe w tej sprawie, jej okoliczności nigdy nie byłyby ujawnione. Warto przypomnieć, że odpowiedzialność za to zdarzenie powinien ponieść przede wszystkim szef neo-Służby Kontrwywiadu Wojskowego gen. Jarosław Stróżyk oraz komendant główny Żandarmerii Wojskowej. Kompletnie zignorowano ich odpowiedzialność. Jest tak dlatego, że ci szefowie są nominatami po linii politycznej i pozostają chronieni politycznie. To oni powinni przede wszystkim ponieść odpowiedzialność za to, co się stało z minami.

> Minister Kosiniak-Kamysz nie zrealizował praktycznie żadnej ze swoich zapowiedzi. Nie ma m.in. nowej strategii bezpieczeństwa, dowództwa transformacji. Zamiast dowództwa wojsk dronowych powstał inspektorat w ramach Dowództwa Generalnego, który nie ma realnych kompetencji. Z kolei Tarcza Wschód to działanie prawie wyłącznie propagandowe

Straszną rzeczą związaną z tą aferą jest samobójstwo kaprala, młodego żołnierza, który nie wytrzymał presji, a który raczej na pewno nie był winny tej sytuacji. Czy jako opozycja próbowaliście wyjaśnić tę sprawę w czasie posiedzeń sejmowej komisji obrony narodowej, za pomocą interpelacji, kontroli poselskiej czy innych narzędzi?

Skierowałem interpelację w sprawie tego samobójstwa do ministra obrony narodowej. Niestety odpowiedź, którą uzyskałem, podobnie jak większość tego typu korespondencji, którą otrzymuję z MON, była wymijająca. Wskazano w niej, że instytucją właściwą w tej sprawie jest prokuratura. Zabrakło jakiejkolwiek oceny przyczyn i uwarunkowań tego zdarzenia. Niedawno dowiedzieliśmy się o kolejnym tego typu przypadku i bulwersujących okolicznościach – według informacji prasowych targnięcie na życie miało być związane z przemocą psychiczną. Wszystkie te przypadki bardzo źle świadczą o tym, co się dzieje w wojsku, a w szczególności o cywilnym nadzorze sprawowanym przez kierownictwo resortu obrony narodowej.

eprasa.pl ddcc5e7c42

Psychokampania Trzaskowskiego

Prezydent Warszawy powtarza za swoim mistrzem Donaldem Tuskiem psychomanipulacje na podstawie treningu NLP

STANISŁAW JANECKI

Rafał Trzaskowski powtarza większość chwytów Donalda Tuska, które ten stosował w kampaniach parlamentarnych w latach 2007, 2011 i 2023. Przede wszystkim psychomanipulacje. W istocie Tusk był wynalazcą psychokampanii w polskiej polityce, będących wielką manipulacją albo sekwencją tego rodzaju poczynań w mniejszej, lecz szerszej skali, mających wprost prowadzić do zachowań i działań skrajnie negatywnych, także dla psychiki poddawanych temu osób. Manipulowanych w ten sposób, żeby agresję, odwet czy akty nienawiści traktowali jako swój obowiązek, a nawet powinność wobec całej wspólnoty czy po prostu Polski. Trzaskowski robi to samo, co Tusk, tylko w jeszcze radykalniejszej formie.

Kandydat Trzaskowski mówił w Starogardzie Gdańskim: „Wyobraźcie sobie, jakby ich zaprosić, tego pajaca Ziobro, co on by opowiadał, opowiadałby o tym, że on sobie pistolety kupił. Minister sprawiedliwości jest z Teksasu, który ma spluwę za paskiem, jak się pochyla. Przecież to się w pale nie mieści". Wskazywał w ten sposób na Zbigniewa Ziobrę jako kogoś, kogo wręcz dosłownie trzeba unieszkodliwić, gdyż jest niebezpieczny.

W psychomanipulacji posunął się więc nawet dalej niż Tusk. A trzeba brać pod uwagę, że tego rodzaju chwyty w kampanii prowadzą do skrajnego zniekształcania rzeczywistości, w dodatku są właściwie jedynym sposobem komunikowania się kandydata i jego zaplecza ze społeczeństwem. W ten sposób powstaje grunt do usprawiedliwienia negatywnych, agresywnych działań, np. ataków, nawet gdyby miały przybrać fizyczną formę.

WYSOKA REAKTYWNOŚĆ WROGA

Zanim dojdzie do ewentualnej agresji, a nawet przemocy wobec osób przedstawianych w psychomanipulacjach jako te, które powinno się bezwzględnie zwalczać, trzeba ukazać obiekt agresji jako kogoś bezwartościowego, zasługującego tylko na pogardę, pozbawionego racjonalności, odpowiedzialnego za wszelkie zło, będącego przeszkodą w zrealizowaniu świetlanej wizji przyszłości. Dlatego Trzaskowski mówił: „Minister sprawiedliwości, który krył, wszystko na to wskazuje, największe przekręty. I oni się nawet chyba tego nie wstydzą, oni się tym szczycą. Potem muszą uciekać albo na Białoruś, albo do Budapesztu". Trzaskowski wprost twierdził, że tacy jak Ziobro muszą uciekać za granicę, a jeśli do Łukaszenki, to byliby w istocie ludźmi białoruskiego dyktatora i jego patrona Putina. A skoro tak, to w widzach i słuchaczach, a także u sympatyków niebędących bezpośrednimi uczestnikami kampanijnych wydarzeń byłaby usprawiedliwiona nawet przemoc fizyczna

Fot. @Trzaskowski/2025/x.com, Shutterstock

eprasa.pl ddcc5e7c42

przeciwko komuś takiemu. Nieważne, że na Białoruś uciekł bohater kolegów Trzaskowskiego z Platformy Obywatelskiej, bo były sędzia Tomasz Szmydt w kwietniu 2022 r. był fetowany przez nich w Sejmie, gdzie przebywał na zaproszenie poseł Kamili Gasiuk-Pihowicz.

Wiele wskazuje na to, że Trzaskowski tak jak Tusk (po raz pierwszy w 2007 r.) przeszedł szkolenia z programowania neurolingwistycznego (NLP), w którym chodzi o tworzenie połączeń między myślami i zachowaniami, tak aby wpływać na postępowanie i decyzje innych ludzi. W psychokampanii posługującej się technikami NLP chodzi o to, żeby ludzie działali zgodnie z wolą Trzaskowskiego, a jednocześnie mieli wrażenie, że podejmowane przez nich decyzje należą do nich samych.

Autorzy i moderatorzy psychokampanii (w tym sam Trzaskowski) opierających się na psychomanipulacji zakładają wysoką reaktywność „wroga", prowokowanego i zmuszanego do tego, żeby się bronić. To pułapka, gdyż wszelka reaktywność jest przedstawiana jako dowód trafności, uzasadnienia i skuteczności ataków. Reaktywność przedłuża działanie konkretnej psychomanipulacji, a ta musi się pojawiać jako pierwsza interpretacja konkretnego wydarzenia. Trzaskowski ma zapewne (Tusk miał) zespół dostarczający mu wydarzenia nadające się do psychomanipulacji, a potem błyskawicznie publikowane choćby w mediach społecznościowych już z wymową podaną wedle reguł NLP. W ten sposób narzuca się narrację i zmusza wroga do reakcji, zdobywając przewagę, bo jest się pierwszym i wrzuca do obiegu zmanipulowanego gotowca, który potem staje się nie tylko powielany, lecz także wyostrzany oraz pozbawiany niuansów i zbędnych szczegółów. Żeby być młotem na przeciwników: do bezpośredniego zastosowania, a nie dzielenia włosa na czworo, co zawsze obniża poziom agresji czy nienawiści, a przecież chodzi o ich podnoszenie wraz z postępami kampanii.

FARMY TROLLI

Metoda psychomanipulacji Trzaskowskiego (wcześniej Tuska) nie jest doskonała, bo wystarczy nie reagować czy nie czekać na wrzutki kandydata Koalicji Obywatelskiej i jego wersję wydarzeń. Trzeba samemu wybierać zapalne wydarzenia, najlepiej wcześniej od rywala, i przekierowywać ich wymowę, co nie jest trudne, bo Trzaskowski posługuje się schematami. W ten sposób można w ogóle nie włączać się w narrację wiceprzewodniczącego PO. Ale nie zmienia to faktu, że psychomanipulacje znajdują podatny grunt wśród zwolenników Trzaskowskiego. Mogą też mącić w głowach osób niebędących jego sympatykami, gdyż pojawiają się w dużej liczbie w mediach, gdzie ta strona, którą reprezentuje Trzaskowski, ma zdecydowaną przewagę.

Psychomanipulacje są też wzmacniane przez wojownicze farmy trolli w rodzaju Silnych Razem czy Sieci na Wybory. Psychokampania jest skuteczna wtedy, gdy angażuje rywala i odbiera mu czas na prowadzenie własnej narracji, najlepiej wyprzedzającej. Ale to oznacza, że pracuje się całą dobę, czego oczywiście Trzaskowski nie jest w stanie wytrzymać, także fizycznie.

O tym, że kandydat KO na prezydenta przeszedł szkolenie w zakresie NLP, może świadczyć to, że często używa takich zwrotów, jak „wyobraźcie sobie, że", „wyobraźcie sobie, co by było, gdyby", „dobrze wiecie, że", „to prawda, że..., ale przecież" czy „spróbujcie pomyśleć, jak".

Największa zmiana w prowadzeniu kampanii przez Trzaskowskiego w porównaniu z tym, co robił podczas kampanii w 2020 r. dotyczy tego, co specjaliści NLP nazywają „swish pattern", a co polega na wyćwiczeniu pewności siebie. Najczęściej w ten sposób, że to, co niemiłe, jest automatycznie (wskutek treningu) przykrywane przez jakiś pozytywny odpowiednik.

Utrwalaniu pewności siebie służy też technika zwana linią czasu. Polega ona na rzutowaniu na przyszłość zebranych razem różnych stanów emocjonalnych z przeszłości. Gdy się ją wyćwiczy, wtedy to, co wkurzające i depresyjne przykrywa się tym, co miłe albo abstrakcyjne. Stosując technikę zwaną linią czasu, racjonalizuje się stany psychiczne z przeszłości, które sprawiały kłopoty albo tak ustawia narrację, by wszystko kończyło się happy endem. W takiej roli dla Trzaskowskiego optymalna byłaby np. linia czasu kończąca się jego wygranymi w ewentualnych debatach z kontrkandydatami, szczególnie z Karolem Nawrockim. Dlatego prezydent Warszawy będzie dążył do takich debat, zapewniając wcześniej, że główny rywal nie ma z nim żadnych szans. A gdyby konkurent odmówił dyskusji, będzie oskarżany o tchórzostwo i potwierdzenie, że nie ma widoków na wygraną w bezpośrednim pojedynku. Dlatego w wystąpieniach Trzaskowskiego i jego zaplecza tak mocno podkreślana jest tylko fizyczna sprawność Karola Nawrockiego, co ma dowodzić, że nie ma on żadnych innych argumentów, szczególnie intelektualnych. Nie to, co światowiec i poliglota Trzaskowski.

NIEBEZPIECZNY DLA POLSKI

Gdyby przeanalizować publiczne wystąpienia Rafała Trzaskowskiego, łatwo można rozpoznać takie efekty treningu NLP, jak „modelowanie", czyli wyobrażanie sobie przez niego jakiegoś wzoru, osoby czy postaci, a następnie jej przedrzeźnianie (Nawrocki, Ziobro). Można też zauważyć „systemy reprezentacji", czyli różne obrazy tego, do czego odnosi się kandydat i związane z tymi obrazami jego negatywne odczucia oraz skojarzenia. Najczęściej Trzaskowski stosuje tę metodę, mówiąc o Karolu Nawrockim.

Pomaga sobie również „przeramowaniem", czyli zasadniczą zmianą treści i sensu wypowiedzi. Najłatwiej jest to zauważyć w jego wypowiedziach odnoszących się do polityki Rosji i prezydenta Władimira Putina, a także w odniesieniu do polityki UE wobec imigrantów, Zielonego Ładu, „patriotyzmu gospodarczego" czy kwestii gender. Trzaskowski często stosuje także „kotwiczenie", czyli wyuczone, odruchowe zachowanie pod wpływem konkretnego bodźca, np. słowa klucza czy widoku kogoś (czegoś). To szczególnie widać podczas jego wystąpień na wiecach wyborczych. Wystarczy, że wspomni o Karolu Nawrockim, Zbigniewie Ziobrze, Jarosławie Kaczyńskim czy Mariuszu Kamińskim i już pojawia się właściwa narracja oraz wymagany poziom negatywnych emocji. Pytanie tylko, czy tak spreparowany kandydat na prezydenta Polski jest i będzie sobą. Czy sam nie będzie podatny na manipulacje, co byłoby wyjątkowo niebezpieczne dla kraju?

eprasa.pl ddcc5e7c42

Krzyże z kopca Powstania Warszawskiego w brudnym magazynie

STANISŁAW PŁUŻAŃSKI

Półtora roku temu władze miasta stołecznego usunęły wszystkie krzyże od lat znajdujące się na kopcu Powstania Warszawskiego. Pretekstem była modernizacja obiektu. Teraz zostały znalezione w głównym magazynie Zarządu Zieleni w Warszawie. Nic tak dobrze nie pokazuje polityki historycznej Rafała Trzaskowskiego, jak to wydarzenie

Wysoki na 121 m kopiec Powstania Warszawskiego od lat jest wyjątkowym miejscem pamięci na mapie miasta. Pomysł jego usypania narodził się po zakończeniu działań wojennych, podczas odbudowy stolicy. Na Czerniaków zwożono gruzy ze zniszczonych warszawskich budynków. W latach 90. ub.w. z inicjatywy środowisk weteranów Armii Krajowej na szczycie kopca pojawił się wielki znak Polski Walczącej.

SPOŁECZNA INICJATYWA

W 2004 r., w 60. rocznicę wybuchu powstania warszawskiego, powstało Muzeum Powstania Warszawskiego. Stało się tak dzięki prezydentowi miasta stołecznego Lechowi Kaczyńskiemu. Z jego inicjatywy doszło też do rewitalizacji zaniedbanego i niedostępnego kopca Powstania Warszawskiego. Okolica zyskała nowe życie, drogę na szczyt, a na szczycie plac, co umożliwiło ludziom odwiedzanie tego miejsca, na którym od tego momentu mogły odbywać się duże uroczystości. Właśnie wtedy wzdłuż wspomnianej drogi harcerze umieścili krzyże ku czci poległych powstańców.

Od tamtego czasu w każdą rocznicę wybuchu powstania warszawskiego o godz. 21.00 na kopcu odbywają się uroczystości, w trakcie których następuje rozpalenie ogniska płomieniem przyniesionym przez „sztafetę pokoleń" z Grobu Nieznanego Żołnierza. W jej skład wchodzą kombatanci, żołnierze, harcerze i strażnicy miejscy. Przez lata pod krzyżami ludzie zapalali znicze i się modlili. Ich obecność dodawała miejscu powagi i skłaniała do jeszcze większej refleksji, także nad tym, że po powstaniu Warszawa stała się jednym wielkim cmentarzyskiem. Ale pewnego dnia krzyże zniknęły.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl ddcc5e7c42

„TO NIE JEST ZWYKŁY PARK”

Za modernizację parku odpowiadał stołeczny Zarząd Zieleni. We wrześniu 2021 r. rozstrzygnął przetarg na modernizację kopca. Prace ruszyły w tym samym roku i wtedy zabrano drewniane krzyże. W 2023 r. ogłoszono zakończenie prac. Modernizacja kopca kosztowała ponad 24 mln zł. Władze miasta chwaliły się m.in. posadzeniem drzew, nowym placem z platformą widokową oraz kotwicą Polski Walczącej. Okazało się jednak, że na swoje miejsce nie powróciły krzyże.

Sytuacja wywołała zrozumiałe oburzenie opinii publicznej. Bulwersujący był także fakt, że nieznane pozostawały losy zabranych krzyży. W październiku 2023 r. rzeczniczka Zarządu Zieleni Karolina Kwiecień-Łukaszewska powiedziała w rozmowie z Polską Agencją Prasową, że zostały one zabezpieczone i przewiezione do magazynu. „Układ schodów został zmieniony i projekt nie uwzględniał ponownego montażu krzyży” – dodała.

W 2024 r. w rozmowie z telewizją wPolsce24 radny PiS z Mokotowa Radosław Sosnowski ze smutkiem przyznał, że mimo apeli wielu środowisk stołeczny ratusz nie tylko odmówił przywrócenia krzyży, lecz także nie poinformował, gdzie trafiły. „Dzisiaj, po renowacji przeprowadzonej przez ludzi prezydenta Trzaskowskiego, po krzyżach nie ma śladu” – opowiadał. Jednocześnie zwrócił uwagę, że modernizacja odebrała temu miejscu część tożsamości i powagi. „Kopiec to nie tylko miejsce spacerów, lecz także zadumy i pamięci. To nie jest jakiś plastikowy Disneyland. Tutaj oddajemy cześć, honor, manifestujemy swoją pamięć oraz przywiązanie do tradycji. To nie jest taka sobie górka, to nie jest zwykły park. To jest kopiec Powstania Warszawskiego, a krzyże były jego nieodłącznym elementem”.

Radny mówił wówczas, że działacze PiS cały czas szukają zaginionych krzyży, które najprawdopodobniej znajdują się w jednym z magazynów należących do miasta. Wyrażał też nadzieję, że uda się ponownie umieścić je na terenie kopca. Zwrócił także uwagę, że po modernizacji nie ma tam ani jednej wzmianki o roli, jaką odegrał śp. Lech Kaczyński w przywróceniu warszawiakom kopca Powstania Warszawskiego. Jak widać, to także nie leży w interesie obecnych władz miasta.

JAKIM PRAWEM?

W piątek 31 stycznia posłowie i radni PiS poinformowali podczas konferencji prasowej w Sejmie, że dzień wcześniej przeprowadzili interwencję w głównym magazynie Zarządu Zieleni w Warszawie. Tam odnaleźli krzyże z kopca Powstania Warszawskiego. Na miejscu pojawiła się była wiceminister rodziny i polityki społecznej Anita Czerwińska. Towarzyszył jej inny poseł Prawa i Sprawiedliwości, Jarosław Krajewski, a także radny miasta stołecznego Christian Młynarek.

Na opublikowanym przez Czerwińską na portalu X nagraniu z kontroli poselskiej widać krzyże wrzucone do czarnych worków, które zalegają w magazynie. W tak skandalicznych warunkach te jakże ważne artefakty były trzymane przez ostatnie lata. Na wspomnianej konferencji poseł Anita Czerwińska skierowała pytanie do Rafała Trzaskowskiego, z jakiego powodu krzyże nie zostały uwzględnione w projekcie rewitalizacji.

„Właściwie jakim prawem? Te krzyże zostały postawione przez warszawiaków, to był ich akt woli, oni mieli taką potrzebę. Dlaczego w Warszawie z przestrzeni publicznej usuwane są krzyże?” – pytała. Jarosław Krajewski zaznaczył, że nie można się zgodzić z „profanowaniem miejsc takich jak kopiec Powstania Warszawskiego, które świadczą o historii i o tożsamości naszego miasta Warszawy”. Apelował jednocześnie do wiceprzewodniczącego PO: „Jako warszawiak i poseł warszawski oczekuję od prezydenta Rafała Trzaskowskiego niezwłocznego przywrócenia krzyży na kopcu Powstania Warszawskiego”.

Na interpelację w sprawie usunięcia krzyży pilnej odpowiedzi oczekują radni PiS. Wskazują, że to kolejny etap walki prezydenta Warszawy z symbolami religijnymi. „Te krzyże zostały przeniesione do magazynu Zarządu Zieleni, jakby miały stanowić coś wstydliwego, coś, co trzeba ukryć. To jest sytuacja dla nas absolutnie nieakceptowalna” – podkreślał radny Christian Młynarek.

Do sprawy usunięcia krzyży z kopca Powstania Warszawskiego odniósł się obywatelski kandydat na prezydenta RP dr Karol Nawrocki. „Każde akty usuwania czy ataku na krzyż – niezależnie od tego, czy łaska wiary jest w naszym sercu, czy tej łaski nie ma – jest atakiem na naszą wspólnotę i narodową tożsamość” – zauważył.

TU NIE MA PRZYPADKU

W toku trwającej kampanii prezydenckiej Rafał Trzaskowski coraz wyraźniej puszcza oko do prawicowego elektoratu w Polsce. A przecież przez lata zaciekle zwalczał wszelkie inicjatywy konserwatywnych środowisk w stolicy. W maju ub.r. w ramach tzw. standardów równego traktowania zakazał wieszania krzyży w stołecznych urzędach. Zabronił też swoim pracownikom eksponowania symboli religijnych w miejscu pracy. „To jest urząd. Tam, gdzie są obsługiwani mieszkańcy, jest przestrzeń, w której nie powinno być miejsca na symbole religijne” – mówił wówczas wiceprzewodniczący PO.

Teraz Trzaskowski próbuje udawać, że nigdy nie podjął takiej decyzji. Jednak to za rządów PO i jej koalicjantów usunięto krzyż z siedziby Generalnej Dyrekcji Lasów Państwowych. Z kolei z resortu środowiska zniknął symbol Polski Walczącej oraz tablice poświęcone żołnierzom wyklętym. Trzeba także pamiętać, jak przed laty prezydent Warszawy uczestniczył w procesie przywracania komunistycznych patronów ulic, a także przez lata blokował (i blokuje) dekomunizację cmentarza Powązkowskiego.

Usunięcie krzyży z kopca Powstania Warszawskiego wpisuje się więc w politykę realizowaną w Warszawie przez Rafała Trzaskowskiego. Tłumaczenie tej haniebnej decyzji tym, że w nowym planie kopca nie znalazło się miejsce dla krzyży, brzmi jak ponury żart. Nic przecież nie stało na przeszkodzie, żeby tam wróciły. Decyzja w tej sprawie była wyłącznie polityczna.

eprasa.pl ddcc5e7c42

Nowe bajki Tuska

Przez cały rok rządów reżim Tuska wielokrotnie wbijał nóż w polskie aspiracje. Mieliśmy się ich pozbyć, bo niewolnicy i lokaje ich nie potrzebują. Żadne wypowiedziane dzisiaj słowa premiera, żadne jego fantazje o czekającej nas prosperity już tego nie zmienią

KONRAD KOŁODZIEJSKI

Im bliżej wyborów prezydenckich, tym władza robi się coraz bardziej nerwowa. Wszystko wskazuje na to, że Donald Tusk szykuje się do rozpoczęcia nowej akcji propagandowej, która ma roztoczyć przed wyborcami wizję dynamicznie rozwijającej się, bogatej i stabilnej Polski. Złota epoka jest już na wyciągnięcie ręki, wystarczy jedynie oddać głos na Rafała Trzaskowskiego i powierzyć losy kraju ekipie Tuska.

To prawdopodobnie kolejna powtórka ze 100 konkretów oraz „czarodziejskiej różdżki" w służbie zdrowia. Mnóstwo słów, jeszcze więcej obietnic i nadzieja – niestety nie całkiem płonna – że wyborcy dadzą się zwieść po raz kolejny.

Tusk ruszył w sukurs nieudolnemu Trzaskowskiemu i dobrze rozpoznając nastroje, zamierza zagrać na aspiracjach Polaków, oferując im program pozytywny. Oczywiście nie byłby sobą, gdyby nie połączył go z antypisowską narracją. Idea jest taka, że tylko on – Tusk – oraz Trzaskowski i ich obóz polityczny są gwarantami rozwoju Polski. Ewentualne zwycięstwo Karola Nawrockiego i powrót PiS do władzy oznacza dalszą wojnę polityczną oraz w konsekwencji zapaść i katastrofę państwa. Zatem zdecyduj, Polaku, czego chcesz. Takie pytanie zamierza postawić wyborcom premier.

MISTRZ PUSTOSŁOWIA

Punktem wyjścia nowej kampanii reżimu ma być zapowiedziane na 10 lutego wystąpienie Donalda Tuska na Giełdzie Papierów Wartościowych, podczas którego przedstawi on „kompleksowy plan rozwoju Polski". Czytelnik ma tę przewagę nad autorem tych słów, że zna już zapewne treść tej mowy. Nie zmienia to jednak faktu, że niezależnie od tego, co przedstawi i obieca wyborcom obecny premier, i tak wszystko pozostaje na razie w sferze fantazji. A to z kilku powodów.

Po pierwsze, aż nadto oczywisty jest kontekst wyborczy nowej zagrywki Tuska. Przez ponad rok rządów miał wiele okazji, aby pokazać troskę o rozwój kraju, ale nigdy nie skorzystał z żadnej z nich. Przeciwnie, mieliśmy do czynienia ze

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl ddcc5e7c42

zwijaniem państwa i pogłębiającym się kryzysem, na który jedyną odpowiedzią było jeszcze więcej „rozliczeń" z PiS. Dla każdego myślącego człowieka szef rządu powinien więc być osobą kompletnie niewiarygodną jeśli chodzi o budowanie silnej gospodarczo, zasobnej Polski.

Po drugie, Tusk jest niewiarygodny również politycznie. Udowodnił już wielokrotnie, że w walce o władzę jest gotów wykonać dowolnego fikołka i założyć każdą maskę, byleby tylko zmanipulować wyborców oraz przejąć ich głosy. Dziś widzi, co pokazał mu choćby bój o CPK, że podczas ośmiu lat rządów PiS polskie społeczeństwo poczuło się dumne z własnego państwa i nie wystarczą mu niemieckie szparagi oraz poklepywanie przez dobrych wujków z Zachodu. Polacy oczekują od rządzących pomysłu na kraj, jasnej wizji i perspektyw.

W odpowiedzi Tusk zaczyna więc wcielać się w zupełnie nową rolę i rysować przed wyborcami atrakcyjną wizję przyszłości. Tymczasem dotychczasowe doświadczenia wskazują, że jest on mistrzem pustosłowia, że wszystko, co mówi, trzeba zweryfikować, a jego obietnice zwykle pozostają w sferze deklaracji. Szef rządu przypomina oszusta, który kilka razy sprzedaje ten sam towar, bo ciągle znajduje się wystarczająco dużo frajerów gotowych się nabrać.

Po trzecie, Tusk nie jest całkiem samodzielnym politykiem. To człowiek ściśle związany z unijną oligarchią, mocno ograniczony (żeby nie powiedzieć – trzymany na smyczy) przez swoich patronów oraz sprzymierzeńców. Nawet gdyby teoretycznie chciał, nie jest w stanie się im przeciwstawić. Tydzień temu pisałem na tych łamach, że podczas swojej styczniowej mowy w Parlamencie Europejskim Tusk zaczął nagle nawoływać do „wielkiej deregulacji europejskiej gospodarki", obrony Europy przed nielegalnymi imigrantami oraz gruntownej rewizji Zielonego Ładu. To sygnał, że unijna oligarchia w obawie przed utratą władzy postanowiła przejąć część postulatów prawicy. Najwyraźniej premier realizuje już tę nową agendę. Jego nagłą troskę o rozwój Polski powinno się więc rozpatrywać również w tym szerokim kontekście. Nie chodzi o przyszłość kraju, o dobrobyt Polaków, ale o utrzymanie władzy i przetrwanie obecnych wstrząsów. Jeśli to się uda, możliwa będzie kolejna wolta, zdjęcie masek z twarzy, a nawet powrót do dotychczasowej polityki.

ZASŁONA DYMNA

Wszystko, co robi Tusk, jest skrajnie upolitycznione i służy wyłącznie utrzymaniu władzy przez jego reżim. Tak też należy interpretować jego każde posunięcie. Gdy dzisiaj premier mówi o rozwoju Polski, w rzeczywistości chodzi o zupełnie coś innego. Wystarczy przyjrzeć się temu, co się dzieje.

Otóż w tym samym czasie, gdy Tusk kusi obywateli wizją przyszłego dobrobytu, nabierają tempa represje wobec opozycji. W minionym tygodniu pojawiły się doniesienia o kolejnych zarzutach oraz o przygotowaniu przez neoprokuraturę aktu oskarżenia w sprawie Funduszu Sprawiedliwości, tzw. komisja śledcza ds. Pegasusa złożyła wniosek o 30-dniowy areszt wobec byłego ministra Zbigniewa Ziobry, szykowane są zarzuty przeciwko Mateuszowi Morawieckiemu i jego współpracownikom w związku z wyborami kopertowymi. Ściga się Mariusza Błaszczaka za ujawnienie skandalicznego planu obrony na linii Wisły, rozkręca się również śledztwo wokół Rządowej Agencji Rezerw Strategicznych (RARS), a w tle tych działań mamy spotkanie Tuska z Romanem Giertychem i jego „zespołem ds. rozliczeń". Wszystko to dzieje się w bardzo krótkim czasie i zostaje podsumowane filmikiem umieszczonym w internecie, na którym Tusk recytuje „Lokomotywę" Tuwima. „Najpierw powoli, jak żółw ociężale, ruszyła maszyna po szynach ospale" – to ma być metafora nadchodzącego uderzenia w PiS. Premier myśli tylko o tym, to jego stała, nieuleczalna obsesja. Wszystko inne stanowi tylko zasłonę dymną.

> Gdy dzisiaj premier mówi o rozwoju Polski, w rzeczywistości chodzi o zupełnie coś innego. Wszystko, co robi Tusk, jest skrajnie upolitycznione i służy wyłącznie utrzymaniu władzy

Jest nią rzekomy plan rozwoju Polski. Tusk doskonale wie, że większość Polaków – wyłączywszy fiksatów z sekty ośmiu gwiazdek – nie pali się do ostatecznej rozprawy z pisowcami, bo znacznie ważniejsza jest dla nich kondycja państwa oraz ich sytuacja materialna. Normalni ludzie nie myślą o „rozliczeniach", ale o swojej przyszłości. I coraz bardziej się niecierpliwią, co wyraźnie widać w spadających notowaniach rządu.

Tusk musi z tego jakoś wybrnąć. Dlatego próbuje zagrać na rozbudzonych aspiracjach Polaków i odebrać przy tej okazji punkty prawicy. Z jednej strony chce przejąć jej postulaty, a z drugiej – niszczy ją represjami. W tej grze chodzi wyłącznie o rozprawę z PiS.

NIEBEZPIECZNE ZWIĄZKI

Gdyby Tuskowi kiedykolwiek chodziło o coś więcej niż o walkę z PiS, to dotychczasowa polityka jego rządu wyglądałaby zupełnie inaczej. Przecież PiS po zwycięstwie wyborczym w 2015 r. również mogło pójść w rozliczenia z poprzednią ekipą, jednak wbrew wielu swoim wyborcom tego nie zrobiło. A to dlatego, że priorytetem Prawa i Sprawiedliwości był rozwój kraju i poprawa sytuacji materialnej społeczeństwa. Wobec takiego wyzwania wojnę z Platformą odpuszczono.

Zupełnie inną politykę przyjął obecny reżim, który z walki politycznej i represji zrobił swoje główne zadanie. Temu celowi podporządkowano absolutnie wszystko łącznie z gospodarką. Należy przy tym pamiętać, że powrót Tuska do władzy byłby zapewne niemożliwy bez pomocy jego zagranicznych sojuszników, przede wszystkim Niemiec, które do wojny z pisowskim rządem zaprzęgły całą podporządkowaną im unijną biurokrację. Za Tuskiem stoi więc europejska oligarchia, której interesy musi on respektować, co oznacza, że nie jest w pełni samodzielny.

eprasa.pl ddcc5e7c42

Polska ma znać swoje miejsce w szeregu, nie może być więcej mowy o podmiotowej polityce, rywalizacji gospodarczej na dużą skalę czy tworzeniu politycznej alternatywy dla liberalnego reżimu panującego w Unii. Tusk ma to zagwarantować swoim zagranicznym protektorom.

Wyjaśniwszy to, łatwiej jest nam zrozumieć motywy działania Tuska w 2024 r. Z jednej strony represje wobec opozycji, a z drugiej stopniowe zwijanie państwa: wygaszanie prorozwojowych inwestycji, obcinanie pomocy materialnej dla społeczeństwa, redukcja usług publicznych itd. Znowu szykowany jest kompradorski model władzy, w którym państwo i społeczeństwo są przedmiotem eksploatacji cudzego kapitału oraz wysługujących się im miejscowych elit. To dlatego przez cały rok rządów reżim Tuska wielokrotnie wbijał nóż w polskie aspiracje. Mieliśmy się ich pozbyć, bo niewolnicy i lokaje ich nie potrzebują. Żadne wypowiedziane dzisiaj słowa premiera, żadne jego fantazje o czekającej nas prosperity już tego nie zmienią. Bo nie zmienili się ani Tusk, ani jego sojusznicy. Inne są najwyżej metody działania.

PALCEM NA WODZIE PISANE

Tusk już wie, że kontynuując dotychczasową politykę, nie dowiezie swojej partii do wyborów prezydenckich. Poważnym problemem jest także zwycięstwo Donalda Trumpa w Ameryce, które popsuło szyki liberalnej oligarchii w całej Europie. Przyjęto więc inną strategię – uniezależnienie się od Ameryki i budowę, opierając się na obecnych liberalnych reżimach, czegoś na kształt alternatywnej potęgi w Europie (chociaż „potęga" to określenie mocno na wyrost). Przy czym fundamentem tego projektu jest przede wszystkim strach liberalnych elit. To dlatego po ich stronie następuje niewielki przechył w prawo, kokietowanie konserwatywnych wyborców oraz snucie wizji silnej Europy.

Widać w tym bardzo duże podobieństwa do najnowszej retoryki Tuska oraz Trzaskowskiego. I nie jest to przypadek. Premier wpisuje się bowiem w znacznie szerszą strategię unijną, czego przykładem było wspomniane już jego styczniowe przemówienie w Parlamencie Europejskim.

Pod koniec stycznia Tusk stwierdził, że „Polska wkracza na drogę bardzo przyspieszonego rozwoju i technologicznego, i gospodarczego". Zauważył przy tym wreszcie, że rozwój jest niemożliwy bez niższych cen energii. Jak powszechnie wiadomo, poprzedni rząd planował budowę elektrowni jądrowych, pierwsza z ich miała rozpocząć pracę w 2033 r. Obecny reżim przesunął tę datę o dwa lata (do 2035 r.), ale jak wynika z ostatnich informacji, nowa elektrownia osiągnie pełną gotowość operacyjną dopiero w 2040 r. O tanim i przede wszystkim stabilnym źródle energii, jakim jest atom, możemy więc na razie zapomnieć, choć Tusk przez cały czas zapewnia, że energetyka jądrowa jest dla niego priorytetem. Tak samo zapewniał podczas swoich poprzednich rządów, gdy obiecywał, że w 2020 r. popłynie prąd z pierwszej elektrowni jądrowej. Oczywiście nie dotrzymał słowa.

> Jeżeli dzisiaj Tusk snuje wizje rozwoju Polski, to trzeba się zastanowić, na ile odpowiadają one rzeczywistym potrzebom kraju i czy rzeczywiście służą naszym interesom

Dzisiaj Tusk proponuje w zamian energetykę wiatrową. Pierwsza farma wiatrowa na Bałtyku o mocy 1,5 GW ma powstać do 2030 r. W odległości 40 km od wybrzeża stanie 107 turbin rozstawionych od Ustki aż po Choczewo w powiecie wejherowskim. Według zapowiedzi wspólna inwestycja PGE oraz duńskiej firmy Ørsted ma być jedną z największych farm wiatrowych na świecie. Premier tak się z tego ucieszył, że nagrał z tej okazji kolejny filmik w internecie (ostatnio to jego główny sposób komunikacji ze społeczeństwem), na którym wyraźnie podniecony zachwycał się wysokością wiatraków, które, jak zapewnił, mają być wyższe od Pałacu Kultury. Zapowiedział też, że monstrualnych urządzeń będzie jeszcze więcej, bo do 2040 r. mają powstać kolejne farmy o łącznej mocy 18 GW. „To tak, jakbyśmy z wiatru wyprodukowali tyle prądu, ile cztery elektrownie jądrowe" – entuzjazmował się Tusk. Mogłoby z tego wynikać, że jednak nie atom, lecz wiatraki są priorytetem rządu Tuska. Pytanie, czy to na pewno najlepszy wybór źródła energii. I czy rzeczywiście uda się nim zasilić gospodarkę oraz pchnąć kraj do przodu.

Podobnie jest z deklaracjami premiera w sprawie nowych technologii. Podczas gdy Stany Zjednoczone przeznaczą 500 mld dol. na rozwój AI w Polsce twórcy tej technologii muszą organizować publiczną zbiórkę na swoje badania, bo państwo obcina fundusze na naukę.

W CO GRA TUSK?

Pomijając już fakt, że projekty rozwojowe Tuska są palcem na wodzie pisane, warto sobie zadać pytanie, czemu wyrzucił do kosza większość inwestycji i pomysłów poprzedniego rządu, które dzisiaj, w obliczu spadających notowań obecnej ekipy, byłyby przecież jak znalazł. Być może z tego powodu, że szły na konto znienawidzonego PiS, ale może też dlatego, że nie uwzględniały one rozmaitych, niekoniecznie polskich interesów. Jedyną bodaj dużą inwestycję PiS, jaka się ostała, czyli CPK, okrojono do tego stopnia, że stała się karykaturą pierwotnego pomysłu, a obywatelski projekt ustawy o Centralnym Porcie Komunikacyjnym został w środę odrzucony przez komisję sejmową. Być może ocaleje jeszcze terminal kontenerowy w Świnoujściu, ale nie ma takiej pewności. Najgorsze jest jednak to, że o każdą inwestycję trzeba toczyć z obecnym reżimem zaciekłe walki, choć ich realizacja powinna być naturalną powinnością każdego polskiego rządu bez względu na jego barwy partyjne.

Jeżeli więc dzisiaj Tusk snuje nagle wizje rozwoju Polski, to trzeba się zastanowić, na ile odpowiadają one rzeczywistym potrzebom kraju i czy rzeczywiście służą naszym interesom. A przede wszystkim czy nie są one tylko zasłoną dymną i propagandą przyszłego sukcesu, który pod tą władzą nigdy nie nadejdzie.

eprasa.pl ddcc5e7c42

Ten rząd nawet przy uznaniu dla programu Aktywny Rodzic jest pozbawiony długookresowej wizji. To dotyczy nie tylko polityki społecznej, lecz także właściwie każdego obszaru. Nie ma czytelnej strategii rządzenia, brakuje ambicji, założonych celów

Sposoby na kryzys demograficzny

Z Bartoszem Marczukiem, członkiem zarządu i ekspertem ds. polityki społecznej Instytutu Sobieskiego, wcześniej m.in. wiceministrem rodziny, pracy i polityki społecznej oraz wiceprezesem Polskiego Funduszu Rozwoju, rozmawia Dorota Łosiewicz

Fot. Instytut Sobieskiego

Kierowcy autobusów, lekarze, magazynierzy czy robotnicy budowlani to tylko niektóre z najbardziej deficytowych zawodów w Polsce według corocznej prognozy resortu pracy. Jak twierdzą autorzy raportu, jedynym wyjściem jest otwarcie rynku pracy na migrację zarobkową. Zgadza się pan z tą diagnozą?

Bartosz Marczuk: Krótkoterminowo i jako działanie wspomagające migracja może być sposobem na łatanie luk na rynku pracy i kryzys demograficzny. Długoterminowo może działać jedynie wspomagająco. Kluczowa jest dzietność i trzeba robić wszystko, by ją wspierać. Jeśli chodzi o tę kwestię, są trzy determinanty, które trzeba brać pod uwagę: kultura (family mainstreaming), budowanie relacji i bezpieczeństwo ekonomiczne. Myślenie

eprasa.pl ddcc5e7c42

o przyszłości rynku pracy trzeba uzupełnić jeszcze o dwa aspekty: ściągnięcie do Polski maksymalnie dużej liczby ludzi z polskim paszportem bądź polskiego pochodzenia oraz mądra migracja jako uzupełnianie luk.

Zacznijmy od migracji. Co to znaczy mądra?

Najlepiej integrują się ludzie z krajów bliskich nam kulturowo. Mamy bardzo dobre doświadczenia z migrantami z krajów sąsiednich, np. Ukrainy czy Białorusi. W tej chwili w Polsce żyje ok. 2,5 mln migrantów, z tego blisko 90 proc. to ludzie z wymienionych przeze mnie krajów, a także osoby z UE. I to niemal wyczerpuje pulę migracji do Polski. To z powodu tych kierunków mamy takie dobre doświadczenia z migracją. W naszym kraju nie ma gett, nie ma „do not enter zones", ci ludzie się integrują, mają ambicje, wskaźniki ich zatrudnienia są fenomenalne. Także uchodźców, w tym matek z dziećmi. W przypadku tych ostatnich to ok. 70 proc. W 2011 r. mieliśmy w Polsce ok. 100 tys. cudzoziemców, 14 lat później jest ich ok. 2,5 mln. Przez ten okres z kraju, z którego się emigruje, staliśmy się państwem, do którego się migruje. Ta zmiana zaszła w oszałamiającym tempie, a mimo to mamy w tej materii bardzo dobre doświadczenia w przeciwieństwie do krajów Europy Zachodniej. Ta sielanka nie będzie trwać wiecznie.

Dlaczego?

W krajach, o których mówię, także trwa kryzys demograficzny, zasoby rąk do pracy z wolna się wyczerpują. Nie możemy jednak przesadzić, jak Kanada, którą nazywa się nawet „migracyjnym narkomanem", ponieważ rocznie przyjmuje ok. 500 tys. ludzi. Ważna jest spójność kulturowa kraju. Potrzebujemy brutalnie dbającej o nasze interesy polityki migracyjnej, a to nie jest ewenementem na świecie. Australia, Kanada czy USA prowadzą taką politykę, wymagając od imigrantów wykształcenia, wieku, a nawet badań medycznych. W Polsce powinno być podobnie. Musimy przyjmować ludzi, których potrzebuje rodzima gospodarka i rynek pracy. Musimy preferować osoby z krajów bliskich nam kulturowo. Dla zawodów typu lekarze, informatycy, specjaliści średniego szczebla, np. technicy, budowlańcy, powinniśmy wyznaczać konkretne limity i wtedy w ich ramach można otworzyć się na dalsze kierunki migracyjne, ale to nie mogą być duże kwoty, by nie powtórzyć błędów krajów Europy Zachodniej.

Od przedstawicieli władzy często słyszymy, że unijny pakt migracyjny może być rozwiązaniem gospodarczych problemów Polski.

Pakt o migracji i azylu jest oparty na dwóch filarach. Europa się otrząsnęła i doszła do wniosku, że liczy się bezpieczeństwo. Część zapisów jest korzystna dla Polski, np. wzmocnienie granic, Fronteksu, lepsze sprawdzanie, łącznie z biometrią osób przybywających. Drugi filar, czyli przymusowa relokacja, to coś, na co Polska ani nie może, ani nie powinna się zgadzać. Po pierwsze, każdy kraj ma prawo kształtować politykę migracyjną wedle własnego uznania i nikt nam nie może niczego narzucić. To my decydujemy, kogo przyjmujemy. Po drugie, możemy dodatkowo używać argumentu, że proporcjonalnie przyjęliśmy największą liczbę uchodźców z Ukrainy w całej UE w stosunku do liczby obywateli.

Wróćmy do konieczności zachęcania Polaków do powrotu do kraju. Jak to robić?

To temat, którego w debacie praktycznie się nie porusza, a jest niezwykle ważny. Mamy na świecie ok. 20-mln diasporę, to są ludzie bez polskiego obywatelstwa, ale związani z Polską. Do tego jest ok. 2 mln ludzi z polskim paszportem, którzy żyją głównie w krajach UE. To potężny zasób. A Polska dzięki ostatnim latom szybkiego wzrostu, podniesieniu standardu życia (podniesiona stawka godzinowa, niskie bezrobocie, odważna polityka społeczna poprzedniego rządu) i wysokiemu poziomowi bezpieczeństwa staje się naprawdę atrakcyjnym krajem do życia. To przyciąga. I dlatego warto myśleć, co zrobić, by przynajmniej część Polaków wróciła do kraju oraz by dzieci urodzone za granicą chciały wracać do Polski np. na studia. Trzeba wreszcie myśleć, co zrobić, by potomkowie tych, którzy wyjechali, wrócili do Polski lub np. przysłali tu dzieci na studia. To potężne wyzwanie z potencjalnie pozytywnym skutkiem demograficznym. Udało się np. w Irlandii, gdzie w latach 1996–2024, przy populacji 5,3 mln, ściągnięto do kraju ok. 730 tys. irlandzkich emigrantów. Jeśli przełożymy to na polski potencjał demograficzny, do Polski można by ściągnąć 6 mln ludzi. To oczywiście nie jest jeden do jednego, ale widać, że w tzw. polityce powrotowej można odnieść sukces.

Jak to zrobić?

Np. wzmocnić naukę języka polskiego za granicą, założyć np. Instytut Jana Pawła II i promować na całym świecie polskie kulturę, tradycję i sukces gospodarczy ostatnich lat. W ten sposób ci ludzie nie zapomną o korzeniach, tradycji. Trzeba budować soft power.

Wróćmy do dzietności. PiS wprowadziło program 500+, teraz mamy 800+, prowadziło rozbudowaną politykę społeczną i krótkoterminowy wzrost dzietności nastąpił, ale potem to siadło.

Tu mamy trzy główne czynniki. Po pierwsze, żeby dzieci się rodziły, ludzie muszą żyć w kulturze, która wspiera dzietność i rodziny. Po drugie, musi się pojawić relacja i związek, który powołuje na świat dzieci. Po trzecie, żeby tak się stało, ludzie muszą mieć poczucie bezpieczeństwa materialnego. Jeśli chodzi o to ostatnie zagadnienie, to poprzedni rząd wykonał ogromną pracę. W 2015 r. wydawaliśmy na politykę rodzinną 1,8 proc. PKB, a dziś jest to ok. 3,5 proc. PKB.

Omówmy te trzy zagadnienia.

Zacznijmy od kwestii materialnych. Tutaj mamy tzw. złoty czworokąt: wsparcie finansowe, rynek pracy, usługi dla rodzin i mieszkania. Jeśli chodzi o wsparcie finansowe, sytuacja wygląda dobrze, choć trzeba uporządkować ten system. Jeśli chodzi o rynek pracy, też nie jest źle, ale trzeba odejść od kultury „zapierdolu", bo nie służy ona dzietności. W przypadku kobiet

07/0125/F

eprasa.pl ddcc5e7c42

w wieku rozrodczym w Polsce jest bardzo wysoki wskaźnik zatrudnienia, a naszym głównym problemem nie jest to, żeby te kobiety wyłącznie pracowały i postrzegały swój sukces przez ten pryzmat, bo to nie jest prodemograficzne. Mamy zbyt duży rozdźwięk między kulturą „workizmu" i „familizmu". Praca kobiet w domu wciąż jest za mało doceniana. Kobieta sukcesu to nie tylko ta, która robi karierę, ale także ta, która jest szczęśliwa, realizując się jako mama. Ponadto w Polsce istnieją zbyt niskie statystyki pracy na część etatu. 90 proc. z tych kobiet, które po urlopie macierzyńskim wracają do pracy, pracuje na pełen etat. W Holandii to jest ok. 50 proc. A praca w pełnym zakresie utrudnia myślenie o kolejnych dzieciach. Sytuacja na rynku pracy jest dziś fundamentalnie inna niż przed 2015 r. Nie ma bezrobocia, w 2017 r. została wprowadzona stawka godzinowa. Ludzie, którzy pracują, nie są już nędzarzami za 5 zł za godzinę.

A jak jest z usługami?

Jeśli chodzi o usługi dla rodzin, to np. szkoła często jest dla rodziców koszmarem, zwłaszcza w dużych aglomeracjach. Mam na myśli zarówno jakość edukacji, jak i jej organizację: dwuzmianowość, często brak długiej przerwy czy obiadu w szkole, a to powinno być standardem. Brakuje dodatkowych zajęć, świetlic itd. Przedszkola są OK. Jeśli chodzi o żłobki, mieliśmy gigantyczną interwencję poprzedniego rządu w tej sprawie. W 2015 r. było 84 tys. miejsc w tego typu placówkach, teraz to ok. 250 tys. miejsc. W mniejszych miejscowościach trzeba jeszcze bardziej stawiać na rozwój opiekuna dziennego czy kluby malucha niż rozwój placówek publicznych. Z ochroną zdrowia nie jest najlepiej. Okazało się, że czarodziejska różdżka jednak nie działa. W usługach trzeba zatem sporo nadrobić.

I tak dochodzimy do kwestii mieszkaniowych.

To jest w tej chwili temat numer jeden jeśli chodzi o część demograficzną dotyczącą bezpieczeństwa materialnego. Potrzebujemy programu łączącego kwestie dzietności z tematem mieszkań, który będzie, trochę wzorem Węgier, premiował rodziców, którzy decydują się na potomstwo. Można sobie np. wyobrazić pomysł bonu mieszkaniowego. Gdy rodzi ci się dziecko lub jest zawierane małżeństwo, otrzymujesz np. 40 tys. zł na cele mieszkaniowe, przy drugim dziecku – 60 tys. zł, a przy trzecim – 100 tys. zł To można wykorzystać na wkład własny, dobudowanie pokoju czy wykończenie strychu. Nie trzeba się zadłużać w banku.

Zostały nam kwestie kultury i relacji.

Kultura powinna być nastawiona na „family mainstreaming". Warto zobaczyć, co tej kulturze przeszkadza, co pomaga i odrzucić te złe czynniki. Co wzmacnia dzietność? Poczucie wspólnoty, patriotyzm, poczucie dumy narodowej, religijność, promowanie małżeństwa, tradycyjne podejście do rodziny i jej wizerunek w mediach. Co osłabia tę kulturę? Ideologia gender, kwestie związane z promowaniem tranzycji (to wszystko wynika z badań), walka z Kościołem, usuwanie krzyży z przestrzeni publicznej, indywidualizm, kultura niedoceniania wspólnoty – lokalnej i narodowej.

A relacje?

Kwestia relacji to także potężny temat. Widzimy wielki kryzys relacji: ich nawiązywania i utrzymania. Bez relacji nie będą się rodziły dzieci. O afirmacji małżeństwa już mówiłem, po drugiej stronie mamy zapobieganie rozwodom. Jest też problem nadużywania świata cyfrowego, szczególnie przez młodych, a co za tym idzie – unikania relacji w realnym świecie. Dlatego warto rozważyć powszechny zakaz używania smartfonów w szkołach podstawowych. Trzeba ograniczyć dostęp do pornografii, która utrudnia budowanie i utrzymanie relacji. Mamy też lukę edukacyjną, kobiety są lepiej

REKLAMA

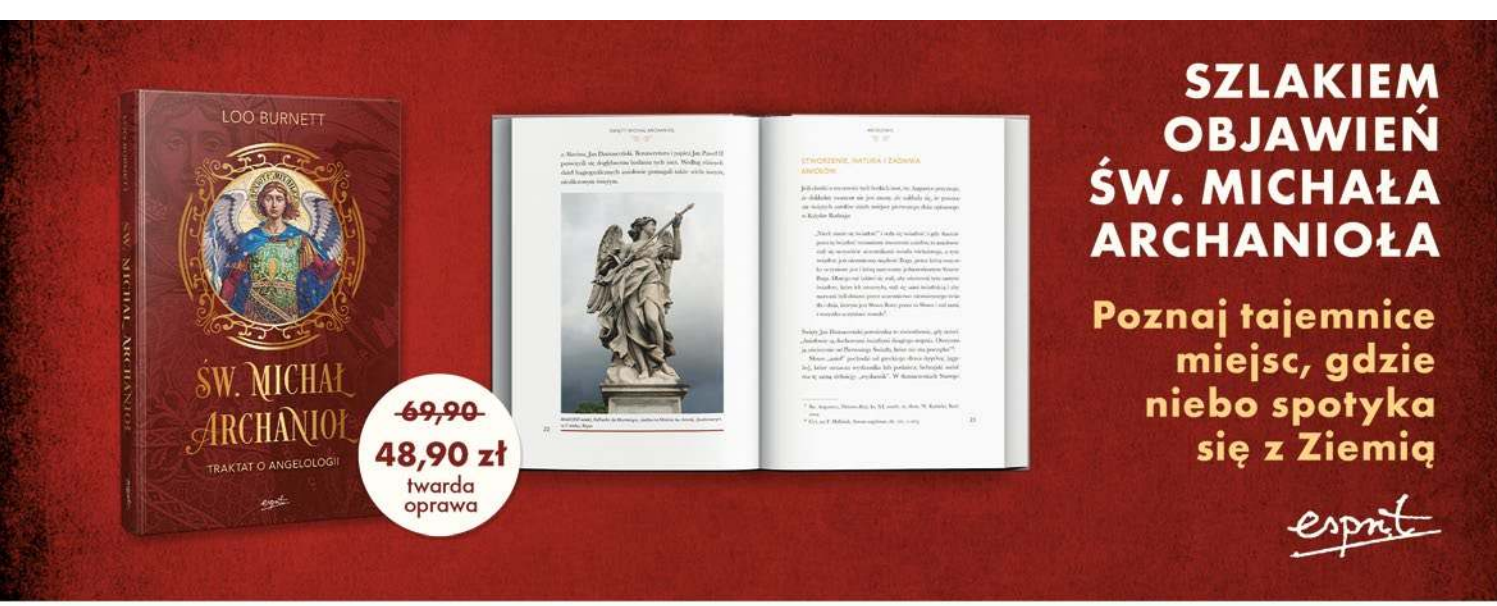

ZAMÓW NA WWW.ESPRIT.COM.PL LUB POD NUMEREM TELEFONU 12 262 35 51

wykształcone, wyjeżdżają do dużych ośrodków i nie znajdują partnerów o zbliżonych aspiracjach. Tu np. ważne jest promowanie lokalności, zacieśnianie wspólnot lokalnych. To wszystko praca na długie lata i na wszystkich fortepianach trzeba grać jednocześnie.

Przy liberalno-lewicowym rządzie trudno wyobrazić sobie myślenie w stylu „family mainstreaming".

Nie widzę, by ten rząd był skupiony na tego rodzaju myśleniu. PiS i na poziomie werbalnym, i na poziomie programów społecznych miało jasną strategię i szło wyraźną drogą wzmacniania rodziny. Mówiąc szerzej – ten rząd, nawet przy uznaniu dla programu Aktywny Rodzic, jest pozbawiony długookresowej wizji. To dotyczy nie tylko polityki społecznej, lecz także właściwie każdego obszaru. Nie ma czytelnej strategii rządzenia, brakuje ambicji, założonych celów. Poza polityką bezpieczeństwa, która szczęśliwie jest w dużej mierze kontynuacją poprzedniego rządu, nie ma żadnej strategii i długofalowego myślenia, nie ma pomysłu. Pisaliśmy o tym w raporcie Instytutu Sobieskiego na rok rządów premiera Donalda Tuska. Nie wiem, jak ma wyglądać polityka energetyczna, co się wydarzy w cyfryzacji, ochronie zdrowia, wymiarze sprawiedliwości, który zmaga się z gigantycznym kryzysem. Mamy *de facto* rozmontowane KRS, TK, SN. To oznacza potężne problemy, nie tylko przy okazji wyborów prezydenckich. Uderza to w zwykłych ludzi, którzy choćby przy rozstrzygnięciach w kwestiach majątkowych nie mogą być pewni, że ktoś nie podważy wyroku z powodu tzw. neosędziego. Z taką sytuacją nigdy nie mieliśmy w Polsce do czynienia. W przypadku polityk publicznych, które toną, nie widać ani wizji, ani ambicji.

Dorzućmy do tego jeszcze temat, o którym mało kto mówi. Okazuje się, że rząd postanowił zwinąć nowoczesny projekt, również edukacyjny, Centralnej Informacji Emerytalnej. Nie będziemy mogli w jednym miejscu, w mObywatelu, zobaczyć pełnego obrazu stanu oszczędności na emeryturę.

Właśnie o tym mówię. To antyrozwój. Rząd z niezrozumiałych powodów uchyla projekt, który miał zachęcić Polaków do oszczędzania, dłuższej aktywności i zniechęcać do pracy na czarno. To antyrozwojowe działanie na szkodę państwa. Polacy mieli mieć wgląd w swoje konta emerytalne. Gdyby ten projekt wszedł w życie, bylibyśmy w światowej awangardzie. Poprzedni rząd doprowadził do uchwalenia ustawy. CIE miała być wdrożona w ciągu dwóch lat, w mObywatelu miała być dostępna już w październiku 2025 r. Rząd planuje uchylić ten projekt, posługując się groteskowymi argumentami. Po pierwsze, że jest on zbyt drogi, podczas gdy jego wdrożenie to koszt rzędu 30 mln zł. To naprawdę niewielkie pieniądze. Po drugie, słyszymy, że część Polaków nie mogłaby z tego skorzystać, bo mamy wykluczenie cyfrowe. To nonsens, jest dokładnie odwrotnie. Gdy oferujemy ludziom usługi cyfrowe, ludzie wchodzą do tego świata, a w ten sposób wykluczenie cyfrowe maleje. Tak było z 500+. W pierwszym roku wdrażania programu było tylko 20 proc. wniosków elektronicznych. Od dwóch lat wniosek można złożyć wyłącznie elektronicznie i nikt nie ma z tym problemu. Używanie argumentu o wykluczeniu cyfrowym to po prostu kompromitacja. Nie rozumiem szkodnictwa, jakim jest wycofywanie się z projektu szerokiej edukacji ekonomicznej.

> Mamy zbyt duży rozdźwięk między kulturą „workizmu" i „familizmu". Praca kobiet w domu wciąż jest za mało doceniana. Kobieta sukcesu to nie tylko ta, która robi karierę, lecz także ta, która jest szczęśliwa, realizując się jako mama

Wróćmy do tematu migrantów. Rafał Trzaskowski zaproponował wypłatę świadczenia 800+ tylko dla tych Ukraińców, którzy pracują i płacą podatki w Polsce. 88 proc. Polaków popiera ten pomysł, premier go podchwycił. Jak pan na to patrzy?

Mówiliśmy o migracji i tym, że ona się nam udała. Przybysze są młodzi, wykształceni, aktywni, uzupełniają luki na rynku pracy. Podchodzę do tego pragmatycznie. Nie żyjemy na bezludnej wyspie, wokół są kraje, które także mają problemy demograficzne i dziury na rynku pracy. Tego rodzaju ruchy mogą doprowadzić do tego, że w kalkulacji migrantów z kręgu bliskiego nam kulturowo pojawi się czynnik ujemny w myśleniu o tym, gdzie się osiedlać, gdzie pracować. Pojawi się takie myślenie: w sytuacji chwilowej utraty pracy, a co za tym idzie, utraty świadczenia, może lepiej wybrać kraj, w którym można dostać środki bez względu na sytuację zawodową. A problem podnoszony przez Rafała Trzaskowskiego jest marginalny. Ci ludzie chętnie pracują, system jest na tyle szczelny, że jeśli dzieci wyjeżdżają, to tracą świadczenie, choć oczywiście trzeba go doszczelniać. System dodatkowej kontroli będzie kosztować, a szacowana oszczędność to od kilkudziesięciu do kilkuset milionów złotych w sytuacji, gdy na 800+ łącznie wydajemy 63 mld zł. Odchodzimy też od kluczowego założenia, by nie wiązać 800+ z zatrudnieniem. Zaraz pojawi się pokusa, by podobne obostrzenie wprowadzić dla Polaków, co przecież było już podnoszone w debacie publicznej. Wydaje się, że tym, co kieruje Rafałem Trzaskowskim, który wcześniej nawoływał w tej sprawie do przyjmowania wszystkich imigrantów, są wyłącznie sondaże.

eprasa.pl ddcc5e7c42

„Mamy czas do lata…”

Tytułowe słowa to część mało optymistycznej prognozy szefa ukraińskiego wywiadu wojskowego gen. Kyryła Budanowa, która wyciekła z tajnej narady z udziałem czołowych liderów partyjnych Ukrainy

JAN ROKITA

Fot. 43rd Artillery Brigade/x.com

39-letni gen. Kyryło Budanow jest uważany w Kijowie za jednego z dwóch najważniejszych i najbardziej zaufanych ludzi prezydenta. Pierwszym jest oczywiście szef prezydenckiej kancelarii Andrij Jermak, który ponoć, jak swego czasu pisał analityk agencji Bloomberg, „stał się jedynym strażnikiem kontaktów z prezydentem i ma bezpośredni wpływ na wszystko, od polityki zagranicznej po planowanie wojskowe”.

Ale Jermak i Budanow to postacie z dwóch kompletnie różnych bajek. Pierwszy jest producentem filmowym i człowiekiem show-biznesu, a przez to kumplem Zełenskiego z czasów, gdy ten robił karierę na scenie kabaretowej.

Drugi to pasjonat wojska i tajnych służb, planista i uczestnik licznych operacji specjalnych, którego ukraiński prezydent poznał, docenił i awansował jako komandosa i oficera wywiadu wojskowego. A odkąd w sierpniu 2020 r., a więc półtora roku przed wybuchem wojny, Budanow dostał prezydencką nominację na szefa Głównego Zarządu Wywiadu Wojskowego (HUR), zasłynął nie tylko z brawurowej odwagi i polotu w organizowaniu tajnych akcji przeciw Moskwie, lecz także z umiejętności rozumienia i projektowania wojennej polityki.

eprasa.pl ddcc5e7c42

To właśnie Budanow udzielił w listopadzie 2021 r. głośnego wywiadu amerykańskiemu magazynowi „Military Times", w którym przewidywał, iż wielka moskiewska inwazja na Ukrainę zacznie się w styczniu albo lutym następnego roku. I *post factum* skromnie tłumaczył, iż po prostu miał w tej kwestii dane wywiadowcze HUR.

PRZECIEK

Zapewne dlatego tak szerokim echem odbił się wyciek z wypowiedzi gen. Budanowa na tajnym spotkaniu z kierownictwem Rady Najwyższej Ukrainy, czyli grupą czołowych liderów partyjnych. Tak relacjonował to jeden z uczestników spotkania, któremu jako źródłu przecieku portal Ukraińska Prawda zagwarantował anonimowość: „Najbardziej zapamiętałem jedną z odpowiedzi Budanowa. Ktoś spytał go, ile jeszcze mamy czasu. I Kyryło, z tym jego zimnym uśmieszkiem, powiedział: »Jeśli do lata nie będzie poważnych negocjacji, to mogą rozpocząć się bardzo niebezpieczne procesy, zagrażające samemu istnieniu Ukrainy«".

Pytanie o czas dotyczyło oczywiście tego, jak długo ukraińska armia jest w stanie utrzymać front w Donbasie przy trwającym już kolejny miesiąc silnym naporze Moskali. Z odpowiedzi Budanowa wynikałoby, iż szef wywiadu ukraińskiej armii jest świadom realności ryzyka upadku niepodległości Ukrainy w efekcie przełamania frontu i wdarcia się Rosjan w głąb kraju. A także, iż szybkich negocjacji pokojowych nie uważa się w ścisłym kierownictwie Ukrainy za niebezpieczeństwo, ale jedyny ratunek dla kraju. Nie trzeba dodawać, jak dalece kłóci się to z obiegowym poglądem narzuconym światu przez zachodnich polityków i liberalne media.

Główny Zarząd Wywiadu (HUR) oficjalnie zdementował te informacje, a ukraińska Służba Bezpieczeństwa (SBU) wszczęła śledztwo, aby ustalić „źródła przecieku informacji z tajnego spotkania". W tego rodzaju kłopotliwej sytuacji zachowałaby się tak każda przytomna władza. Ale charakterystyczne jest, że komunikat SBU o wszczęciu śledztwa nie sugeruje jakiejś prowokacji czy kłamstwa na temat opinii szefa wywiadu, lecz

Gen. Kyryło Budanow

tylko nielegalny wyciek informacji, za który odpowiedzialny jest zapewne któryś z kluczowych polityków parlamentarnych obecnych na spotkaniu.

Wypowiedź Budanowa publicznie prostował także jeden z uczestników narady w Radzie Najwyższej, odeski poseł Ołeksij Honczarenko z opozycyjnej wobec Zełenskiego partii Europejska Solidarność (to stronnictwo byłego prezydenta Poroszenki). Polityk zapamiętał, iż szef wywiadu przewidywał ryzyko załamania się frontu latem tego roku i spodziewał się poważnych kłopotów dla Ukrainy z tego powodu, ale nie mówił niczego na temat egzystencjalnego zagrożenia dla niepodległości państwa. Jakkolwiek było, nie ma wątpliwości, że Budanow poinformował liderów partyjnych, iż Ukraina „ma czas do lata".

NEGOCJACJE POKOJOWE

Cała rzecz byłaby tylko ciekawym przyczynkiem do tego, co naprawdę myślą ludzie ze ścisłej ekipy Zełenskiego. Rzecz jednak w tym, że całemu zdarzeniu wyjątkowego znaczenia dodały nerwowe ostatnio okoliczności towarzyszące przygotowywanym negocjacjom pokojowym. Od wielu miesięcy jest jasne, że ludzie Zełenskiego chcą jak najszybszych rozmów o zawieszeniu broni, mimo że mają co najmniej dwa istotne powody, aby się ich obawiać.

Powód pierwszy to nadal niejasna kwestia przyszłego ukraińskiego bezpieczeństwa dzień po hipotetycznym zawieszeniu broni. O zaproszeniu do NATO mówi się ostatnio już tylko w Kijowie, ewentualnie półgębkiem w Wilnie czy Warszawie, jak podczas niedawnego spotkania Zełenskiego z Dudą, choć już nie z Tuskiem. A zaprezentowana pod koniec stycznia idea ukraińskiego prezydenta, aby zamiast tego wysłać na Ukrainę „co najmniej 200 tys. europejskich żołnierzy" mających ochraniać państwo przed kolejną moskiewską inwazją, została w Europie potraktowana niczym jeszcze jeden przykład fantazji Zełenskiego, więc nikt na serio nawet jej nie komentował.

Jaki zatem cud miałby sprawić, aby po krótkiej rozejmowej „pieriedyszce" Moskale na powrót nie ruszyli na Ukrainę? Dotąd ani w Ameryce, ani w Europie nikt tego nie wyjaśnił. W Kijowie mają więc powód do niepokoju.

Ostatnio Zełenskiemu przybył jeszcze drugi powód do obaw o hipotetyczne negocjacje rozejmowe. Oto amerykański wysłannik pokojowy gen. Keith Kellogg, skądinąd zwolennik zwiększenia zachodniej presji na Kreml jako jedynej drogi prowadzącej do rozejmu, zasugerował niedawno, iż do końca br. Ukraina powinna przeprowadzić wybory prezydenckie i parlamentarne.

W zasadzie Kellogg w wywiadzie dla agencji Reuters powiedział z początku rzecz oczywistą: „Wybory na Ukrainie muszą się odbyć, zwłaszcza jeśli dojdzie do porozumienia z Rosją w najbliższych miesiącach". Wiadomo, że pierwsza kadencja Zełenskiego upłynęła w 2024 r., ale zarówno ukraińska konstytucja, jak i zdrowy rozsądek nakazują odłożyć kolejne, konfliktowe z natury wybory głowy państwa na czas po zakończeniu wojny. Więc skoro zawarto by rozejm, to rzecz jasna byłyby też wybory. I nie ma powodu, aby Amerykanie wywierali tu jakiś nacisk.

Jednak gen. Kellog posunął się dalej w swoich sugestiach. Opowiadał nawet, jakby naiwnie, o uroku i zaletach wielości ludzi ubiegających się o władzę, po czym skonkludował, iż „większość demokratycznych państw przeprowadza wybory w czasie wojny". Być może taka opinia ma swe źródło w pamięci o wyborach prezydenckich w USA w 1944 r. Lecz Ameryka nie prowadziła wtedy wojny na swoim terytorium, a amerykańskie miasta nie były bombardowane niemal każdego dnia.

eprasa.pl ddcc5e7c42

Sedno sprawy tkwi jednak w tym, że na brak wyborów na Ukrainie nieustannie powołuje się władca Rosji, używając tego argumentu, by zdezawuować Zełenskiego jako potencjalnego partnera do negocjacji. Jest całkiem jasne, że Putin, który wybory w Rosji przekształcił w oszukańczy rytuał dyktatury, używa argumentu o „uzurpacji" ukraińskiego prezydenta tylko po to, aby albo zablokować możliwość rozmów pokojowych, albo (jeszcze lepiej dla Moskwy) wykluczyć z nich udział Ukrainy. Jeśli wysłannik Trumpa przebąkuje coś o konieczności wyborów na Ukrainie „jeszcze w tym roku", w Kijowie musiał się pojawić niepokój.

PUŁAPKA

Jeśli bowiem z zapowiadanych od dawna osobistych rozmów Trumpa i Putina miałoby wyniknąć, iż wybory na Ukrainie nie mają być skutkiem, ale warunkiem zawarcia rozejmu, to nie tylko sam Zełenski, lecz także państwo znaleźliby się w pułapce.

Właśnie to jasno wynika z odpowiedzi Budanowa, wygłoszonej ponoć „z tym jego zimnym uśmieszkiem" do liderów partyjnych z Rady Najwyższej. Spór o wybory na Ukrainie i demokratyczną legitymację Zełenskiego sparaliżowałby bowiem wszelkie „poważne negocjacje" na wiele miesięcy, o ile Amerykanie nie odrzuciliby formułowanego w złej wierze argumentu Putina. A wtedy do lata 2025 r. nie ma szansy na przełamanie obecnego impasu politycznego. Wedle wiarygodnej prognozy Budanowa front może zatem pęknąć, a na Ukrainie zaczną się „bardzo niebezpieczne procesy", być może nawet „zagrażające samemu istnieniu" kraju.

Zdaje się, że Moskwa stawia na taki chaotyczny scenariusz. Dość dawno temu Trump powiedział publicznie ze specyficznym dlań poczuciem autoironii, iż „prezydent Chin szanuje mnie, bo wie, że jestem szalony". Całkiem podobnie jest z Putinem. Po tym, jak amerykański prezydent wpisem w sieci zagroził Moskwie nowymi sankcjami i cłami, jeśli zamierzałaby dalej prowadzić wojnę, ton Putina wobec Ameryki stał się przyjazny i miękki, a jego gotowość do negocjacji z Trumpem niemal nieograniczona. Ale właśnie z nim, a nie z uzurpatorem Zełenskim, który najpierw musiałby przeprowadzić wybory.

Sedno kłopotu, przed którym staje wtedy Ukraina, nie polega na tym, że „Kijowa nie byłoby przy stole" albo że (wedle znanego sloganu) decyzje zapadałyby „o nas, ale bez nas". O hipotetycznych warunkach rozejmu, jeśli do niego dojdzie, i tak zdecydują przecież Putin z Trumpem, bo ten pierwszy prowadzi wojnę i tylko on może zatrzymać działania, a ten drugi trzyma w ręku losy Ukrainy, gdyż bez jego pomocy Kijów czeka kapitulacja przed Moskalami. Prawdziwy kłopot Zełenskiego tkwi w tym, że Ukraina nie ma dziś czasu, aby odłożyć rozejm na okres po wyborach, a te nieuchronnie stałyby się tylko czynnikiem wewnętrznego rozkładu państwa i rozpasanej aktywności moskiewskiej agentury.

> Prawdziwy kłopot Zełenskiego tkwi w tym, że Ukraina nie ma dziś czasu, aby odłożyć rozejm na okres po wyborach prezydenckich, a te nieuchronnie stałyby się tylko czynnikiem wewnętrznego rozkładu państwa

Jak sprawdzili ostatnio analitycy agencji Reuters, w 2024 r. pomoc wojskowa USA dla Ukrainy wyraźnie osłabła, a ekipa Bidena zaczęła nadrabiać zaległości dopiero w listopadzie i grudniu, gdy było już wiadomo, że w styczniu musi oddać władzę. Nie jest więc przypadkiem, że Zełenski ironizował: „Nie wiem, gdzie są te ciagle zapowiadane pieniądze". Ale i tak gdy idzie np. o sprzęt pancerny, obietnice złożone Kijowowi zostały spełnione zaledwie w 30 proc. Pod koniec stycznia, gdy Trump zamroził chwilowo wszystkie amerykańskie fundusze pomocowe dla zagranicy, nastąpiła (tak wynika z analizy agencji Reuters) chwila niepewności i zawieszenia, także gdy idzie o fundusze i dostawy wojskowe na Ukrainę. Ale trwała ona krótko. I już w pierwszy weekend lutego stało się jasne, że strumień dostaw z Ameryki na Ukrainę znów płynie normalnie, a sam Trump znalazł dla tej decyzji uzasadnienie świetnie wpisujące się w logikę sloganu „America First". Przyjął bowiem ofertę złożoną przez Zełenskiego jeszcze w październiku 2024 r. będącą wówczas częścią ukraińskiego „planu zwycięstwa", wedle której Ukraina zrewanżuje się Ameryce bezpiecznymi dostawami tzw. metali ziem rzadkich, o które toczy się dziś globalna walka związana z szybkim postępem technologii cyfrowych.

W przeciwieństwie do niebezpiecznych dywagacji gen. Kellogga na temat wyborów na Ukrainie, ta okoliczność budzi w Kijowie nową falę politycznego optymizmu. Oto Trump osobiście angażuje się w koncepcję od dawna uważaną przez Kijów za swój mocny argument w pertraktacjach z Amerykanami, który ekipa Bidena zadawała się ignorować.

Teraz wyraźnie ucieszony takim obrotem spraw Zełenski mówi podczas konferencji z szefem Międzynarodowej Agencji Energii Jądrowej, iż taka koncepcja „byłaby bardzo sprawiedliwa". Eksperci ukraińscy tłumaczą zaś, iż to wyborny pomysł, aby Ukraina mogła upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu. „Z jednej strony wyzwalamy kraj spod okupacji, a z drugiej mamy do dyspozycji firmy technologiczne, z którymi możemy współpracować" – mówi znany ukraiński analityk Mykoła Dawydiuk. Po czym dodaje z zapałem: „Gdyby Elon Musk wydobywał u nas lit, to auta Tesla, a przynajmniej akumulatory do nich, byłyby produkowane na Ukrainie. To zasadniczo zwiększałoby nasze bezpieczeństwo". I znów tylko kanclerz Scholz, niezmiennie rozeźlony od listopada na Amerykę, miota z tego powodu niezrozumiałe słowa potępienia dla „samolubności" Trumpa.

eprasa.pl ddcc5e7c42

Każdego dnia coś nowego

W czasie pierwszych dziesięciu dni Trumpa w Białym Domu zobaczyliśmy więcej prezydenckiej aktywności niż przez całe poprzednie cztery lata

Michał Karnowski rozmawia z Timem Constantine'em, byłym amerykańskim politykiem, obecnie prowadzącym popularny polityczny program radiowy „The Capitol Hill Show"

Fot. Archiwum prywatne

Spotykamy się w Brukseli na konferencji MEGA – Make Europe Great Again zorganizowanej przez frakcję Europejskich Konserwatystów i Reformatorów. Dominującym tematem w dyskusjach panelowych i kuluarach jest zwycięstwo Donalda Trumpa. Jakie wnioski z jego olśniewającego sukcesu płyną dla konserwatystów w Europie? I najważniejsze: co zdecydowało? W jaki sposób zdołał przełamać dominację potężnych sił lewicowych w mediach, biznesie, kulturze?

Tim Constantine: Wskazałbym trzy kluczowe elementy przytłaczającego zwycięstwa Donalda Trumpa w wyborach. Pierwszym jest zdroworozsądkowe podejście do wielu spraw, widoczne zwłaszcza na tle presji większości Partii Demokratycznej i liberalnych mediów na wdrażanie ideologii progresywnej, którą u nas określa się jako „woke" – od słowa „przebudzeni". Kwestie takie jak promocja transgenderyzmu, w tym w wojsku, i biologiczni mężczyźni konkurujący w sporcie z kobietami zaczęły niepokoić większość obywateli, zaczęło to być dla nich problemem w codziennym życiu. Powszechnie odrzucano zdrowy rozsądek i jeszcze wmawiano nam, że nie możemy się z tym nie zgadzać. A Donald Trump się nie zgadzał i mówił o tym głośno. Cały jego zespół też głośno polemizował z tym wszystkim.

eprasa.pl ddcc5e7c42

To było osią jego kampanii?

Tak. Bardzo precyzyjnie wskazywał na odchodzenie administracji Bidena od zdrowego rozsądku i konsensusu społecznego w najważniejszych dla ludzi w moim kraju sferach: edukacji, wojsku i ekonomii. W tej ostatniej to, co mówił Joe Biden, zderzało się z doświadczeniem ludzi i danymi statystycznymi. Biden mówił o wielkim rozkwicie gospodarki, którego nie odczuwano i który nie miał potwierdzenia w danych. Robił też rzeczy, które były motywowane ideologiczne, nie służyły gospodarce i Trump umiał to nazwać po imieniu.

To dlatego tak się zmieniły nastroje od listopada 2022 r., gdy Donald Trump oficjalnie ogłosił, że będzie ponownie walczył o prezydenturę? Przywitał go rechot, sceptycyzm na prawicy i przekonanie, że będzie musiał prowadzić kampanię zza więziennych krat.

Tu dochodzimy do drugiego elementu przełomu, który się dokonał. Statua Wolności w Nowym Jorku to dla Amerykanów ważny symbol wolności, sprawiedliwości i braku ucisku. Te wartości są u nas traktowane bardzo poważnie. Tymczasem ludzie widzieli nadużywanie, upolitycznienie wymiaru sprawiedliwości, traktowanie go jak młota na przeciwnika. Widzieliśmy sądy lokalne, stanowe i federalne, w których trwało polowanie na Donalda Trumpa, wiele dochodzeń w sprawach sprzed 30, 19, 15 lat.

Oraz nagle uruchamiane dochodzenia podatkowe.

Tak, i wszystko przypadkowo zbiegające się w jednym czasie, akurat tuż przed wyborami. Gdyby to była jedna sprawa w Nowym Jorku, jedno dochodzenie w Waszyngtonie, to zrobiłoby jakieś wrażenie, osłabiło Donalda Trumpa. Ale w tej skali tylko podważyło zaufanie do wymiaru sprawiedliwości i potwierdzało słowa kandydata Partii Republikańskiej, iż jest ofiarą nagonki. Zwykli ludzie są bowiem dużo bardziej inteligentni, niż wydaje się przedstawicielom lewicowego establishmentu. I ci zwykli ludzie uznali, że zwalenie tego wszystkiego na Trumpa właśnie w tym momencie wynika z politycznej motywacji, a nie autentycznego poszukiwania prawdy i sprawiedliwości.

Sam Donald Trump konsekwentnie nazywał to polowaniem na czarownice.

I przekonał ludzi, odparł ten atak. Bo te sprawy uruchamiano w obszarze jego osobistych spraw, jego biznesów i sprawowania urzędu prezydenta. Wszystko naraz, wszystko bardzo wątpliwe. Do tego doszła histeria w sprawie rzekomej insurekcji, powstania z 6 stycznia 2020 r. Nic takiego nigdy nie miało miejsca. Mieliśmy zamieszki, źle, że do nich doszło, ale nie budujmy zakłamanych wizji. W sumie większość Amerykanów uznała tak bezczelne wciskanie im tych opowieści oraz zarzuty karne wobec Trumpa za nonsens. I jednocześnie poczuła się bardzo tym dotknięta, urażona takim wykorzystywaniem wymiaru sprawiedliwości. Ale momentem, w którym naprawdę coś się zmieniło, kiedy pękły bariery, był zamach na niego. I to jest trzeci punkt mojej analizy.

Dlaczego to było tak ważne?

Każdy mógł zobaczyć, że kula przeszła milimetry od jego głowy, raniąc go w ucho. Ranny Trump zachował się bardzo dzielnie. Wtedy wielu ludzi pomyślało: „Może bywa bardzo dosadny, może nie zawsze mówi rzeczy, z którymi się zgadzam, ale to nie znaczy, że chcę, by został zamordowany!". W mojej ocenie był to moment otrzeźwiający wielu obywateli, unieważniający całą tę kampanię skierowaną przeciwko temu politykowi, uświadamiającą jej niedemokratyczny i chwilami szaleńczy charakter.

Co pan myśli o tym zamachu? Jak sprawca mógł podejść tak blisko w czasie wiecu do nie tylko już nominowanego wtedy kandydata na prezydenta, lecz także byłego prezydenta? Ktoś mógł zdecydować, by osłabić jego ochronę?

Możliwe jest wszystko, także po prostu czyjś błąd. Ale w tej sprawie ważne było coś innego. Otóż chwilę wcześniej zespół Donalda Trumpa poprosił ówczesnego prezydenta Joe Bidena o zwiększenie ochrony przez służbę Secret Service, o jej pełną wersję. I Biden odmówił. W momencie zamachu to zrobiło bardzo złe wrażenie, pokazało niedobrą małość ówczesnej administracji. Nawet ludzie życzliwi Bidenowi zobaczyli, że popełnił duży błąd, bo to zagrożenie było możliwe do przewidzenia.

Wskazuje pan zatem na składane przez Trumpa obietnice przywrócenia zdrowego rozsądku w edukacji i gospodarce, rażące wykorzystywanie wymiaru sprawiedliwości przez zwolenników Bidena i nieudany zamach na kandydata na prezydenta jako trzy kluczowe elementy prowadzące do triumfu kandydata republikańskiego. A słabość najpierw jego przeciwnika, a następnie przeciwniczki?

To jasne, to spojrzenie też jest ciekawe. Ale wskażę tu na nieoczywisty wątek – dla wielu wyborców ważne było to, że Kamala Harris nie miała mocnej legitymacji obywateli do startu w tych wyborach. Kto ją wybrał? Czy brała udział w prawyborach? Czy tak to robimy w Stanach Zjednoczonych? Gdzie w tym wszystkim choć ślad udziału obywateli? Ludzie zadawali sobie te pytania i to ją osłabiało. Podskórnie wyczuwało się przekonanie, że nie wygrałaby prawyborów. Mam tu trochę dziennikarskiej satysfakcji, bo napisałem w „The Washington Times", że Biden nie będzie kandydatem w tych wyborach, poczeka, aż minie konwencja demokratyczna i wtedy ustąpi, by ktoś inny mógł wystartować. To się spełniło, choć mówiono mi, że zwariowałem.

Uważał pan, że to był plan, by wskazać Kamalę Harris?

W grę wchodziła jeszcze Michelle Obama. To była możliwość poważnie rozważana przez demokratów. Wybrano jednak Harris, która też zapewniała ludziom Baracka Obamy i jemu samemu możliwość dalszego realnego sprawowania władzy z tylnego siedzenia. Za czasów Bidena ich wpływy w Białym Domu były ogromne.

Czy podziela pan pogląd, że Kamala Harris nie udźwignęła tego zadania intelektualnie?

Delikatnie mówiąc, nie była błyskotliwa. To doświadczenie wielu jej rozmówców. Przez pierwsze trzy tygodnie po ogłoszeniu jej startu robiła

eprasa.pl ddcc5e7c42

dobre wrażenie, bo unikała wywiadów, dłuższych wypowiedzi. Stwarzano wrażenie, że jest miła, czarująca, ma charyzmę. Na chwilę to zadziałało, ale potem nie dało się już ukrywać jej w ten sposób i amerykańska opinia publiczna rozpoznała słabości oraz ograniczenia kandydatki demokratów. Niektórzy członkowie tej partii przekonują, że ludzie nie mieli szansy naprawdę jej poznać. Przeczą temu dane – im bardziej ją poznawali, tym mniejsze miała poparcie.

W trakcie swojego wystąpienia na konferencji MEGA powiedział pan, że nawet dla tych Amerykanów, którzy nie głosowali na Donalda Trumpa, jego ponowna prezydentura jest nowym otwarciem. Co miał pan na myśli?

Kiedyś to było oczywiste. Z dzieciństwa pamiętam objęcie urzędu przez Cartera i potem kolejnych prezydentów, Reagana, Busha i następnych. To zawsze był nowy początek, przypływ nadziei, optymizmu, rodzaj podekscytowania w oczekiwaniu na zmiany. Ludzka natura potrzebuje takich przełomów. Ale w 2016 r. było inaczej. Amerykańskie media tak bardzo nie lubiły Trumpa, że od pierwszego dnia się na niego rzuciły, nigdy nie dały mu „miodowego miesiąca". A potem nastał Joe Biden, który był przez media pieszczony, ale nie potrafił wykrzesać wiele nadziei i optymizmu. Teraz wracamy do tej dobrej tradycji. Nowy prezydent ma kredyt zaufania, wsparcie opinii publicznej i nawet te media, które go nie lubią, musiały uznać jego zwycięstwo.

Choć mam wrażenie, że są w żałobie.

To dobre określenie, ale jednak nie atakują tak szaleńczo jak wcześniej.

Ambicje prezydenta Trumpa są duże. Chce nie tylko przetrwać, lecz także zmienić świat. Zaczął serią aktów wykonawczych dotyczących ochrony granic, deportacji nielegalnych migrantów, uwolnienia zasobów energetycznych. Zapowiedział skończenie z udziałem mężczyzn w żeńskim sporcie, przerwanie finansowania światowej lewicy. Jak pan ocenia jego start?

Jako niezwykle dynamiczny. Otwarcie mówi o tym, co robi i co zamierza, a to jest bardzo dobre. Jest niezwykle aktywny. W czasie pierwszych dziesięciu dni Trumpa w Białym Domu zobaczyliśmy więcej prezydenckiej aktywności niż przez całe poprzednie cztery lata. Amerykanie widzą go podpisującego ważne decyzje, a także z ofiarami straszliwych pożarów w Kalifornii, pracownikami kasyn w Newadzie, gdzie rozmawia o ich zarobkach, a na Florydzie z robotnikami. Zatrzymał niemądre finansowanie z Agencji Rozwoju Międzynarodowego (USAID), zablokował przymus lewicowej polityki DEI (polityka różnorodności, równości, inkluzywności), przywrócił pojęcie tylko dwóch płci. Błyskawicznie reaguje na wyzwania. Każdego dnia jest coś nowego, widać działanie, istnieje jasny przekaz, co i dlaczego robi prezydent.

> Hasło „America first" nie oznacza odwrócenia się do świata plecami, ale podkreślenie, że podstawowym zadaniem prezydenta Stanów Zjednoczonych jest troska o Stany Zjednoczone. Gdy jest ono wykonane, gdy jesteśmy tego pewni, możemy współpracować z innymi

Jak Amerykanie przyjmują odchodzenie od szalonej lewicowej agendy, tak promowanej w mediach?

Z ulgą. Większość zgodziła się z nim, że armia amerykańska powinna przygotowywać się do zadań, które przed nią stoją, a nie być miejscem społecznych eksperymentów, np. z transseksualnymi żołnierzami.

Straszono, że Ameryka Trumpa będzie izolacjonistyczna, a widzimy odwrotny kierunek – Amerykę aktywną, bojową.

Straszono świadomie. Hasło „America first" nie oznacza odwrócenia się do świata plecami, ale podkreślenie, że podstawowym zadaniem prezydenta Stanów Zjednoczonych jest troska o Stany Zjednoczone. Tak jak prezydenta Polski o Polskę. Gdy jest ono wykonane, gdy jesteśmy tego pewni, możemy współpracować z innymi. Gdy mówimy, że chcemy ochrony własnych granic, nie znaczy to, że nie interesuje nas bezpieczeństwo waszych granic. Ale najpierw zabezpieczymy swoją, potem możemy wam pomóc. Możemy to nazwać planem zdrowego rozsądku.

Co prezydent Donald Trump zrobi z wojną na Ukrainie, z rosyjską napaścią na ten kraj?

Myślę, że będzie szukał rozsądnego rozwiązania. Z jednej strony ma świadomość, że nie może zrobić niczego, co będzie nagrodą dla agresora, co będzie zachęcało do kolejnych napaści. Z drugiej, że czasami trzeba szukać kompromisu, że ta wojna jest wyniszczająca także dla Ukrainy. Ten koszmar trzeba jakoś zatrzymać. Donald Trump, z opinią pewnej nieprzewidywalności i determinacji, na pewno jest politykiem mającym większe niż inni szanse wymusić na Rosji akceptację pewnych warunków. Właśnie dlatego, że nie są pewni, co zrobi.

Drugim trudnym wyzwaniem będzie spełnienie zapowiedzi deportacji nielegalnych migrantów. Łatwo sobie wyobrazić media zalane poruszającymi scenami ludzi przymusowo odsyłanych z USA, w tym dzieci, uczennice. Te emocje nie będą udawane.

To prawda, że dotykamy trudnych spraw, ale idea, iż suwerenny naród nie musi kontrolować swoich granic, nikogo już nie przekonuje. Przyjechało do nas wielu kryminalistów, wielu ludzi złamało nasze prawo i nie możemy się na to godzić. Amerykańska opinia publiczna nie daje się już łatwo nabierać na różne medialne sztuczki. Bardzo dojrzeliśmy przez ostatnie lata.

eprasa.pl ddcc5e7c42

Katastrofa nad Potomakiem ożywiła amerykańskie spory

Przenikająca dotychczas przez wszystkie amerykańskie instytucje polityka DEI (różnorodność, równość i integracja), egoizm i wygoda politycznych elit, łamanie przyjętych procedur – debatę na te tematy wywołało w Stanach Zjednoczonych tragiczne w skutkach zderzenie w powietrzu samolotu pasażerskiego z wojskowym śmigłowcem

MAREK BUDZISZ

Katastrofa lotnicza w Waszyngtonie, w której zginęło 67 osób – po tym, jak lecący z Wichita w Kansas samolot zderzył się w powietrzu z wojskowym śmigłowcem Black Hawk – wzbudziła w Stanach Zjednoczonych falę kontrowersji. Powodów jest co najmniej kilka.

Zainteresowanie amerykańskiej opinii publicznej z pewnością jest związane z faktem, że był to pierwszy tak poważny wypadek lotniczy od 23 lat (w listopadzie 2001 r. w katastrofie nieopodal nowojorskiego portu lotniczego im. Johna F. Kennedy'ego zginęło 265 osób). Nie ma jeszcze oficjalnej odpowiedzi na pytanie, co się stało. Uważa się, że federalna agenda zajmująca się badaniem tego rodzaju katastrof wyda wstępny raport pod koniec lutego. Za najbliższe prawdy uważa się trzy możliwe scenariusze.

PRZYCZYNY KATASTROFY

Według pierwszego trzyosobowa załoga wojskowego black hawka, który wykonując przelot ćwiczebny, wykorzystywał korytarze powietrzne przewidziane dla przewozu VIP, znajdowała się zbyt wysoko i dlatego doszło do kolizji ze schodzącym do lądowania samolotem pasażerskim. O tym, że śmigłowiec mógł znajdować się o 60 m wyżej niż powinien, napisał w serwisie społecznościowym Truth Donald Trump i przydało to politycznego odcienia dyskusji na temat tego, co się stało.

Demokraci skłonni są raczej pisać o nieszczęśliwym wypadku i do takiej wersji przychylają się niektórzy specjaliści. Miles O'Brien, pilot i ekspert w zakresie analiz przyczyn wypadków lotniczych, powiedział CNN, że zatwierdzone przez kontrolę lotów trasy śmigłowca i samolotu pasażerskiego „dzieliło tylko 100 m", co oznacza, że „w ciasnej, niepozostawiającej miejsca na margines błędu przestrzeni wszyscy muszą być czujni i lecieć perfekcyjnie". Innymi słowy mogliśmy mieć do czynienia – to drugie z możliwych wyjaśnień – z nieszczęśliwym wypadkiem. W takiej sytuacji piloci powinni być perfekcyjni, a nie byli, tym bardziej że, jak zauważyła Elizabeth McCormick, pilot śmigłowców Black Hawk, załoga, zwłaszcza wykonująca lot w tak zatłoczonej przestrzeni powietrznej, powinna być liczniejsza. McCormick powiedziała mediom, że „jeśli liczyła ona trzy osoby", tak jak w czasie fatalnego lotu, mogła obserwować przestrzeń o kącie 180°, a to zbyt mało i wówczas może dojść do pomyłki.

Po tym, jak media ujawniły nagrania z wieży kontroli lotów, pojawiła się nowa, trzecia wersja tego, co się wydarzyło. Jak zauważyła Mary Schiavo, analityk lotnictwa i był inspektor generalna Departamentu Transportu, w momencie, kiedy wieża nakazała pilotom śmigłowca przelecieć za samolotem, z którym nastąpiło potem zderzenie, mogli oni pomylić maszyny, ponieważ „w okolicy było widać inne światła, szczególnie jedno jasne światło z innego samolotu". Ta pomyłka

eprasa.pl ddcc5e7c42

mogła być też związana z wprowadzającym w błąd poleceniem z wieży kontroli lotów – jak informowały media, feralnego dnia pracowało tam mniej kontrolerów ruchu niż powinno i zadania normalnie realizowane przez dwie osoby musiały być wypełniane przez jedną.

Przy okazji prezydent Donald Trump oskarżył swego poprzednika w Białym Domu, że realizując politykę DEI (różnorodność, równość i integracja), doprowadził do sytuacji, w której na trudne i wymagające stanowiska, w tym w kontroli lotów, nie zatrudnia się najlepszych kandydatów, ale tych, którzy spełniają kryteria rasowe i płciowe. „Musimy stosować tylko najwyższe standardy dla tych, którzy pracują w naszym systemie lotniczym" – powiedział prezydent USA, oskarżając Pete'a Buttigiega, sekretarza transportu w administracji Bidena, o to, że zatrudniał on w służbach kierowania ruchem lotniczym tych, którzy poprawiali statystyki.

Słowa Trumpa, który powołał się na swój „zdrowy rozsądek", nawiązują do publicznej debaty mającej miejsce w Stanach Zjednoczonych w ub.r. po tym, jak w samolocie Boeing, który wystartował z Portland w stanie Oregon, odpadły drzwi. Oficjalny raport opublikowany w lutym minionego roku ujawnił, że serwisujący „zapomnieli" wstawić trzy z czterech śrub, co skłoniło wówczas Elona Muska do formułowania publicznych oskarżeń o to, że administracja Joe Bidena zaniża wymogi bezpieczeństwa w ruchu lotniczym właśnie w związku z polityką przyjmowania do pracy słabiej wykształconych i gorzej zmotywowanych przedstawicieli mniejszości rasowych.

TŁOK W POWIETRZU

W związku z katastrofą nad Potomakiem publicznie dyskutuje się o jeszcze dwóch kwestiach.

Padają pytania, dlaczego przestrzeń powietrzna nad Waszyngtonem musi być do tego stopnia zatłoczona, że tego samego dnia przed katastrofą port lotniczy Ronalda Reagana przyjął już ponad 700 samolotów. Odpowiedź jest prosta. Zdaniem dziennikarzy „The Wall Street Journal", którzy zajęli się tą sprawą, lotnisko leży tak blisko Kapitolu, że politycy nie mogą oprzeć się pokusie i stale wywierają presję na zwiększenie liczby lotów. W ub.r. po zaciętej debacie na temat tego, czy można by było przyjąć więcej samolotów, Kongres zezwolił na zwiększenie ich liczby i nowe pozwolenia zostały przy-

Fot. AP Photo/Jose Luis Magana/East News

eprasa.pl ddcc5e7c42

znane pięciu liniom, które zamierzały latać do San Antonio, San Diego, Seattle, Las Vegas i San Francisco. Nawiasem mówiąc, to wyjaśnia, dlaczego z Warszawy nie ma bezpośrednich połączeń z amerykańską stolicą – nasze linie nie są w stanie wygrać rywalizacji z tymi, którzy mogą liczyć na lobbing kongresmenów.

Do zatłoczonej przestrzeni powietrznej należy też dodać helikoptery, które codziennie latają nad Potomakiem. Wiele z nich realizuje loty wojskowe z Pentagonu i innych agencji rządowych, przewożąc urzędników lub gości zagranicznych. „Piloci od lat narzekają – napisał dziennik – na obecność śmigłowców wojskowych" w okolicach waszyngtońskiego lotniska. Daniel Driscoll, nowy podsekretarz stanu w Pentagonie, powiedział w czasie niedawnych przesłuchań w Kongresie, że armia „musi przemyśleć" swoją politykę lotów treningowych w bezpośredniej bliskości tak zatłoczonego portu lotniczego. Jak ujawniono w raporcie federalnej agencji będącej odpowiednikiem naszego NIK, w latach 2017–2019 miało miejsce 88 tys. lotów śmigłowców w odległości do 50 mil od lotniska, z czego 37 proc. przypadków dotyczyło maszyn wojskowych.

RÓWNI I RÓWNIEJSI

To nie jedyna sprawa, którą armia „musi przemyśleć". Dwa dni po tym, jak ujawniono personalia dwóch przedstawicieli załogi śmigłowca Black Howk, którzy zginęli w katastrofie, rzecznik sił zbrojnych poinformował, że trzecią osobą z załogi była kpt. Rebecca M. Lobach, 28-letnia pilot, mająca 450 godzin lotów. Poinformowano, że ta zwłoka w ujawnieniu jej personaliów wynikała z prośby rodziny, jednak Chase Spears, oficer z 20-letnim stażem, na specjalistycznym portalu wojskowym Real Clear Defence zarzucił siłom zbrojnym złamanie procedur.

A są one jasne i nakazują 24-godzinną ciszę informacyjną niezbędną po to, aby poinformować rodziny i uniknąć natarczywości mediów. Tak zrobiono w przypadku dwóch pierwszych przedstawicieli załogi śmigłowca Black Howk, podobnie było w innych tego rodzaju sytuacjach w Tennessee, Kentucky i na Alasce. Dlaczego jednak w przypadku Lobach odstąpiono od tej zasady? Sprawa jest niebagatelna, zwłaszcza w Ameryce, gdzie bardzo gwałtownie reaguje się na łamanie procedur. W opinii Spearsa w grę może wchodzić albo fakt, że Lobach była aktywną zwolenniczką walki z molestowaniem seksualnym, którego ofiarą padają kobiety noszące mundur, albo, co gorsze, w grę wchodziło jej zaangażowanie polityczne i współpraca z Białym Domem. Oficer napisał, że jeśli by się okazało, iż z jednego z tych powodów armia starała się „ochronić" pamięć kpt. Lobach, to ten przypadek mógłby się stać kolejnym punktem sporu w trwającej już od lat dyskusji na temat sytuacji w amerykańskich siłach zbrojnych.

> Prezydent Donald Trump oskarżył swego poprzednika w Białym Domu, że realizując politykę DEI, doprowadził do sytuacji, w której na trudne i wymagające stanowiska, w tym w kontroli lotów, nie zatrudnia się najlepszych kandydatów, ale tych, którzy spełniają kryteria rasowe i płciowe

Przez lata uchodziły one w Stanach Zjednoczonych za organizację niekierującą się w swej polityce rekrutacyjnej czy awansu kryteriami pozamerytorycznymi. Zdaniem konserwatystów to się zmieniło wraz z nastaniem mody na ideologię woke i postawieniem również w armii na zasady preferujące mniejszości rasowe, seksualne czy prowadzenie naboru pod kątem płci kandydatów.

Jeśli przypadek kpt. Lobach utwierdziłby Amerykanów, że także w siłach zbrojnych są „równi i równiejsi", to konsekwencją mogłoby być dalsze pogłębianie się kryzysu rekrutacyjnego. Wynika on z faktu, że w Stanach Zjednoczonych służba w wojsku jest najczęściej związana z kontynuowaniem tradycji rodzinnej. Z badań przeprowadzonych na West Point wynika, że 80 proc. rekrutów rozpoczynających ochotniczą służbę w amerykańskich siłach lądowych ma w rodzinie „kogoś, kto nosił mundur". To dlatego Pete Hegseth, nowy szef Pentagonu, postawił sobie za cel „wytrzebienie" z armii ideologii gender i pozbycie się wszystkich oficerów zaangażowanych w jej promowanie. W opinii konserwatystów bez tego nie uda się odbudować zdolności amerykańskich sił zbrojnych. Przypadek kpt. Lobach i katastrofa nad Potomakiem może przyspieszyć rewolucyjne zmiany także w tym obszarze.

eprasa.pl ddcc5e7c42

Lewica pożera się sama

Film francuskiego reżysera Jacques'a Audiarda „Emilia Pérez" o transpłciowym bossie narkotykowym był faworytem w wyścigu o Oscary. Nie spodobał się on jednak Meksykanom oraz aktywistom trans. Okazało się też, że transpłciowa aktorka grająca główną rolę ma niewłaściwe poglądy

ALEKSANDRA RYBIŃSKA

„Witam, bardzo miło mi cię poznać. Chciałbym się dowiedzieć czegoś o operacji zmiany płci. [...] Z mężczyzny na kobietę czy kobiety na mężczyznę? [...] Od penisa do pochwy" – oto fragment tekstu piosenki „La Vaginoplastia" z musicalu „Emilia Pérez", w którym boss meksykańskiego kartelu narkotykowego finguje swoją śmierć, a następnie dokonuje zmiany płci, by uciec przed prawem i trupami, które dzięki niemu siały się gęsto. Jako kobieta o imieniu Emilia Pérez nie tylko staje się bardziej szczęśliwym, lecz także zaangażowanym aktywistą na rzecz sprawiedliwości społecznej.

Muzyczna bajeczka produkcji Netfliksa o transformacyjnej sile odcięcia sobie genitaliów zgarnęła 11 nominacji do nagród BAFTA, brytyjskich odpowiedników Oscarów, oraz nominację do 12 Cezarów we Francji, w tym za najlepszy musical. Do tego doszło 13 nominacji do Oscarów. W styczniu film zgarnął już cztery Złote Globy. I to mimo iż dzieło francuskiego reżysera Jacques'a Audiarda jest „nonsensowne", jak pisze „Hollywood Reporter", „dziwaczne" oraz ma niewiele wspólnego z musicalem. Otrzymało za to ogromne wsparcie społeczności Hollywood. Reżyser James Cameron nazwał je „pięknym dziełem filmowym".

POD SPODEM TEN SAM FACET

W skrócie: według „The Daily Telegraph" deszcz nagród dla „Emilii Pérez" miał być „wielkim środkowym palcem dla prezydenta Donalda Trumpa", który zadeklarował, że są tylko dwie płcie i usuwa osoby transpłciowe z armii, administracji oraz kobiecego sportu.

Jak twierdzi gazeta, film „prawdopodobnie najlepiej odzwierciedla fabrykę snów". Jest „niechlujny, jaskrawy, zideologizowany i odstraszający dla większości zwykłych fanów kina". No i gdzieś na jego marginesie kręci się piosenkarka Selena Gomez, która rozlewała ostatnio gorzkie łzy nad deportowanymi przez Trumpa nielegalnymi migrantami.

Tak mogłoby już pozostać aż do ceremonii oscarowej 2 marca. Zamiast tego wybuchł skandal, i to na wielu płaszczyznach. Po pierwsze, film nie podoba się aktywistom trans. GLAAD, wpływowa amerykańska organizacja broniąca praw osób LGBT+, uznała, że aktorka grająca główną rolę, Karla Sofía (wcześniej Carlos) Gascón, nakreśliła „głęboko wsteczny portret transpłciowej kobiety", a powiązanie tożsamości trans z przestępczością stanowi „krok wstecz w walce o społeczne uznanie".

Jeden z transpłciowych recenzentów dla PinkNews poskarżył się, że „scenariusz jest tak heteronormatywny, że prawie satyryczny". „»Emilia Pérez« to wspaniała katastrofa" – napisał także krytyk trans Drew Burnett Gregory dla portalu Autostraddle.

Zapanowała niepewność, czy Audiard chciał swoim dziełem pomóc społeczności trans, czy ją wyśmiać. Czy musicalowy numer w klinice zmiany płci, gdzie pielęgniarki kręcą wokół siebie pacjentów na noszach i śpiewają „Plastyka pochwy!", nie miałby stanowić tego kroku naprzód, na który czekała społeczność trans? Kto by się spodziewał. Pomijając fakt, że film wmawia nam, że zmiana płci prowadzi do moralnej zmiany (morderczy boss narkotykowy nagle staje się aniołkiem i zarzuca lukratywny biznes), co jest niedorzeczne, to na dodatek pokazuje Emilię Pérez już po tranzycji, gdy odnajduje żonę oraz dzieci i brutalnie wkręca się z powrotem do

eprasa.pl ddcc5e7c42

ich życia, zachowując się jak mężczyzna, którym rzekomo już nie jest. To najbardziej wzburzyło krytyków, bo pozostaje dalekie od przedstawienia kobiet trans jako „prawdziwych kobiet". Emilia Pérez zmieniła płeć, ale pod spodem nadal jest tym samym facetem.

POGRĄŻAJĄCE TWEETY

Na domiar złego główna gwiazda filmu Karla Sofía Gascón nie bardzo nadaje się na bohaterkę środowiska trans. Sarah Hagi, mieszkająca w Kanadzie pisarka wyznająca islam i zajmująca się kulturą, odkryła wiele obraźliwych jej zdaniem tweetów transpłciowej aktorki na portalu X. Gascón stwierdziła m.in., że w Hiszpanii, gdzie mieszka, jest „za dużo muzułmanów", nikt nie tęskni za George'em Floydem, który „był narkomanem i przestępcą", a islam „jest chorobą, którą należy wyleczyć". Ponadto zasugerowała, że Hitler miał swoje racje („tak myślał o Żydach. Nie rozumiem tej wojny przeciwko niemu").

Upublicznienie tweetów Gascón, która miała się stać pierwszą transpłciową aktorką wynagrodzoną Oscarem, wywołało oburzenie nie tylko wśród organizacji muzułmańskich. Wprawdzie przeprosiła i nazwała swoje tweety „sarkastycznymi oraz ironicznymi", ale szkoda została wyrządzona.

Według hiszpańskiego „El País" Gascón „pogrzebała Oscarowe szanse filmu". „Jestem pewien, że »Emilia Pérez« nie otrzyma ani jednego Oscara" – podkreślił także krytyk filmowy Paul Brunet. Były krytyk magazynu „Time" Daniel d'Addario nazwał Gascón „Donaldem Trumpem tego oscarowego sezonu".

Cała afera stanowi największy problem dla Netfliksa. Platforma usilnie próbuje się odciąć od Gascón. Wycofała aktorkę z promocji filmu, odmawiając opłacenia jej biletów lotniczych do Los Angeles. Przerwana została także bezpośrednia komunikacja między odgrywającą rolę Emilii Pérez a szefami Netfliksa. Po naszemu: państwo ze sobą nie rozmawiają. Gascón została także usunięta z plakatów reklamujących film, a Audiard się od niej odciął, mówiąc o „utraconym zaufaniu". Hagi, muzułmanka w hidżabie, oskarżyła pierwszą aktorkę trans nominowaną do Oscarów o rasizm oraz islamofobię i nagle najbardziej postępowy film przedstawiony tegorocznej akademii traci całą swoją wartość. Lewica pożera się sama.

TANI TOKENIZM

Do sporu włączyli się zresztą Meksykanie, którzy, jak twierdzi „Hollywood Reporter", nienawidzą „Emilii Pérez". Film był mocno krytykowany za stereotypy o Meksyku, który jest w nim przedstawiany jako „bezprawny, skorumpowany i pełen przemocy gangów". Wyznanie Audiarda, że „nie studiował sytuacji w Meksyku zbyt dokładnie", naraziło go na oskarżenia o przywłaszczenie kulturowe, co w oczach lewicy jest zwykle ciężkim grzechem. Na dodatek Selena Gomez, choć pochodzi z Meksyku, słabo mówi po hiszpańsku, co doprowadziło do zarzutów, że do obcojęzycznego filmu pretendującego do Oscarów można było zatrudnić meksykańskich aktorów.

> „Emilia Pérez", muzyczna bajeczka o transformacyjnej sile odcięcia sobie genitaliów, zgarnęła 13 nominacji do Oscarów. Na nagrodę nie ma jednak co liczyć

Nietrudno się domyślić, że większość konserwatystów postrzega nominację do Oscara Karli Sofíi Gascón jako kolejny dowód na przedkładanie polityki tożsamości nad zasługi i talent. Nazwa się to tokenizmem (symbolicznymi gestami na rzecz grup dyskryminowanych). W ostatnich latach wraz z wprowadzeniem przez akademię oscarową zasad DEI przy wynagradzaniu filmów, postępowy przekaz stał się ważniejszy od treści czy formy danego dzieła. „Moonlight" to bardzo słaby film, ale zdobył trzy Oscary w 2017 r., ponieważ główny bohater był czarnoskórym gejem – spełniał więc większość kryteriów lewicowej ideologii. W ub.r. film „Barbie", przydługi i nudnawy musical, ale za to z feministycznym przekazem, był nominowany do wielu Oscarów, ale zdobył tylko jedną statuetkę, co doprowadziło do oskarżeń akademii o mizoginię. „Kapitan Marvel" wysunął na pierwszy plan kobiecą supebohaterkę i był mocno promowany przez Hollywood, ale nie spodobał się widzom. Oczywiście z powodu „seksizmu" oglądających.

EPILOG

Można bez końca wymieniać filmy, które Hollywood i platformy streamingowe wciskają nam, widzom, w celu forsowania lewicowej agendy. Jak widać na przykładzie „Emilii Pérez", czasami nawet najbardziej postępowe dzieła nie wystarczają, by zadowolić aktywistów z ich niekończącą się listą żądań. Może i jest to, jak twierdzą niektórzy krytycy, naprawdę ciekawy i oryginalny film, ale jak widać, nie o to tu chodzi. Na potencjalnym braku Oscarów dla dzieła Audiarda może skorzystać kolejny musical – „Wicked", o równie postępowym, antyrasistowskim przekazie.

W tym roku Hollywood musi się zresztą zmierzyć z innymi kontrowersjami. Jedną z nich jest fakt, że w postprodukcji filmu „The Brutalist" z Adrianem Brodym do syntezy mowy użyto programu AI Respeecher, aby uwiarygodnić język węgierski aktora. Niektóre okołofilmowe kręgi i serwisy twierdzą nawet, że sprawa może kosztować twórców „najważniejszego filmu roku" kilka Oscarów. Ta sama technologia została zresztą użyta przy wokalu Seleny Gomez w „Emilii Pérez", dając wrażenie sztuczności. A liczy się autentyczność. Do tego dochodzi kwestia pożarów w Los Angeles. Mnożą się głosy, że oscarowa gala nie powinna się odbyć, a zaoszczędzone w ten sposób pieniądze – trafić do ofiar. „Nie będę głosował w tym roku na Oscarach. Moim skromnym zdaniem powinni je odwołać" – napisał pisarz Stephen King na portalu Bluesky. „Żadnego blichtru, gdy Los Angeles płonie" – dodał.

eprasa.pl ddcc5e7c42

Stany Zjednoczone zbudowały kanał i dały niepodległość Panamie. Dziś znów chcą kontrolować ten najważniejszy dla siebie szlak

Czy Amerykanom należy się chiński Kanał Panamski?

DARIUSZ MATUSZAK

Nie minęły dwa tygodnie prezydenckiego panowania, a Donald Trump rozpętał cztery wojny błyskawiczne i odniósł cztery zwycięstwa.

Pierwsze nad Kolumbią, a właściwie jej prezydentem Gustavem Petrem, byłym komunistycznym terrorystą/partyzantem grupy M-19. Kiedy nowa administracja posłała do Bogoty samolot z jego deportowanymi z USA rodakami, ten w pełnym patosu wpisie w internecie wyjaśnił, dlaczego nie pozwoli mu lądować na kolumbijskiej ziemi. W uroczystej proklamacji zakończonej wzniosłą frazą: „Od dziś nasz kraj otwiera się na świat jako budowniczy wolności, życia i ludzkości" znalazły się wątki alkoholowe, więc znawcy orzekli, iż jak zwykle pisał po pijanemu, zaraz po randce z transwestytą czy kimś w tym stylu. Stosowne zdjęcia uroczej pary ukazały się w sieci. Na takie dictum Trump nałożył 25-proc. cła na towary z Kolumbii, więc Petro oznajmił, że został źle zrozumiany i wyśle nawet własny samolot po kolejnych deportowanych. Trump zawiesił cła.

Opisujemy tę wojenkę z detalami obyczajowymi, by pokazać, że w Ameryce Łacińskiej sztuka dyplomacji i toczenia sporów wygląda inaczej niż wśród jaśniepaństwa na brukselskich salonach. Łatwiej będzie nam pojąć batalię o Panamę. Najpierw jednak wspomnimy o dwóch wojenkach błyskawicznych zakończonych zawieszeniem broni na amerykańskich warunkach. Wbrew zasadzie, by nie walczyć na dwóch frontach, Trump zaatakował jednocześnie Kanadę i Meksyk, także nakładając na nie cła. Chodzi o to, by kraje te pilnowały granicy z USA i walczyły z przemytem narkotyków. Meksyk wysłał 10 tys. żołnierzy na granicę, Justin Trudeau poddał się po zaciekłej i krwawej rozmowie telefonicznej, więc ogłoszono zawieszenie broni, czyli zawieszenie ceł.

W międzyczasie Trump prowadził przygotowania do batalii o Grenlandię i wojny handlowej z Unią Europejską. Wzdęci od haseł o wolnym handlu eurokraci są gotowi poświęcić wiele, by Niemcy sprzedawali w Ameryce swe samochody praktycznie bezcłowo (ledwie 2,5 proc.), a amerykańskie nie robiły im konkurencji w Europie i pozostały obciążone 10-proc. cłem, liczonym też od kosztów transportu, oraz unijną akcyzą i VAT.

RUBIO W PANAMA CITY

A teraz skupmy się na najważniejszej wojnie – o Kanał Panamski. Ta ma znaczenie geostrategiczne, ponadto Trump nie wykluczył, że na pośle front nie tylko wojowników celnych. „Chiny zarządzają Kanałem Panamskim, który nie został przekazany Chinom, a Panamie przez głupotę. Panama złamała porozumienie i my go odzyskamy albo wydarzy się coś bardzo potężnego" – przekazał światu prezydent USA. Nawiązał do tego, że Ameryka zbudowała kanał i sprawowała nad nim pieczę, aż w ramach walki z imperializmem czy czymś tam w 1977 r. prezydent Jimmy Carter podpisał umowę z szefem junty Omarem Herrerą i sprzedał go Panamie za dolara z terminem wyprowadzki na koniec 1999 r. Jak się okazało, w miejsce USA wprowadziła się nie tylko Panama, lecz także Chiny.

Trump zapowiedział, że przejmie kontrolę nad kanałem nawet siłą. Te słowa zostały potraktowane bardzo poważnie, zwłaszcza przez prezydenta Joségo Mulinę, który ma w pamięci losy jednego ze swych poprzedników – gen. Manuela Noriegi, który zamiast grzecznie współpracować z Waszyngtonem, do czego jako agent zobowiązał się za pieniądze, i dbać, by komunizm się nie plenił, zajął się biznesem narkotykowym

Fot. Shutterstock

eprasa.pl ddcc5e7c42

na skalę państwową. Zbudował sobie kartel Panama, więc w 1989 r. najechało go 50 tys. amerykańskich żołnierzy. Historia była urocza, bo Noriega schował się u kochanki, a potem w nuncjaturze papieskiej, skąd Amerykanie wykurzyli go, dzień i noc na cały regulator grając piekielną muzykę zespołu Van Halen.

Na razie zamiast marines i Van Halen w mieście Panama wylądował sekretarz stanu Marco Rubio, który poleciał tam ze swą pierwszą wizytą. To zrobiło wrażenie, więc Mulino zapowiedział wyjście z inicjatywy Pasa i Szlaku – chińskiej strategii budowania wpływów przez handel i logistykę, po czym rozpoczął audyt w leżących po obu stronach kanału portach w Cristóbal i Balboa, które kontrolują Chińczycy.

Jakim prawem Trump grozi użyciem siły – pytają demokratyczne siły ludzkości z Chińską Republiką Ludową na czele. Prawem silniejszego, ale sprawa nie jest tak jednoznaczna, jak chcieliby biurkowi weterani walk z imperializmem. A zwłaszcza w Ameryce Środkowej, w której siłą kreującą państwa bywały Stany Zjednoczone. Bez nich np. Panama mogłaby być częścią Kolumbii i mieć prezydenta pijaka. W tym przypadku prawo silniejszego ma głębsze, polityczne podstawy, a wielu Amerykanów uważa, że także prawne i moralne.

ENKLAWA W PIEKLE

Powstawanie i upadki państw po rozpadzie imperium hiszpańskiego to historie awanturników i wizjonerów, splotów okoliczności, intryg i zwykłych szalbierstw. Tak było z Panamą, która stanowiła część Wielkiej Kolumbii (z Ekwadorem i Wenezuelą), Nowej Granady, Konfederacji Granady, wreszcie Republiki Kolumbii. Dla Bogoty stanowiła ona odległą, pogrążoną w plemiennych walkach prowincję. Nieprzebyta dżungla i mokradła – laguny. Los Panamy odmieniło odkrycie złota w oddalonej o 5 tys. km Kalifornii. Dwa lata wcześniej Bogota zapewniła Ameryce kontrolę nad tranzytem przez Przesmyk Panamski, najwęższy pas lądu i lagun między Atlantykiem a Pacyfikiem. W zamian Amerykanie chronili te tereny przed ruchami separatystycznymi oraz napadami z Kostaryki i Nikaragui.

Kiedy pionierzy ruszyli po złoto ze Wschodniego Wybrzeża ku Pacyfikowi, okazało się, że lepiej płynąć do Panamy, przeprawić się przez przesmyk i popłynąć statkiem do Kalifornii, niż przemierzać kontynent konno albo na wozach, więc po siedmiu latach budowy Amerykanie otworzyli pierwszą kolej łączącą wybrzeża Atlantyku i Pacyfiku – ówczesny kręgosłup Panamy. Na drugiej półkuli Francuz Ferdinand Lesseps kopał Kanał Sueski, a kiedy go ukończył, uzyskał koncesję na budowę Kanału Panamskiego. Po 20 latach mordęgi i tysiącach zmarłych od chorób tropikalnych Lesseps zbankrutował – 287 mln dol. (dzisiejsze 10 mld) i oszczędności 800 tys. inwestorów poszły w panamskie błoto. Dzieło podjął jego rodak, inżynier i żołnierz Philippe Bunau-Varilla, ale i jego niszczyło piekło dżungli.

> Trump zapowiedział, że przejmie kontrolę nad kanałem nawet siłą. Na razie zamiast marines wysłał do Panamy sekretarza stanu Marca Rubia

W tym czasie na budowę swe imperialistyczne oczy zwrócili Amerykanie. To od nich Francuz zdobył finansowanie, ale by zabezpieczyć swoje interesy, w 1903 r. Waszyngton wynegocjował z Bogotą kolejny traktat, który za opłaty oddawał pod wieczystą dzierżawę tereny budowy kanału i koncesję na jego eksploatację. Okazało się, że senat targanej rebeliami Kolumbii odrzucił ratyfikację i to, czego nie gwarantowała władza w Bogocie, zaoferowali separatyści walczący o oddzielenie Panamy od Kolumbii. Bunau-Varilla sfinansował powstanie, a z jego przywódcą podpisał kolejną umowę. To, co wynegocjował, trafiło do Amerykanów, którzy wykupili jego firmę i stali się „suwerenem" strefy o powierzchni 16 km na 80 km, gdzie mieli zbudować kanał, administrować nim, umacniać go i bronić na zawsze. Na miejscu zgodnie z traktatem z 1846 r. mieli już swoje wojsko, 2 listopada 1903 r. ich okręty zablokowały statki kolumbijskie, a dzień później Panama ogłosiła niepodległość, którą Amerykanie od razu uznali i zagwarantowali.

Kolumbia próbowała negocjować i obiecała przeniesienie stolicy z Bogoty do miasta Panama, a nawet je ostrzelała (jedyną ofiarą był właściciel chińskiej pralni), ale wyniszczona wojną domową nie była w stanie przeciwstawić się Amerykanom.

W 1904 r. znów ruszyła budowa. Ogromny wysiłek przyniósł niespodziewane owoce – wielkie postępy w leczeniu chorób tropikalnych i odkrycie roli komarów w ich przenoszeniu. Po 10 latach przedzierania się przez dżunglę i mokradła, zbudowaniu śluz i sztucznego jeziora, śmierci tysięcy pracowników, 14 sierpnia 1914 r. amerykański SS Ancon jako pierwszy oficjalnie przepłynął Kanał Panamski. Otwarto najważniejszy szlak morski USA skracający żeglugę ze Wschodniego Wybrzeża na Zachodnie o 12 tys. km. Co roku przepływa przez niego 12 tys. jednostek z ładunkiem wartym 300 mld dol. Ponad 70 proc. to transport amerykański.

JAKIM PRAWEM?

Dziś Ameryka chce wrócić do stanu przed 1999 r. i mieć kontrolę nad Kanałem Panamskim, ustanowić rodzaj enklawy. Na świecie nie brakuje terytoriów o „dziwnym", z różnych powodów niejednoznacznym statusie. Ot, brytyjski Gibraltar. Czy Ameryka, która zbudowała kanał, ma zarówno w świetle umów międzynarodowych, jak i moralne prawo do „niestandardowych" zachowań wobec Panamy, która nie dotrzymuje zobowiązań i pozwala, by największy rywal – Chiny – kontrolował najważniejszy szlak wodny i przeprawy jej flot wojennych z Atlantyku na Pacyfik? Historycy mogą spekulować, czy sami separatyści wywalczyliby niepodległość Panamy, ale uprawniona jest też teza, że bez USA kraj nie byłby niepodległy, a bez ich szlaków komunikacyjnych – kolei i kanału – byłby jak jakaś Gujana – infernem dżungli i mokradeł zamiast kwitnącą republiką.

eprasa.pl ddcc5e7c42

Tajna misja pułkownika

Celem Ryszarda Kuklińskiego było ocalenie Polski przed zniszczeniem, co zakładały plany militarne Układu Warszawskiego. Aby uniemożliwić ten scenariusz, czyli ofensywę wojsk bloku wschodniego na Zachód, przekonywał Amerykanów, by wzmocnili swe siły w Europie

Z Filipem Frąckowiakiem, dyrektorem Muzeum Zimnej Wojny w Warszawie, rozmawia Grzegorz Górny

Na czym polegała doniosłość misji płk. Ryszarda Kuklińskiego na tle innych oficerów z państw komunistycznych, którzy podjęli współpracę z zachodnimi służbami wywiadowczymi?

Filip Frąckowiak: Wyjątkowość misji Kuklińskiego wynikała ze szczególnej roli, jaką odgrywał w Ludowym Wojsku Polskim (LWP) jako oficer wysokiej rangi w Sztabie Generalnym, gdzie był m.in. szefem oddziału planowania strategiczno-obronnego. Odpowiadał za manewry, ćwiczenia i plany LWP w ramach Układu Warszawskiego (UW). Był oficerem łącznikowym między Sztabem Generalnym LWP w Warszawie a dowództwem UW w Moskwie. W związku z tym miał dostęp do wszystkich najbardziej tajnych dokumentów, jakie kursowały między tymi dwoma miejscami. Wśród nich była m.in. pełna dokumentacja danych technicznych dotyczących sprzętu wojskowego, która trafiała do armii państw UW. Były też plany strategiczne LWP, wówczas drugiej co do wielkości armii Układu, opracowywane głównie w Moskwie. Z powodu swojej pozycji Kukliński miał więc olbrzymią i unikalną wiedzę na temat największych tajemnic wojskowych UW.

eprasa.pl ddcc5e7c42

Wiedza, nawet unikalna, to jednak nie wszystko.

Nie zrozumiemy postawy Kuklińskiego bez zrozumienia jego kręgosłupa moralnego. Musimy pamiętać, że w czasie II wojny światowej stracił ojca, który został zamordowany w niemieckim obozie zagłady Sachsenhausen. Gdy kończyła się wojna, jako 15-latek wyruszył na poszukiwanie ojca, nie wiedząc, że ten już nie żyje. Wychowywany w tradycjach piłsudczykowskich marzył, by odbudowywać armię polską, a nie sowiecką. Już w PRL, służąc w wojsku, wziął ślub kościelny. W 1950 r. został zdegradowany, gdy wyszło na jaw, że jego ojciec działał w AK.

Jak się więc stało, że zaszedł tak wysoko w hierarchii wojskowej mimo kłopotliwego bagażu rodzinnego?

Został przywrócony dzięki wstawiennictwu kolegi z Informacji Wojskowej, z którym razem zaczynali służbę w armii, a nawet – jak wspominał po latach Kukliński – wspólnie modlili się w wojskowym baraku. Awansował, ponieważ był inteligentny, zdolny, obowiązkowy i niezwykle pracowity, przez co często zaniedbywał rodzinę. Szybko się okazało, że nie jest typem żołnierza frontowego, lecz sztabowego. Miał też coś, o czym opowiadał później Kiszczak: Kuklińskiego po prostu wszyscy lubili. Doceniali jego fachowość, pracowitość, uczynność. Kiszczak wspominał, że kiedy studiowali razem na Woroszyłowce w Moskwie i trzeba było rysować mapy, to szło się do Rysia, ponieważ robił to najlepiej. Pewnego razu zaimponował głównodowodzącemu wojsk UW marsz. Wiktorowi Kulikowowi, gdy podczas jednego z posiedzeń sztabu pomógł rozwiązać problem, z którym nie mogli uporać się inni oficerowie. Zdjął buty, w skarpetkach wszedł na stół z mapą Planu Operacji Zaczepnej Frontu Nadmorskiego i tak poprzestawiał chorągiewki na mapie, że wszystko stało się jasne. Od tamtej pory był protegowanym Kulikowa. Pod swoje skrzydła wziął go także gen. Jaruzelski, który uczynił go jednym ze swoich najbardziej zaufanych ludzi w Sztabie Generalnym.

Co się więc stało, że Kukliński podjął współpracę z Amerykanami?

W sierpniu 1968 r. doszło do napaści LWP na Czechosłowację w ramach inwazji zbrojnej wojsk UW. Żaden z polskich dowódców nie sprzeciwił się tej decyzji. W grudniu 1970 r. padł rozkaz strzelania do bezbronnych robotników na Wybrzeżu i znowu żaden z dowódców LWP nie zaprotestował przeciwko temu. Kukliński, który znał plany wojskowe UW, a zwłaszcza plan inwazji militarnej na Europę Zachodnią, wiedział, że także w tym przypadku żaden z dowódców LWP znów nie powie „nie". Realizacja tego planu oznaczałaby dla Polski hekatombę.

Dlaczego?

Plan przewidywał najpierw uderzenie atomowe na Niemcy i Danię. Potem do akcji miał wejść pierwszy rzut strategiczny wojsk Układu Warszawskiego, czyli 500 tys. polskich żołnierzy, którzy w charakterze mięsa armatniego mieli wejść w tę radioaktywną chmurę. Dopiero później do akcji miał wkroczyć drugi rzut strategiczny, czyli ok. 2 mln żołnierzy sowieckich. Moskwa liczyła, że swym atakiem nuklearnym obezwładni Zachód, który podda się bez walki. Zakładała jednak także inny scenariusz, a mianowicie kontruderzenie atomowe. W tamtym czasie NATO nie posiadało w Europie rakiet średniego zasięgu. Miało jedynie rakiety krótkiego zasięgu, które mogły dolecieć najdalej do Polski. Plany UW przewidywały więc 70–300 odwetowych uderzeń nuklearnych NATO na linii Odry, Warty i Wisły. W opisach tych działań znalazło się stwierdzenie, że śmierć na terenie Polski poniesie wówczas ok. 4 mln ludności cywilnej. Dowódcy LWP byli gotowi zapłacić taką cenę, ponieważ nikt z nich nie zaoponował przeciw wspomnianym planom. Kukliński postanowił jednak nie dopuścić do takiego scenariusza. Gdy decydował się na podjęcie współpracy z Amerykanami, jego celem nie było wzmocnienie USA, by wygrały wojnę ze Związkiem Sowieckim, ale niedopuszczenie do tej wojny. Kukliński wiedział bowiem, że w razie konfliktu zbrojnego Polska stanie się głównym terenem działań wojennych i poniesie największe straty.

Czy rzeczywiście wszyscy dowódcy LWP bez mrugnięcia okiem godzili się ze scenariuszem, w którym giną miliony Polaków?

Gdy Kukliński w 1972 r. zgłosił się do Amerykanów, powiedział im, że nie jest jedynym oficerem, który chciałby nawiązać współpracę z Zachodem. Wiadomo, że z francuskim wywiadem współpracował płk. Włodzimierz Ostaszewicz, który także służył w Sztabie Generalnym, a nawet był sąsiadem Kuklińskiego przy ul. Rajców. Ostaszewicz uciekł na Zachód we wrześniu 1981 r., kilka tygodni przed Kuklińskim, ale nie posiadał takiej wiedzy jak on.

Czy Amerykanie zrobili właściwy użytek z tej wiedzy?

Richard Pipes wspominał, że kiedy został doradcą Ronalda Reagana i dostał dokumentację dostarczoną przez Kuklińskiego, stwierdził, że nigdy wcześniej nie widział tak dobrych i tak niewykorzystanych materiałów. Chodziło mu o to, że poprzednie administracje: Nixona, Forda i Cartera nie wykorzystały tych dokumentów tak, jak zrobiła to dopiero administracja Reagana. Trudno to jednoznacznie stwierdzić, ponieważ CIA na swoich stronach internetowych ujawniła tylko materiały dostarczone przez Kuklińskiego w latach 1979–1981, natomiast wciąż utajnione pozostają dokumenty z poprzednich lat. Oczywiście nie oznacza to, że Amerykanie nie zrobili z nich użytku. Sami powtarzali, że dzięki tym informacjom zaoszczędzili olbrzymie sumy na zbrojeniach, np. samolot Thunderbolt został skonstruowany z myślą o przebijaniu pancerza czołgów T-72, których dokumentację dostarczył Kukliński. On też przekazał im wiadomość o sowieckich manewrach wojskowych przy granicy z Polską w grudniu 1980 r. Było to tuż po powstaniu Solidarności i Amerykanie obawiali się, że są to przygotowania do inwazji. W tej sytuacji prezydent Carter zadzwonił do Breżniewa i zagroził mu, że jeśli wojska sowieckie

Fot. Krzysztof Wojciewski/Wprost/East News, Andrzej Wiktor

eprasa.pl ddcc5e7c42

przekroczą granicę z Polską, spotka się to z odpowiedzią USA. Do inwazji nie doszło.

Administracja Reagana potrafiła jednak lepiej wykorzystać te materiały.

Celem Kuklińskiego było ocalenie Polski przed zniszczeniem, co zakładały plany militarne UW. Aby uniemożliwić ten scenariusz, czyli ofensywę wojsk bloku wschodniego na Zachód, Kukliński przekonywał Amerykanów, by wzmocnili swe siły w Europie. To właśnie zrobił Reagan, rozmieszczając w Niemczech rakiety średniego zasięgu z głowicami atomowymi. Ten krok powstrzymał Sowietów przed atakiem, ponieważ stało się jasne, że odwet NATO dosięgnie tereny Związku Sowieckiego. Reagan osobiście wykorzystał też informacje dostarczone przez Kuklińskiego podczas rozmów z Gorbaczowem w Reykjavíku, gdy ujawnił, że Amerykanie posiadają informacje o miejscu stacjonowania sowieckich rakiet średniego zasięgu oraz lokalizacjach bunkrów typu Albatros, w których miało się chronić dowództwo UW w czasie wojny atomowej. Cel, jaki stawiał przed sobą Kukliński, został osiągnięty: Amerykanom udało się powstrzymać Sowietów w taki sposób, który nie doprowadził do regularnej wojny. Oczywiście nie oznacza to, że pułkownik w pojedynkę ocalił świat przed III wojną światową i doprowadził do upadku komunizmu. Odegrał jednak znaczącą rolę w tym procesie.

Czy nie jest jakimś paradoksem historii, że w wolnej już Polsce Kukliński został zrehabilitowany przez byłych komunistów?

Jest czymś zadziwiającym, że w wolnej już Polsce Kukliński musiał czekać aż osiem lat na uniewinnienie. Nie stało się to z inicjatywy rządu polskiego, lecz na skutek presji Amerykanów, głównie prezydenta Clintona. Duży wpływ na amerykańską administrację w tej sprawie wywierali Zbigniew Brzeziński, Jan Nowak Jeziorański, Richard Pipes oraz prezes Kongresu Polonii Amerykańskiej i emerytowani oficerowie CIA. Dla nich było nie do pomyślenia, że sprawa Kuklińskiego pozostaje nierozwiązana, mimo że od upadku komunizmu minęło tyle lat, a Polska ma wejść do NATO. Trzeba dodać, że pierwsze nieformalne prośby o zrehabilitowanie pułkownika trafiały do Lecha Wałęsy już na początku jego prezydentury, ale pozostały bez odpowiedzi. Potem, w 1995 r., na wniosek I prezesa Sądu Najwyższego rozpoczęła się rewizja nadzwyczajna, ale

> Pierwsze nieformalne prośby o zrehabilitowanie Kuklińskiego trafiały do Lecha Wałęsy już na początku jego prezydentury, ale pozostały bez odpowiedzi

Prokuratura Wojskowa przedłużała sprawę, jak tylko mogła. Wystąpiono z wnioskiem o przesłuchanie Kuklińskiego, ale Amerykanie nie zgodzili się ani na jego przyjazd do Polski, ani na wejście na teren ambasady RP w Waszyngtonie, ponieważ nie mogliby wtedy zagwarantować mu bezpieczeństwa. Ostatecznie do przesłuchania Kuklińskiego doszło w 1997 r. w gabinecie Zbigniewa Brzezińskiego. Rehabilitacji nie byłoby więc bez nacisku Amerykanów. To, że przeprowadzili ją byli komuniści, jest jakimś chichotem historii oraz ich przyznaniem się do historycznej klęski.

Dlaczego rehabilitacja Kuklińskiego trwała tak długo?

Zgodnie z duchem porozumień okrągłostołowych Jaruzelski miał być jedynym wojskowym postrzeganym jako ten, który doprowadził do demokratyzacji Polski. Do tej grupy można było jeszcze zaliczyć Kiszczaka czy Siwickiego, ale na pewno nie Kuklińskiego. Jego uniewinnienie podważałoby bowiem sens porozumienia zawartego przy okrągłym stole. Dobrze oddają to słowa Jaruzelskiego: „Jeśli uniewinni się Kuklińskiego oraz odda mu cześć i honor, to znaczy, że to my nie mamy czci i honoru i że to my jesteśmy winni".

Ryszard Kukliński jawi się jako główny bohater Muzeum Zimnej Wojny, którego jest pan dyrektorem. Jak doszło do utworzenia tej placówki?

Ryszard Kukliński wspólnie ze swoim pełnomocnikiem (a moim ojcem) Józefem Szaniawskim planowali stworzenie muzeum, które pokazywałoby walkę Polaków o niepodległość w konspiracji. Trzy miesiące przed swoją śmiercią pułkownik wysłał w tej sprawie list do ówczesnego prezydenta Warszawy Lecha Kaczyńskiego, który przyznał w tym celu lokal przy ul. Kanonii. W 2006 r. powstała tam izba pamięci Ryszarda Kuklińskiego. Po śmierci mojego ojca w Tatrach w 2012 r. zacząłem kontynuować tę inicjatywę, dążąc do jej rozbudowy i profesjonalizacji. Chciałem pokazać powody nawiązania przez Kuklińskiego współpracy z Amerykanami. Jednak żeby to opowiedzieć, należało zacząć od Jałty i przedstawić całą historię zimnej wojny. W ten sposób powstało muzeum, które mieści się w symbolicznym miejscu. Jego część stanowią bowiem pomieszczenia dawnego komisariatu MO przy ul. Jezuickiej, gdzie w 1983 r. milicjanci zamordowali Grzegorza Przemyka. Wśród eksponatów na naszej wystawie znajdują się m.in. mapy z planami ofensywy nuklearnej na Europę Zachodnią, medal CIA dla Ryszarda Kuklińskiego, jego oryginalny mundur i inne osobiste przedmioty czy segment stołu, przy którym podpisano utworzenie UW. Muzeum ma charakter multimedialny, np. można przez peryskop sowieckiego okrętu podwodnego obejrzeć przez gogle VR materiał na temat kryzysu kubańskiego. Jesteśmy otwarci zwłaszcza na wizyty grup szkolnych, dla których mamy specjalne ścieżki ekspozycyjne. Serdecznie zapraszamy wszystkich chętnych.

eprasa.pl ddcc5e7c42

Bardzo się stara, zdobyła nawet Oscary za inne role, ale to Bridget Jones stała się jej zawodowym znakiem firmowym. Renée Zellweger po raz czwarty wcieliła się w postać wiecznej singielki marzącej o love story

W pogoni za sobą

Fot. UIP

eprasa.pl ddcc5e7c42

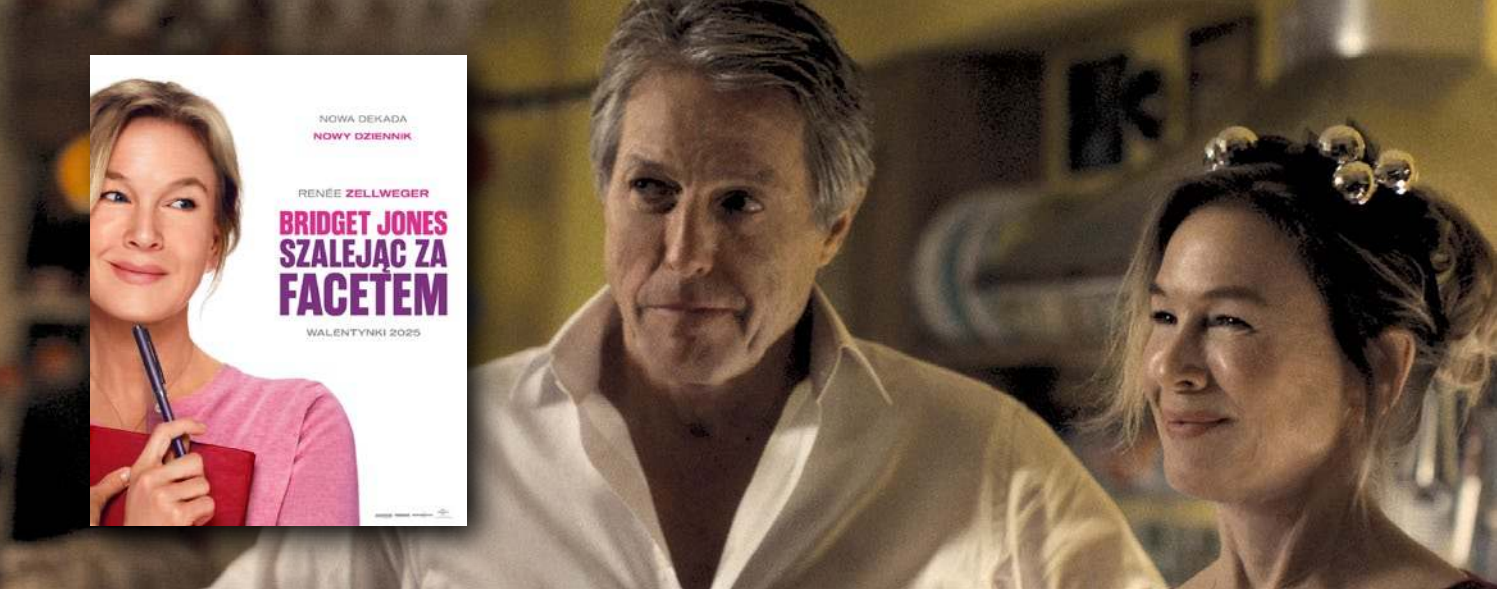

To będzie nietypowe spotkanie walentynkowe. Na dużych ekranach pojawią się filmy „Bridget Jones: Szalejąc za facetem" oraz „Kapitan Ameryka: Nowy wspaniały świat". Oba zrealizowane w duchu panujących trendów. Druga z produkcji pokaże nowe wcielenie tytułowego superbohatera. W miejsce Chrisa Evansa (który w komiksowego weterana i avengersa wcielał się w 11 różnych produkcjach) stanął przed kamerami ciemnoskóry Anthony Mackie. Z kolei w życiu Bridget Jones, samotnej matki i wdowy po pamiętnym Marku Darcym, pojawi się dużo młodszy obiekt westchnień.

DOBRA ZNAJOMA

„Myślę, że wiele osób utożsamia się z wyzwaniami, przed którymi staje moja bohaterka, z jej wrażliwością. Bridget jest dla mnie jak dobra znajoma" – mówiła Renée Zellweger podczas światowej premiery filmu w Londynie. Dodawała, że Helen Fielding (autorka książki, która ukazała się w 1996 r., na jej podstawie w 2001 r. powstał filmowy „Dziennik Bridget Jones") wymyśliła bohaterkę bliską wielu kobietom na całym świecie, z którą wiele osób może się identyfikować.

Odnosząc się do różnicy wieku między 51-letnią Bridget a 29-letnim Roxsterem granym przez Leona Woodalla (w rzeczywistości odtwórcy ról mają odpowiednio 55 i 28 lat), komentowała: „Myślę, że to nic nowego, tylko nie jesteśmy przyzwyczajeni do oglądania takich związków na ekranie".

Akcja najnowszej części filmu tak jak poprzednio rozgrywa się w Londynie. Do dawnej roli – przyjaciela i byłego

JOLANTA GAJDA–ZADWORNA

kochanka Bridget Daniela Cleavera – wraca Hugh Grant. Miejsce zwolnione przez Marka Darcy'ego (Colin Firth) wypełniają nowi potencjalni partnerzy: Wallaker (Chiwetel Ejiofor) i Roxster (wspomniany Leo Woodall).

SUKCES GWARANTOWANY

Blisko ćwierć wieku temu filmowy „Dziennik Bridget Jones" przebojem wdarł się na ekrany i do serc widzów, przynosząc 281 mln dol. zysku. Nic dziwnego, że szybko powstała kontynuacja – „Bridget Jones: W pogoni za rozumem" (2004), a potem, po dłuższej przerwie, „Bridget Jones 3" (2016). Trzecia część, choć nie miała zbyt dobrych recenzji, z budżetem 35 mln dol. zarobiła na świecie przeszło 210 mln dol.

Kolejna odsłona uczuciowych zawirowań wiecznej singielki wydawała się więc czymś oczywistym, choć i tym razem musiało minąć kilka lat. W tym czasie sporo zmieniło się także w życiu aktorki, która, opowiadając o swoich prywatnych doświadczeniach, nie bez powodu przywołuje dwie bohaterki: Bridget Jones i Judy Garland.

TEKSAŃSKIE ORBITOWANIE

Renée Zellweger urodziła się w niewielkim teksańskim miasteczku Katy jako córka inżyniera mechanika i położnej. W jej żyłach płynie krew szwajcarska i (ze strony matki) lapońska. W szkole była cheerleaderką, należała też do kółka teatralnego. Przez jakiś czas studiowała na wydziale języka angielskiego, na którym jako jeden z przedmiotów wybrała aktorstwo. Po ukończeniu kursu zamiast do Los Angeles wyjechała do Houston. Pracowała jako kelnerka, biorąc równocześnie udział w przesłuchaniach, dzięki którym znalazła się w obsadzie m.in. „Orbitowania bez cukru" czy sequelu „Teksańskiej masakry piłą mechaniczną". Nie były to produkcje marzeń, ale pozwalały grać.

Przełom nastąpił dzięki filmowi „Jerry Maguire" (1996), w którym nie dała się przytłumić ulubieńcowi Hollywood Tomowi Cruise'owi. Była przekonująca w roli zakochanej w szefie samotnej matki i asystentki tytułowego bohatera, agenta sportowego. Potem dostała angaż do filmu „Ja, Irena i ja" (2000) z Jimem Carreyem. Zagrała też tytułową „Siostrę Betty". Za rolę pogrążonej w żałobie bohaterki, która przelewa uczucia na idola z ulubionej opery mydlanej, otrzymała Złotego Globa. Zaraz potem weszła na plan „Dziennika Bridget Jones".

POT, KREW I OSCARY

Do tej roli nauczyła się brytyjskiego akcentu oraz przytyła 10 kg. Zdobyła też światową rozpoznawalność oraz nominację do Oscara. Rok później na ekrany wszedł musical „Chicago" Roba Marshalla. W obsypanej oscarowymi nominacjami produkcji występowali też Catherina Zeta-Jones i Richard Gere.

eprasa.pl ddcc5e7c42

Przygotowania do zdjęć trwały blisko rok – Zellweger wspomina ten czas jako „okupiony łzami, potem i krwią", jednak warto było wziąć udział w tym przedsięwzięciu.

Jako Roxie Hart zachwyciła nie tylko aktorsko, lecz także wokalnie, wywalczyła Złoty Glob oraz kolejną nominację do Oscara. Na statuetkę Amerykańskiej Akademii Filmowej musiała jednak jeszcze poczekać. Odebrała ją w 2004 r. za drugoplanową rolę w dramacie wojennym „Wzgórze nadziei" Anthony'ego Minghelli. Wcieliła się w nim w energiczną i zaradną Ruby Thewes, która w czasie wojny secesyjnej pomaga przetrwać trudny czas właścicielce ziemskiej Adzie Monroe (Nicole Kidman).

Na kolejną oscarową szansę przyszło jej czekać 16 pełnych zawirowań lat.

W ZAWIESZENIU

W 2010 r., po premierze „Piosenki o miłości", zawiesiła karierę aktorską na sześć lat. W wywiadzie dla brytyjskiego magazynu „Red" nazywała ten okres „trudnym czasem dojrzewania, w którym nie potrafiła poradzić sobie z emocjami i problemami". Natomiast brytyjskiemu czasopismu „Vogue" wyznała, dlaczego zdecydowała się na taki krok: „Musiałam. Miałam dość brzmienia swojego głosu. Kiedy pracowałam, myślałam sobie: »Czy ja brzmię smutno? Czy to twój wściekły głos?«".

Czas wolny od aktorstwa wypełniała porządkowaniem prywatnych spraw, w tym zdrowotno-uczuciowych. Zajęła się komponowaniem muzyki i studiowaniem prawa międzynarodowego.

„Zbudowałam dom, uratowałam parę starszych piesków, nawiązałam współpracę, która doprowadziła do powstania firmy produkcyjnej, wspierałam i zbierałam fundusze dla chorego przyjaciela, a także spędzałam dużo czasu z rodziną i chrześniakami oraz jeździłam po kraju z psami. Wróciłam również do pełni sił" – podsumowywała.

WCIĄŻ SINGIELKA

Renée tak jak Bridget, cały czas szukając tego jedynego, nie miała szczęścia do związków. Swojego pierwszego chłopaka, muzyka Simsa Ellisona, poznała w barze, w którym dorabiała jako kelnerka podczas studiów. Byli parą przez pięć lat. Potem ona przeprowadziła się do Kalifornii, a on został w Teksasie, a gdy wytwórnia nie przedłużyła umowy jego kapeli i odmówiła wydania płyty, popełnił samobójstwo. Renée mocno to przeżyła.

Później związała się Jimem Carreyem. Rozstali się po dwóch latach z powodu „odmiennych planów na życie". Młodszego o sześć lat muzyka Jacka White'a, współautora ścieżki dźwiękowej „Wzgórza nadziei", poznała na planie filmowym. Myślała, że jest miłością jej życia. Wyznaczyli nawet datę ślubu: Boże Narodzenie 2004 r, ale White się wycofał, a potem... ożenił z inną. W odpowiedzi Zellweger wyszła za mąż (w maju 2005 r.) za wokalistę country Kenny'ego Chesneya. Cztery miesiące później wystąpiła o anulowanie małżeństwa (ponoć muzyk okazał się homoseksualistą).

Problemy w życiu prywatnym (podczas pracy nad drugim filmem o Bridget aktorka przeszła załamanie nerwowe) zbiegły się z kryzysem zawodowym. Gigantyczny sukces filmu o charakterystycznej współczesnej singielce przyniósł aktorce sławę, równocześnie zamykając drogę do znaczących ról. Dlatego na kilka lat odcięła się od świata filmu.

BRIDGET I JUDY

W pewnym momencie Bridget stała się przeszkodą, ale to ona w 2016 r. przywróciła Renée Zellweger do aktorstwa. A potem nadszedł 2020 r., a wraz z nim Oscar oraz Złoty Glob za rolę Judy Garland. W filmie „Judy" aktorka sama wykonywała wszystkie partie wokalne, z wielkim autentyzmem oddając charakterystyczne sceniczne zachowania artystki. Ścieżka dźwiękowa prezentująca 12 najpopularniejszych piosenek Garland została nominowana do nagrody Grammy.

Renée i Judy połączyła nie tylko muzyka, lecz także „presja sławy, praca ponad siły, nieszczęśliwe miłości, ciągła walka z niedoskonałościami urody, nadwrażliwość, depresja". Obie równie szybko zrobiły karierę i poznały smak upadku, ale tu pojawiła się kluczowa różnica: Garland w pewnym momencie dała za wygraną, Zellweger wróciła do gry „silna jak nigdy dotąd". Z czasem nabrała też dystansu – do siebie, życia i ról.

Film „Bridget Jones: Szalejąc za facetem" ma być ponoć ostatnim z serii, chociaż według BBC Renée Zellweger trzyma kciuki, by tak się nie stało. Wydaje się też, że producentom trudno będzie zrezygnować z dochodów, które wciąż może przynieść ta ekranowa opowieść.

Fot. UIP x2

eprasa.pl ddcc5e7c42

Ziemie Zachodnie opowiedziane na nowo

Piotr Semka utkał uczciwą i pasjonującą narrację, na nowo opowiadając o naszej historii na Ziemiach Odzyskanych. To ważna publikacja, szczególnie w czasach, gdy temat został zepchnięty na margines pamięci

MACIEJ WALASZCZYK

W maju 1945 r. w Szczecinie znalazł się mój dziadek Wincenty Walaszczyk. Wracał tamtędy z trwających pięć lat robót przymusowych u bauera w Szlezwiku-Holsztynie. Miasto bardzo mu się spodobało i chciał w nim zostać, ale nie wiedząc, czy będzie należało do Polski, pojechał do domu pod Wieluń. Chwilę wcześniej Festung Stettin zostało poddane bez większych walk. Najpierw dotarły do niego dowodzone przez marsz. Rokossowskiego wojska 2. Frontu Białoruskiego, zaraz po nich pierwsza polska grupa operacyjna z inż. Piotrem Zarembą, pierwszym powojennym prezydentem Szczecina, na czele. Było to 28 kwietnia 1945 r. Tego dnia na maszt rejencji szczecińskiej znajdującej się na Wałach Chrobrego wciągnięto biało-czerwoną flagę. Miasto pustoszyły pożary i pełno było w nim śladów przygotowań do obrony. Następnie przybyła tam pierwsza, 600-osobowa grupa osadników z Poznania, a z Niemiec kolejne fale wywiezionych na roboty. W czasie okupacji Szczecin był jednym z najważniejszych centrów produkcji wojennej, a miejscowe fabryki na masową skalę korzystały z pracy przymusowej. W mieście funkcjonował też jeden z ośrodków Lebensbornu, placówki zajmującej się germanizacją dzieci odebranych polskim rodzinom z Wielkopolski. W wyniku alianckich nalotów miasto zostało zniszczone w ponad 60 proc., ale nikt nie dopuszczał myśli, że Szczecin na trwałe zostanie utracony przez Niemcy.

ZAREMBA – METODY FAKTÓW DOKONANYCH

Nie było to bowiem takie oczywiste. Do lipca inż. Piotr Zaremba dwukrotnie opuszczał miasto na skutek interwencji brytyjskich i amerykańskich dyplomatów. Był to okres, w którym działacze Komunistycznej Partii Niemiec robili wszystko, aby Szczecin pozostał niemiecki. Okresowo to oni przejmowali władzę, tym bardziej że Sowieci, prowadząc podwójną grę, chętnie akceptowali starą-nową administrację. Wątpliwości zostały rozwiane na początku lipca, gdy wraz z wojewodą zostali wezwani do Berlina, gdzie marsz. Żukow zakomunikował im decyzję o przejęciu władzy nad miastem przez Polaków. To działalność Piotra Zaremby w 1945 r. położyła pewien psychologiczny i polityczny fundament pod polonizację miasta. Biegle znał niemiecki i rosyjski, a jego „wielkopańskość" pomagała bez kompleksów rozmawiać z sowieckim komendantem miasta. Jego decyzje wzmacniały polski stan posiadania drogą faktów dokonanych. Jednocześnie sowiecki nadzór nad miastem okazywał się dotkliwy, wiążąc się z wielką grabieżą: demontowano fabryczne urządzenia, szyny kolejowe, wywożono wyposażenie domów, fortepiany, dzieła sztuki, samochody i rowery.

„NAJDALSZA POLSKA"

Kilka tygodni temu ukazała się dwutomowa monumentalna publikacja pt. „Najdalsza Polska. Szczecin 1945–1950". „To tak naprawdę opowieść o Polsce w latach 1945–1950, tzn. o włączeniu Ziem Zachodnich, historii tych ludzi, którzy przyjechali na zachód, a Szczecin jest

Piotr Semka, „Najdalsza Polska. Szczecin 1945–1950", t. I i II, Centrum Historii Zajezdnia 2024

Fot. Materiały prasowe

eprasa.pl ddcc5e7c42

tylko pretekstem, by opisać to zjawisko, tym bardziej że w tym roku mija 80 lat od tego wydarzenia" – tłumaczy jej autor Piotr Semka.

W ciągu ostatnich 30 lat temat Ziem Odzyskanych został zepchnięty na margines. Teraz pojawiła się publikacja obszerna, z pewnością kompetentna, ale również niezwykle atrakcyjna edytorsko. Została wydrukowana na kredowym papierze, zawiera setki wydobytych z archiwów fotografii, dokumentów, reprodukcji map, publikacji i plakatów propagandowych. Co jednak najważniejsze, łączy całość zagadnienia, nie ulegając politycznej poprawności. Obok siebie znajdują się tu grafiki materiałów propagandowych NSZ i PPR, propaganda Niemiec hitlerowskich i tych demokratycznych, świadectwa o działalności wygnanych ze swych siedzib kresowian i opuszczających swe domy niemieckich wygnańców, polskich repatriantów z Niemiec oraz historie ocalonych z Holokaustu Żydów i ich syjonistycznych przywódców, którzy na moment znaleźli się nad ujściem Odry. Mamy bohaterstwo i odwet na Niemcach, odbudowę i grabież, zmagania milicji z bandytyzmem i stalinowski terror. Piotr Semka w sposób subtelny utkał uczciwą i pasjonującą narrację, na nowo opowiadając o naszej historii na Ziemiach Odzyskach.

OD STETTINA DO SZCZECINA

Do zniszczonej wojną Polski i w zupełnie nowych okolicznościach politycznych przyłączono miasto, które było „morskim oknem na świat Berlina", jednym z największych portów Niemiec, miastem szczycącym się produkcją najlepszych transatlantyków na świecie. Mieszkała tam również grupa ok. 1 tys. Polaków, w większości pracujących tam Wielkopolan oraz Kaszubów. Gdy władzę przejęli narodowi socjaliści, prowincję określono jako Grenzmark – kraj graniczny, będący bastionem przeciw naporowi słowiańszczyzny. Rzeczywiście, pamięć o słowiańskiej przeszłości Szczecina i Pomorza Zachodniego powróciła w czasach rozbiorów i była, jak przypomina autor, „przekorną odpowiedzią na niemiecki ekspansjonizm". Ale istniał w tym też namysł polityczny, gdyż po upadku I Rzeczypospolitej pojawiła się konieczność ustalenia trwałej i stabilnej granicy państwowej. Problem był więc podnoszony przez dziesięciolecia przede wszystkim przez myśl narodowo-demokratyczną, a głosy te irytowały Niemców, mających świadomość, iż sięgniecie do pierwotnych posiadłości doprowadzi do sytuacji, w której Polska zgłosi swe roszczenia także do Szczecina. Pojawiały się one nie tylko w koncepcjach teoretycznych Hugona Kołłątaja czy Jana Ludwika Popławskiego, lecz także w kulturze, np. na obrazach m.in. Zofii Stryjeńskiej, Wojciecha Gersona, Juliusza Kossaka, czeskiego grafika Alfonsa Muchy (ich piękne reprodukcje możemy zobaczyć w książce). Przywołana tu została też słynna przed wojną książka Józefa Kisielewskiego pt. „Ziemia gromadzi prochy" czy materiały z okresu okupacji, gdy Lech Neyman i Grupa Szańca, będąca politycznym centrum konspiracyjnego NSZ, postawili sprawę wytyczenia granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej. W publikacji mamy sowieckie mapy sztabowe, na których Stalin odręcznie zakreślał przyszłą zachodnią granicę Polski, czy liczne materiały wypuszczone na użytek propagandy tzw. Polski lubelskiej, a potem PPR.

Od lipca 1945 r. w kierunku miasta ruszyli przesiedleńcy z dawnych kresów Rzeczypospolitej, m.in. z Wilna i Lidy, Wołynia oraz syberyjskich łagrów. Ściągali tam również ludzie z centralnej Polski, a także Polacy powracający z polskiej kolonii w Harbinie w Mandżurii czy polscy robotnicy z Westfalii. W czasie pierwszych ośmiu miesięcy polskich rządów w 1945 r. nowa władza kojarzyła się przede wszystkim z Polską, a nie nowym ustrojem. Potem wzmogły się komunistyczne represje, atmosfera podejrzeń, szukanie dywersantów i szpiegów. Do parafii zaczęli docierać polscy księża. Pierwszym z nich był ks. Florian Berlik, chrystusowiec z Poznania. Jednak niewielu kapłanów chciało podjąć się tego zadania – odstraszały ich trudności życia związane z niedostatkiem materialnym, brakiem poczucia bezpieczeństwa i wyobcowaniem. Szczecin wydawał się Polakom miastem ciekawym, ale kompletnie obcym. Stąd konieczność nadania nowych nazw ulicom i usunięcia niemieckich szyldów i oznaczeń. Do 1947 r. miasto stało się również etapem dla uciekinierów politycznych na Zachód oraz szmuglerów. „Spekulant z Warszawy kupował nielegalnie od kwatermistrza armii amerykańskiej skrzynki mleka skondensowanego czy rzadkich lekarstw, przewoził towar, sprzedając go z gigantycznym zyskiem na bazarach w centralnych województwach kraju".

BOHATEROWIE „NAJDALSZEJ POLSKI"

Pierwszym bohaterem miasta stał się podobno strażak Teodor Firlik. Zginął w kolizji pędzącego do pożaru wozu strażackiego, w który wjechał samochód prowadzony przez pijanego sowieckiego kierowcę. Uroczystości żałobne nabrały wymiaru politycznego. Inną wielką postacią jest Helena Kurcyusz, „Pierwsza Dama Szczecina", więźniarka Pawiaka i Majdanka, która wracając z obozu, zatrzymała się w mieście i została w nim do końca życia, pełniąc m.in. obowiązki wojewódzkiego konserwatora zabytków i zajmując się ratowaniem zrujnowanego Zamku Książąt Pomorskich. Do swej opowieści Semka wplótł niemal wszystkich aktorów tych wydarzeń, w tym Władysława Gomułkę i kierowane przez niego Ministerstwo Ziem Odzyskanych, w którego prace zaangażował ludzi realizujących plany polskiej myśli zachodniej: Leopolda Glucka, Władysława Grabskiego i Władysława Czajkowskiego. To wywołało sprzeciw Bolesława Bieruta, który zarzucał MZO zbyt duży odsetek ludzi z „kręgów reakcji". Do tego doszła słynna demonstracja m.in. z udziałem harcerzy w trakcie wizyty wicepremiera Stanisława Mikołajczyka zakończona okrzykami: „Precz z Bierutem" i „Chcemy Wilna, Lwowa i Kijowa" oraz obcinaniem czerwonych krawatów aktywistom ZMW. „Zajścia z kwietnia 1946 r. zapoczątkowały tradycję Szczecina jako miasta niepokornego" – pisze autor, wspominając aktywny udział jego mieszkańców w antysowieckich demonstracjach w kwietniu 1951 r., grudniu 1956 r., a potem w latach 1970 i 1980.

eprasa.pl ddcc5e7c42

3 MIŁOŚCI

Karty szatana

ROBERT TEKIELI

XXI w. to czas wielkiego powrotu magii. Dziś praktykuje największa liczba magów, kartomantów, czarowników, wróżbitów, astrologów w całej historii Zachodu.

W naszych czasach określa się ich mianem okultystów, psychotroników, parapsychologów, spirytystów, bioenergoterapeutów, irydologów, uzdrowicieli, hipnoterapeutów czy radiestetów.

Intensywnością erupcji toksycznych duchowości może z naszymi czasami konkurować tylko epoka odrodzenia, renesansu pogaństwa.

Ludzie XXI w. łakną mocy. Wielkie wzięcie mają praktyki reiki, tarota czy jogi. Zajmujący się rzucaniem czarów i uroków magowie oferują swoje usługi w sieci. Na stronie internetowej Sejmu Rzeczypospolitej Polskiej (www.isap.sejm.gov.pl) można znaleźć rozporządzenie ministra rodziny i polityki społecznej zmieniające rozporządzenie w sprawie klasyfikacji zawodów i specjalności na potrzeby rynku pracy (Dz.U. 2021 poz. 2285). Pod numerem 516101 znajdujemy astrologa, pod 516102 wróżbitę, dalej: bioenergoterapeutę, chiropraktyka i radiestetę. Krajowy Cech Radiestetów i Bioenergoterapeutów jest zarejestrowany w KRS pod numerem 0000062725, a w Polskiej Klasyfikacji Działalności (PKD) oprócz dwudziestu kilku innych praktyk, których skuteczności nie potwierdzają dane naukowe, znajdujemy terapię kryształami („bransoletka z awenturynu i cytrynu z łatwością pomaga osiągać wszystkie finansowe cele", jednak „nie łącz kamieni ognia i wody ani ziemi i powietrza, o ile nie masz bardzo jasno sprecyzowanej intencji").

Okultyzm stał się akceptowaną częścią kultury, satanizm propagują gwiazdy Hollywood, a politycy z pierwszych stron gazet uczestniczą w satanicznych rytuałach przy okazji ceremonii otwarcia wielomiliardowych, międzynarodowych inwestycji. Coś, co kiedyś było ukryte, wstydliwie gnieździło się na marginesie, o czym w maglu rozprawiały z rozognionymi policzkami panie służące, dziś wdarło się na salony.

Tydzień temu na moim kanale na YouTube TekieliTV opublikowałem świadectwo Ani Staszewskiej, która wróżyła kartami tarota, nazywanymi przez samych okultystów kartami szatana.

Historia jej opętania jest klasyczna, od niewinnych zainteresowań, po pierwszy rytuał. Szukanie uzdrowienia, kontakt z okultystami, manipulacja, w wyniku której Ania, wyrażając zgodę na „otoczenie jej ochronną energią", powiedziała złu: „Chcę", myśląc, że od tej pory będzie bezpieczna. Potem kolejne nieuświadomione inicjacje i powtarzające się stany obniżonego nastroju, wreszcie depresja.

Zastosowane w jej przypadku „odcinanie duchowe i energetyczne", „otaczanie ochronną energią" to rytuały magiczne. Osoby, które uczestniczą w tego typu aktach, są poddawane duchowej manipulacji. Głoszony cel rytuału jest inny niż realny.

Magia opiera się na przekonaniu o istnieniu sił nadprzyrodzonych, które można opanować za pomocą odpowiednich zaklęć i określonych czynności. Rytuał to zespół symbolicznych sekwencji sformalizowanych czynów i wypowiedzi wykonywanych w celu osiągnięcia pożądanego skutku. Nie ma jakiejkolwiek możliwości stwierdzenia powiązania pomiędzy czynnościami magicznymi i magicznymi inwokacjami a ewentualnym efektem. Powoduje to, że skuteczność działań magicznych oraz istnienie postulowanych przez nią sił nadprzyrodzonych pozostaje w sferze wiary.

Magia jest zakazana przez tradycje wszystkich wielkich religii, ponieważ magowie i wróżbici, uzurpując sobie władzę kierowania siłami nadprzyrodzonymi, w rzeczywistości poprzez odprawiane rytuały otwierają człowieka na działanie sił, nad którymi nie mają żadnej władzy, co wywołuje poważne problemy duchowe oraz szkody psychiczne. Żeby okultyzm był realnie skuteczny, musi pojawić się demon.

Zakwestionowanie przez filozofów oświecenia duchowego działania rytuałów jest aktem wiary w nieistnienie rzeczywistości duchowej. Pragmatyka egzorcyzmów i ich skuteczność dowodzi, iż oświeceniowe wierzenia są nieprawdziwe. Obecność w respektowanej na całym świecie klasyfikacji chorób i problemów zdrowotnych WHO (ICD-10 pod numerem F44.3) kategorii trans i opętanie (Trance and Possession Disorder) mówi o realności oraz szkodliwości tego typu działań.

Cierpienia okultystów próbujących zerwać się ze smyczy są prawdziwe. I potworne. Największym oszustwem jest próba przekonania człowieka przez szatana, że to, co się stało, jest nieodwracalne. Tak było w przypadku Ani.

Zły duch próbuje straszyć – stąd napady paniki, stan opisany przez nią jako czarna pustka, „rozbicie w okolicach serca", sny na jawie, paraliże, demoniczne manifestacje, oddziaływanie na przedmioty. Chodzi o to, by człowieka zastraszyć, by zniewolony człowiek zaprzestał prób uwolnienia się.

Ania głęboko weszła w uzależnienie duchowe – w końcu owocnie praktykowała u znanej tarocistki, wiedźmy

eprasa.pl ddcc5e7c42

z 30-letnim stażem. Jednak jeśli gdzieś w takiej historii jak Ani czy podobnej pojawia się Bóg, jakieś zwrócone ku niemu prośby, sprawy zaczynają się toczyć w drugą stronę. Ale na początku jest gorzej. Tutaj były zbijające z nóg napady bólu. Ania wylądowała w szpitalu, jednak okazało się, że lekarze nie są w stanie zdiagnozować przyczyny jej cierpień. Nie miały one bowiem żadnej fizycznej przyczyny.

Kiedy po jakimś czasie w domu Ani zaczęły spadać karnisze, stało się jasne, że trwa walka złego na śmierć i życie. Aby zakończyć tę historię, potrzeba było pięciu egzorcyzmów.

Pozbawiony Boga człowiek XXI w. w swej płynącej z pychy naiwności jest skłonny wierzyć w każdy zabobon. Choćby w moc kamyków zapewniających zdrowie i bezpieczeństwo czy w nadnaturalną moc umysłu. Kult rozumu sprawowany w maglu. Obciach i żenada.

WOJNA CYWILIZACJI

POPKULTURA

Niewarte *„Krew niewinnych”* hiszpańskiej dziennikarki i pisarki Julii Navarro to powieść napisana na fali popularności „Kodu Leonarda da Vinci” Dana Browna. Absolutnie niewarta uwagi. Ostrzegam. Navarro nie zrozumiała, że 100 mln ludzi przeczytało książkę Browna nie dlatego, że pociąga ich literatura w kostiumie historycznym. Gó... noburza, która rozpętała się wokół „Kodu”, została bowiem wywołana możliwością użycia dzieła Browna przez kulturową lewicę do bardzo skutecznego, popkulturowego ataku na Kościół katolicki.

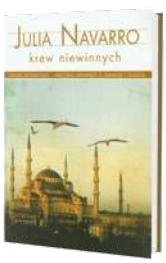

POPKULTURA

Może być Amerykański pisarz fantasy Rick Riordan, znany najszerszej widowni z cyklu o Percym Jacksonie i bogach olimpijskich, na podstawie którego powstał film z Alexandrą Daddario, Umą Thurman i Pierce'em Brosnanem, ma na koncie jeszcze sześć czy siedem podobnych wielotomowych serii. Jakiś czas temu pisałem o „Mieczu lata” z cyklu „Magnus Chase i bogowie Asgardu”, dziś parę zdań o *„Zagubionym herosie”* z serii o olimpijskich herosach. Riordan ma rękę do tworzenia wyrazistych bohaterów, nie ma za to skrupułów i grecką mitologię traktuje mocno swobodnie. Nastoletni czytelnik, który lubi fantasy akcji, nie będzie się jednak nudził w trakcie lektury tych 500 stron.

DO KUPIENIA NA STRONIE
WSKLEPIKU.PL

POPKULTURA

Może być Powieść policyjna *„Wierny przyjaciel”*, której autorem jest Kjell Ola Dahl, to norweski kryminał dla dorosłej już niestety młodzieży. Jest piękna i tajemnicza Veronika, znany przestępca Kadir Zahid, zaginiona afrykańska studentka, mroczna tajemnica z dzieciństwa, morderstwo, kokaina, porwanie i podziemny świat Oslo. Wiele wątków, mroczne tajemnice, niełatwe, czasem chore relacje męsko-damskie, skomplikowana, ale logiczna fabuła i bardzo dobrze budowane napięcie. Co rzadko się zdarza, do końca nie wiedziałem, kto zabił.

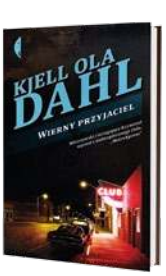

Dialogi, bystre obserwacje, nawet informacje. Czy wiedzą państwo, co to jest atmos? „Jeszcze nigdy ludzkość nie była tak blisko skonstruowania *perpetuum mobile*. Atmos to zegar, który przypomina zwykły zegar kominkowy, ale nie trzeba go nigdy nakręcać. Wprawiają go bowiem w ruch zmiany ciśnienia atmosferycznego”. Genialne!

Dahl jest sprawny, tam, gdzie trzeba pojawiają się trupy i tropy, wikłamy się w historię frenemies, przyjaciół i jednocześnie wrogów, konkurentów (frenemy = friend + enemy). Oglądamy panoramę kraju z siecią kiosków Narvesen, w których „sprzedaje się wodę mineralną Farris oraz sagi o życiu seksualnym norweskich mleczarek”. I słuchamy policyjnych dowcipów w stylu: „Nie patrzcie na mnie, jak powiedział pewien mężczyzna, kiedy policja znalazła w jego zamrażarce zwłoki jego żony”.

Są też bardziej skomplikowane konstrukcje, jak wątek Leny Stigersand, przenikliwej policjantki, jedynaczki z dobrego domu potrafiącej zwrócić w restauracji butelkę wina, jeśli alkohol miał nieodpowiednią temperaturę, mówiącą z nienaganną dykcją „śnieży”, zamiast „pada śnieg”, która weszła w związek z kolegą wywodzącym się z blokowiska, interesującym się wyłącznie samochodami, zegarkami i koniakami. Kretynem, przemocowcem, „prymitywem, rasistowskim dzieckiem ulicy, które podniecają ostre akcje”.

Jednocześnie „Wierny przyjaciel” to niewymuszony portret skandynawskiego społeczeństwa. Z wątkiem światopoglądowym dotyczącym istnienia lub nieistnienia nadzmysłowej rzeczywistości, z takimi kwiatkami, jak policyjna sekcja do spraw wolności seksualnej i obyczajowości. Policjanci broniący wolności seksualnej! Szaleństwo czy tylko nowomowa? Oraz z taką, chyba smutną obserwacją dotyczącą stalkowanej kobiety: „Oficer przyjmujący zgłoszenie zapytałby ją, czy facet jej groził, jakich konkretnie użył słów i tak dalej, a wtedy nie miałaby chyba za dużo do powiedzenia. Odesłano by ją z kwitkiem. Musiałaby się grzecznie odwrócić i pomaszerować do wyjścia, obiecując sobie w duchu, że przy następnych wyborach zagłosuje na skrajną prawicę”.

Robert Tekieli
Polskie Radio

eprasa.pl ddcc5e7c42

Niebo jest po naszej stronie

„Nic nie mamy, ale mamy wszystko" – śpiewa Tomasz Budzyński w „Nas nie ma", przywołując postać tolkienowskiego Toma Bombadila. Jeszcze w punkowo-bajkowych czasach przyjął taki pseudonim, który także dziś w jakiś sposób symbolizuje jego 40-letnią sceniczno-duchową wyprawę. Po drodze zmieniali się uczestnicy tej wędrówki, a właściwie duchowej wojny przerywanej krótkimi okresami bożego pokoju, wyciskając jednak swe piętno na stylu zespołu. Słychać to w tych utworach będących summą doświadczeń, bo przecież to wszystko już słyszeliśmy na „Triodante", „Toni", a nawet na „Legendzie". Cóż, nie da się uciec od porównań, bo twórczość Budzyńskiego jest rozłożoną na dekady budową gotyckiej katedry. Jej rozmach został bardzo wysoko określony symboliką wykutą na portalach jego wierszy i pnącym ku niebu masywnym murom oraz wieżom dźwięków (pooglądajcie jego obrazy). Każda kolejna płyta z mozołem uzupełnia tę eklektyczną konstrukcję o kolejne elementy, więc „Wojna i pokój" wiele wnosi do owego dzieła. Waltornia nieustannie towarzyszy gitarowym riffom, choć już na całkiem równorzędnych prawach, tkając polichromię melodyki („Wielki las"), a samego Budzyńskiego słyszymy raczej monotonnie śpiewającego niż melodeklamującego swe teksty.

W tej budowie od pewnego czasu towarzyszy mu jego syn Stanisław, który jako gitarzysta wziął na barki brzemię armijnego dziedzictwa, łącząc echa nowoczesnego metalu, detale ostrej, jazzowej gitary albo stawiając monumentalną ścianę dźwięku będącą przecież znakiem rozpoznawczym zespołu. Choć nienapędzanego już punkową galopadą bębnów, a zabierając słuchacza w geometrię wyrafinowanego metrum. To spójna muzyczno-słowna wizja duchowych zmagań, bo każdego dnia u każdego z nas zjawia się „Obcy w domu". Już otwierające płytę „Wołanie", poprzedzone ambientowym wstępem (Michał Jacaszek) zapowiada muzykę niepokojącą i mocną, choć skłaniającą do skoncentrowanego wysłuchania niż szaleństw. „Ja tylko wspominam", „Dzień Ojca" a już w zupełności „Ciche dni" balansują między transowymi sekwencjami, „orkiestrowym" rozmachem a błyskami elektronicznych efektów, a nawet ciszy wpuszczanej do tej muzycznej budowli niczym słoneczne światło barwione kolorowymi taflami dźwięków. Finałowe „Niebo nad niebem" zamyka kolejny etap ten budowy.

Armia, „Wojna i pokój", Stage Diving Club 2025

Maciej Walaszczyk

Filozofowanie życiem codziennym

„Obawiałem się, że we własnych oczach mogłem uchodzić za wspaniałego mówcę, ale niezdolnego do zdecydowanego działania" – stwierdził Platon. Sokrates nie miał takich dylematów, bo jego filozofia była sposobem życia. Skłaniała do wymagającej rozmowy i przemiany. Jak wyjaśnia prof. Pierre Hadot, zawsze istniała tendencja filozofowania na etapie teoretyzowania. Ostatecznie sprawę rozstrzygnął rozkwit chrześcijaństwa, bo to ono stało się sposobem życia, wprzęgając filozofię jedynie do roli instrumentu teologii. Filozofia jest jednak „sposobem edukacji dorosłych". Dlatego warto skierować uwagę, wyobraźnię i intelekt poza własny punkt widzenia, postawić się w miejscu innych, podjąć wysiłek stałego przekształcania siebie. Stawką jest bowiem osiągnięcie poczucia wewnętrznego umocnienia wobec zmienności losu.

Sam autor był zaskoczony popularnością swoich książek wśród zwykłych ludzi znajdujących w nich zachętę do opanowania wewnętrznego i zewnętrznego dyskursu. To on ma wpłynąć na zmianę sposobu życia przez podporządkowanie go prawom rozumu. Gdy dusza się zmienia, mądrość kieruje się ku temu, co lepsze, jest aktem powrotu do boskich źródeł i nowego początku. Sokrates rozmawiał z ludźmi po to, by zmusić ich do badania samych siebie. To też umiejętność dialektycznego sporu będącego częścią praktyki pedagogicznej sofistów i akademików, która w ich czasach przygotowywała obywateli do życia w państwie, a konkretnie zabierania głosu na zgromadzeniach. Książka w formie zbioru artykułów – wykładów i wywiadów przybliża założenia epikureizmu i stoicyzmu, w tym ćwiczeń duchowych cesarza filozofa Marka Aureliusza. Wydobywa z zawiłej i pełnej metafor myśli Plotyna koncepcję o nieprzezwyciężonej dwoistości ludzkiego bytu rozdzieranego przez dążenie ku materii i boskiej Jedni, a przez to wywołującej poczucie nieustannego napięcia i niepokoju. Mamy też znakomite eseje na temat Montaigne'a i Goethego, bo Hadot namawia również do czytania poezji. Poruszenie wyobraźni pozwala od czasu do czasu na wewnętrzne uwolnienie się od indywidualnego sposobu widzenia i spojrzenie na wszystko z perspektywy kosmosu, a to uwalnia od lęku przed śmiercią. Właśnie po to filozofujemy.

Pierre Hadot, „Filozofia jako edukacja dorosłych", Teologia Polityczna 2023

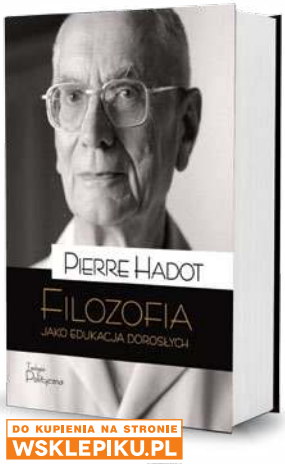

DO KUPIENIA NA STRONIE
WSKLEPIKU.PL

eprasa.pl ddcc5e7c42

„Chronicles": to tam wymyślono trumpizm

Bazą społeczną trumpizmu jest wyobcowana i ekonomicznie degradowana warstwa amerykańskiego społeczeństwa. Elity przez dekady celowo podważały jej społeczną, kulturową i narodową tożsamość

Styczniowy numer amerykańskiego magazynu „Chronicles" zdobi hasło „To my mieliśmy rację". Od połowy lat 70. XX w. pismem wydawanym przez Rockford Institute kierował Leopold Tyrmand. Już wówczas dostrzegał on pogłębiający się kryzys kulturowy Ameryki. Po jego śmierci w 1985 r. jego następca Thomas Fleming i wydawca Allan C. Carlson stanęli w opozycji do neokonserwatywnej elity. Dziś z dumą przypominają, że system idei znany jako trumpizm właśnie im zawdzięcza swe teoretyczne podstawy.

To m.in. Sam Francis niczym „polityczny prorok" w 1991 r., a więc w chwili triumfu „neokons" symbolizowanego przez prezydenturę Georga Busha, dostrzegł, że dawny konserwatyzm się skompromitował, wzywając do budowy nowej amerykańskiej prawicy. Po pierwsze, zwrócił uwagę, że jej obecne wartości i cele leżą poza establishmentem i są mu przeciwne, a po drugie, że jej naturalni sojusznicy nie znajdują się na Manhattanie, w New Haven i Waszyngtonie, ale w coraz bardziej wyobcowanych i zagrożonych warstwach społeczeństwa amerykańskiego interioru. Pisał o „celowym podważaniu ich tożsamości społecznej, kulturowej i narodowej przez siły, które służą interesom elity stojącej ponad nimi i klas stojących niżej". Dlatego w ich interesie ta nowa prawica miała się zająć problemami przestępczości, upadkiem edukacji i erozji ich statusu ekonomicznego oraz skupić na „cierpliwym opracowywaniu alternatywnej kultury w ramach reżimu i skierowaniu jej przeciwko niemu" w celu odzyskania władzy kulturowej w USA.

W przypadku Carlsona oznaczało to analizę przyczyn rozpadu rodziny. Jak wiadomo, w latach 1945–1965 Ameryka epoki zimnej wojny charakteryzowała się boomem małżeńskim, a popularyzowany model „rodziny nuklearnej" zbudowanej na damsko-męskim partnerstwie oraz celebrowanie konsumpcji na przedmieściach miały być fundamentami stabilizującymi amerykańskie społeczeństwo. Nic nie zapowiadało katastrofy, której widmo pojawiło się już pod koniec lat 60. ub.w., gdy okazało się, że ten porządek zaczął się szybko rozpadać. Do amerykańskich instytucji wtargnęła fala feministek, rewolucja seksualna i lewacka kontrkultura, nie napotykając prawie żadnego oporu. Naukowcy skupieni w ruchu paloekonserwatywnym podjęli się więc zbadania na nowo problemu natury rodziny, jej prawdziwej tożsamości, a także rozpoznania celów, które stawiali sobie jej wrogowie. W miejscu pojęcia „rodziny nuklearnej" umieścili na nowo zdefiniowaną „rodzinę naturalną". Nowy termin odwoływał się też do badań antropologicznych, prawa naturalnego, obejmował kwestię tożsamości przodków i pojęcie rodziny rozszerzonej. Zwrócono uwagę, że bycie „człowiekiem" oznacza przede wszystkim zakładanie domów i przyjęcie na siebie ról ojca mężczyzny i matki kobiety realizowanych w „zintensyfikowanym rodzicielstwie". „Chociaż pisałem obszernie o socjalistycznych i komunistycznych atakach na rodzinę, wciąż nie rozumiałem związku kapitalizmu z życiem rodzinnym" – przyznaje Carlson. Dopiero G.K. Chesterton, znany orędownik na rzecz przedsiębiorstw rodzinnych i lokalizmu, pomógł mu zrozumieć, że „socjalizm atakuje rodzinę w teorii", ale „kapitalizm atakuje ją w praktyce". Doszedł do przekonania, że to silna rodzina jest podstawą efektywnego funkcjonowania systemu rynkowego, ale presja kapitalizmu, tak widoczna w latach 90. XX w. pod hasłem globalizacji, zniszczyła dotychczasowy model gospodarczy, wciąga mężczyzn, kobiety i dzieci w niewolę fabryk i konsumpcji. „Zacząłem więc dostrzegać kłamstwa stojące za »demokratycznym kapitalizmem« i na fali narastającej nieufności do Wall Street, kapitalizmu finansowego oraz gospodarki zarządzanej przez globalne elity dołączyłem do populistów ze środkowej Ameryki" – pisze Allan C. Carlson.

Tę pracę wykonał też wspomniany Thomas Fleming. Twierdził, że w sytuacji, gdy kolegia elektorskie w USA stały się taką samą fikcją jak zgromadzenie w czasach, gdy greckie polis chyliło się ku upadkowi, wzorem stoików i niezależnie od sytuacji należało przyjąć na siebie konkretne obowiązki i robić to, na co pozwala sytuacja. Polityka to zajęcie dla wolnych ludzi.

„Chronicles: A Magazine of American Culture", styczeń 2025

eprasa.pl ddcc5e7c42

Kredyt za darmo

Ledwo banki zapanowały nad miliardowymi wypłatami dla posiadaczy kredytów we frankach, a już na horyzoncie pojawia się kolejna batalia sądowa. Wystarczy niewielki błąd w umowie, drobne niedopatrzenie lub uchybienie w procedurach, by bank stanął oko w oko z groźnym przeciwnikiem – sankcją kredytu darmowego

Fot. Andrzej Skwarczyński

STANISŁAW KOCZOT

Nawet wielkie i bogate instytucje popełniają błędy. Z pozoru niewinne, jednak po uważnej lekturze mogą się dla nich okazać brzemienne w skutki. Tak jest z tzw. sankcją kredytu darmowego. Nakazuje on kredytodawcy, czyli np. bankowi, by zwrócił swojemu klientowi wszystkie koszty, w tym odsetki, w przypadku – według art. 45 ustawy o kredycie konsumenckim – „naruszenia praw konsumenta". Z takiego uprawnienia można skorzystać tylko w przypadku kredytu konsumenckiego, czyli zobowiązania finansowego do kwoty nie większej niż 255 550 zł. Sankcja nie obejmuje kredytu hipotecznego.

Katalog praw kredytobiorcy i związanych z nimi uchybień jest dość długi. By zażądać umorzenia odsetek oraz spłaty jedynie pożyczonego kapitału, wystarczy, że w umowie z bankiem zabraknie np. informacji o wcześniejszej spłacie i odstąpieniu od umowy. Ustawa przewiduje dość prostą procedurę ubiegania się o sankcję kredytu darmowego, gdyż wystarczy tylko złożenie odpowiedniego oświadczenia kredytodawcy.

Problem polega na tym, że to na kliencie spoczywa ciężar udowodnienia, że bank popełnił błąd, a banki z reguły się do nich nie przyznają. Oznacza to, że trzeba iść do sądu i przygotować na długi proces.

POTĘŻNY PRZECIWNIK

O sankcji kredytu darmowego przez długie lata prawie nikt nie słyszał, bo w tej materii nic się nie działo. Nic dziwnego, skoro na bitwę z bankowymi prawnikami nie było chętnych. Sytuacja się jednak zmieniła i teraz sankcja to druga po kredytach frankowych linia frontu. Dlaczego? Bo bankom wyrósł potężny przeciwnik, czyli kancelarie prawne specjalizujące się w reprezentowaniu interesów kredytobiorców frankowych. Niektóre działają już od ponad 10 lat, najlepsze mają na koncie ponad 2 tys. wygranych spraw frankowych i są w stanie podważyć nawet te umowy z bankami, które jeszcze kilka lat temu uchodziły za szczególnie trudne.

Kancelarie frankowe to polskie mistrzostwo świata, którego nikt nam nie odbierze. A zarazem żyła złota, która pozwoliła prawnikom osiągnąć gigantyczne zyski, według wyliczeń Związku Banków Polskich z ub.r. przekraczające 4 mld zł.

Biznes frankowy dla kancelarii to wciąż dojna krowa, jednak jego możliwości powoli się kończą. Banki zapanowały już nad falą pozwów (do czerwca 2024 r. zarezerwowały na nie 80–85 mld zł, z czego wykorzystały już ok. 25 mld zł), liczba spraw sądowych dotyczących walutowych kredytów mieszkaniowych też jest z grubsza do przewidzenia: według danych NBP w połowie minionego roku w sądach znajdowało się ich jeszcze ok. 165 tys. (większość na etapie pierwszej instancji), ok. 25 tys. zakończyła się prawomocnym wyrokiem lub sądową ugodą

eprasa.pl ddcc5e7c42

z bankiem, ok. 80 tys. frankowiczów jeszcze nie weszło na drogę prawną i nie wiadomo, czy to zrobią.

SPRAWDŹ NA KALKULATORZE

Za kilka lat powinno być po wszystkim, więc pora na kolejną niszę. Kredyty konsumenckie to jak manna z nieba. Kancelarie wyszkoliły się w kredytach frankowych, nabrały doświadczenia w bojach z bankierami, do tego sprzyja im prokonsumenckie prawodawstwo unijne i nadgorliwość polskiego ustawodawcy, który jest bardziej unijny od samej Unii.

Kredyty konsumenckie to potężny rynek. Obecnie jest ich 18–19 mln. W ub.r. wartość samych kredytów gotówkowych przekroczyła 173 mld zł. Branża kancelarii odszkodowawczych rośnie jak na drożdżach, w internecie w szybkim tempie przybywa reklam pomocy prawnej. W sieci pojawiły się nawet kalkulatory, dzięki którym każdy może sprawdzić, czy jest o co walczyć i o jakie pieniądze.

CHĘTNYCH PRZYBYWA

Kierunek jest więc wyznaczony, teraz pozostaje tylko kwestia zbudowania odpowiedniej masy, która zaleje sądy pozwami. Zjawisku uważnie przygląda się Związek Banków Polskich, gdyż finansiści pamiętają, jak było z frankowiczami: sprawy kredytów walutowych z pozoru wydawały się niewinne i łatwe do wygrania w sądach, po czym okazało się, że banki musiały zapłacić wysoką cenę za swoją nonszalancję.

Według danych zebranych przez ZBP na koniec III kwartału ub.r. w sądach toczyło się ok. 10 tys. spraw dotyczących sankcji kredytu darmowego. Bankowcy szacują, że na koniec 2024 r. liczba ta przekroczyła 11 tys. W 2021 r. było ich zaledwie 100–200.

Spraw będzie przybywać, ponieważ szybko, nawet o 30 proc. kwartał do kwartału, rośnie liczba reklamacji, które są pierwszym krokiem do złożenia pozwu. Do 80 proc. reklamacji jest składanych nie przez klientów, ale pełnomocników i na zasadzie cesji, a to oznacza, że kredytobiorcy przenieśli swoje prawa do wierzytelności na osobę, która będzie ich reprezentowała, sami zadowalając się jakąś kwotą w przypadku zwycięstwa w sądzie.

„Sankcja kredytu darmowego to model biznesowy w działalności niektórych kancelarii" – mówiła Agnieszka Wachnicka, wiceprezes Związku Banków Polskich.

> Według danych zebranych przez ZBP na koniec III kwartału ub.r. w sądach toczyło się ok. 10 tys. spraw dotyczących sankcji kredytu darmowego. Bankowcy szacują, że na koniec 2024 r. liczba ta przekroczyła 11 tys. A warto pamiętać, że w 2021 r. było ich zaledwie 100–200

WĄTPLIWOŚCI DO WYJAŚNIENIA

Na razie ponad 80 proc. spraw jest rozstrzyganych na korzyść banków. Nie wiadomo jednak, czy uda się utrzymać takie proporcje, gdyż sankcja kredytu darmowego zrobiła się na tyle znana i skomplikowana, że sprawa trafiła do Sądu Najwyższego i Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej.

SN będzie musiał rozstrzygnąć kilka kluczowych kwestii, istotnych zarówno z punktu widzenia klientów, jak i banków. Jedna z nich to termin, w jakim można ubiegać się o sankcję kredytu darmowego, bo sądy bardzo różnie go liczą. Według ustawy ma to być rok, ale do końca nie wiadomo, czy od momentu wypłaty środków przez kredytodawcę, jak chcą banki, czy od momentu pełnej spłaty kredytu, jak uważają pełnomocnicy kredytobiorców.

Sprawa w Sądzie Najwyższym jest stosunkowo świeża, gdyż kwestie prawne, które ma on rozstrzygnąć, trafiły do niego 22 stycznia br. Na orzeczenie trzeba więc będzie trochę poczekać.

Znacznie wcześniej, bo już 13 lutego br. w sprawie kilku zagadnień dotyczących sankcji kredytu darmowego ma się wypowiedzieć Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej. Rozstrzygnie m.in. kwestię proporcjonalności kary, gdyż ustawa nie uwzględnia takiego zróżnicowania, a to znaczy, że wystarczy nawet drobne uchybienie, które nie powodowało żadnych konsekwencji dla kredytobiorcy, by sankcja została zastosowana w pełnym wymiarze.

POLSKA NAJBARDZIEJ SUROWA

To jedna z głównych wad sankcji, mocno krytykowana przez środowisko bankowe. Jego zdaniem Polska przyjęła najsurowsze rozwiązania wśród państw członkowskich UE, z szerokim katalogiem obowiązków informacyjnych oraz drakońskimi karami niezależnie od tego, czy skutki błędów banków były duże, czy małe, i czy w jakikolwiek sposób wpłynęły na sytuację konsumenta. Nawet błahe uchybienie w umowie, np. błędna informacja o organie nadzoru (zamiast prezesa UOKiK bank wskazał tylko UOKiK) powoduje nałożenie sankcji.

Według ZBP, który powołuje się na rozwiązania prawne w innych państwach i dotychczasowe orzecznictwo TSUE, Polska nieprawidłowo zaimplementowała przepisy unijne, stosując rozwiązania bardziej rygorystyczne, niż domagała się Bruksela. „Skutkiem tego jest łatwość wykorzystywania tej instytucji przez kancelarie odszkodowawcze, które multiplikują potencjalne zarzuty dotyczące umów kredytowych bez względu na to, czy miały one wpływ na możliwość podjęcia decyzji przez konsumenta" – twierdzi ZBP. Związek przygotował propozycje zmian w prawie dotyczącym sankcji kredytu darmowego.

Niezależnie od tego, jakie decyzje zapadną w Warszawie i Strasburgu, sankcja kredytu darmowego już żyje własnym życiem, dając nadzieje konsumentom i stwarzając spore zagrożenie dla banków. Jeżeli okaże się prawdą, że, jak twierdzą niektóre kancelarie prawne, ok. 9 na 10 umów nadaje się na proces, można się spodziewać fali pozwów i kolejnego wielkiego starcia kancelarii prawnych reprezentujących kredytobiorców z bankami.

eprasa.pl ddcc5e7c42

Kadr z filmu „Daaaaaali!"

SALVADOR DALÍ*

Surrealizm to ja

Ekscentryczny, egocentryczny, wyjątkowy. Geniusz – jak sam o sobie mówił – dla którego życie było teatrem; podkreślający na każdym kroku: „Surrealizm to ja".

Próby uchwycenia nietuzinkowej osobowości Dalego podjął się w Quentin Dupieux – francuski reżyser, scenarzysta, muzyk, tworząc film „Daaaaaali!", który właśnie trafia do naszych kin. Na ekranie w pogoń za nieustannie wymykającym się artystą, przemierzając scenografie i plenery inspirowane jego dziełami, rusza nieporadna dziennikarka. Osobliwą formę i narrację filmowej, momentami mocno absurdalnej opowieści, współtworzy aż pięciu francuskich aktorów, wcielających się w rolę Dalego.

„Daaaaaali!" wchodzi do polskich kin 14 lutego, tymczasem do połowy marca zostaje przedłużona prezentowana w warszawskiej Fabryce Norblina multisensoryczna wystawa „Dalí – Cybernetics". Zwiedzający mają do dyspozycji 800 m² immersyjnej przestrzeni oferującej projekcje audiowizualne, kreację wirtualnej rzeczywistości oraz cyfrowe instalacje artystyczne, w których nieposkromiona wyobraźnia słynnego surrealisty znakomicie się odnajduje.

Pod koniec stycznia ekspozycja została rozbudowana o pokaz „Dalí Universe – zanurz się w świecie mistrza surrealizmu", prezentujący w trójwymiarze pięć prac artysty opartych na motywach zaczerpniętych z obrazów Dalego.

Film i wystawa dopełniają niezwykle barwny wizerunek twórcy, który w wydanej w 1942 r. autobiografii „Moje sekretne życie Salvador Dalí" pisał: „W wieku sześciu lat chciałem zostać kucharką. Gdy miałem siedem – Napoleonem. Odtąd moja ambicja nie przestawała rosnąć, podobnie jak moja mania wielkości".

Salvador Domingo Felipe Jacinto Dalí i Domènech, marqués de Dalí de Púbol urodził się 11 maja 1904 r. w katalońskim mieście Figueres (Hiszpania). Gdy miał niespełna 18 lat, rozpoczął studia w madryckiej Królewskiej Akademii Sztuki (z której dwukrotnie go usuwano, m.in. dlatego, że uważał, iż posiada wyższe kwalifikacje niż jego wykładowcy).

W 1927 r. pierwszy raz spotkał się z Pablem Picassem w paryskim atelier malarza. Rok później na dłużej przeniósł się do stolicy Francji i dołączył do skupionej wokół André Bretona grupy surrealistów, gdzie poznał swoją muzę i przyszłą żonę Galę (Helenę Diakonową). W 1929 r. wraz z reżyserem Luisem Buñuelem zrealizował filmowy manifest surrealizmu – „Psa andaluzyjskiego".

Zafascynowany Zygmuntem Freudem i jego psychoanalizą wielokrotnie odwiedzał Wiedeń. Pod wpływem jego nauki namalował m.in. słynną „Płonącą żyrafę" (1937, sześć lat wcześniej powstała „Trwałość pamięci", czyli tzw. miękkie zegary).

Lata 30. ub.w. to czas podróży po Europie i Stanach Zjednoczonych. W 1933 r. Dalí miał swoją pierwszą indywidualną wystawę w Nowym Jorku. Wkrótce stał się artystą modnym wśród amerykańskich wyższych sfer. Sportretował m.in. Jacka Warnera (współzałożyciela i prezesa wytwórni Warner Brothers). Projektował też dla Coco Chanel. W latach 1939–1944 tworzył okładki dla magazynu „Vogue". W 1945 r. podjął współpracę z Alfredem Hitchcockiem przy filmie „Urzeczona". W efekcie spotkania z Waltem Disneyem powstał (zaprezentowany widzom dopiero w 2003 r.) surrealistyczny krótkometrażowy film animowany „Destino".

Trzy lata po wojnie wrócił do Europy i osiadł w hiszpańskim Portlligat. W 1974 r. w swoim rodzinnym mieście zaprojektował i uroczyście otworzył własne muzeum – Teatro-Museo Dalí.

22 lata wcześniej w „Dzienniku geniusza" pisał: „Żywię niezmienne przekonanie, że wszystko, co ma związek z moją osobą i życiem, jest jedyne w swoim rodzaju i zawsze nacechowane czymś ekspresywnym, wyjątkowym, absolutnym".

Zmarł 23 stycznia 1989 r., ale jego artystyczne wizje i kreacje dobrze odnajdują się w kolejnych współczesnych dekadach.

Wystawa „Dalí – Cybernetics"

Fot. Aurora Films, Art Box Experience

Jolanta Gajda-Zadworna

**hiszpański malarz, surrealista, jeden z najważniejszych artystów XX w.*

eprasa.pl ddcc5e7c42

SŁODKO-SŁONY

ANNA MONICKA

Gorzki smak czekolady

Czasy mamy zabawne. Otóż influencer X, znany z tego, że jest znany, może wmówić dzieciakom, że coś jest im niezbędne do szczęścia. A gdy już to zrobi, jak burza ruszają do sklepów i płacą za jakiś towar kilka razy więcej niż zwykle, ba, nawet licytują na aukcjach opakowania, żeby się pochwalić, że należą do grona wybrańców. Jakiś czas było tak z lodami, dzięki którym moja córka dowiedziała się, co to znaczy kupować spod lady (na szczęście tylko raz, bo gdy spróbowała „przysmaku", wykręciło jej twarz i więcej nie poszła dogadywać się ze sprzedawczynią w naszym osiedlowym sklepiku). Podobnie jest z kosmetykami – przez media społecznościowe przepływają fale. Jeszcze niedawno wszystkie dziewczyny chciały mieć krem czy odżywkę firmy Y, teraz już na tapecie jest marka Z. Kto zawładnie masową wyobraźnią nastolatków, ten jest mistrzem.

Furorę robi np. zielona czekolada nadziewana kremem pistacjowym i chrupiącymi wiórkami ciasta – jeszcze pół roku temu media donosiły, że jest dostępna tylko w ograniczonych ilościach w Dubaju (konieczne musiało być poczucie, że jest luksusowa, prestiżowa, tylko dla orłów), ale gdy podbiła TikToka, okazało się, że można ją kupić nawet u nas na wsi, oczywiście trzy albo cztery razy droższą od normalnej, ale i tak pragnące być na topie małolaty wysupłają pieniądze na tabliczkę tylko po to, żeby wrzucić do sieci filmik, jak ją jedzą. Nikt się nie przejmuje tym, że jest tłusta, kaloryczna, a rynek zalały podróbki.

Tymczasem czekolada może być zdrowa. Najlepiej wybierać gorzką, zawierającą min. 70 proc. kakao. Zanim ją kupimy, warto zatrzymać się przy sklepowej półce i poczytać, co zawiera i czy są w niej składniki niepożądane, takie jak E476 (popularny wypełniacz, tańszy niż kakao, obniża koszty produkcji, może za to powiększać wątrobę), E492 (emulgator, którego nadmiar może opóźniać wzrost), E950 (acesulfam K, czyli bardzo mocny słodzik, który może wyzwalać cukrzycę i zaburzać gospodarkę tłuszczową), czy wreszcie olej palmowy. Warto też zajrzeć na stronę czytajsklad.com. Jest tam sporo informacji o czekoladach – mnie wybitnie poprawiła humor, bo potwierdziła moje wybory. Smacznego!

Fot. Shutterstock

WILCZYM OKIEM

Pokrzywa

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Pokrzywa należy do grupy roślin skromnych, niepozornych i niedocenianych. Czasem jest nawet traktowana z niechęcią i postrzegana jako organizm niespektakularny, do tego parzący. Niewiele osób chce mieć ją w ogrodzie, a jeszcze mniej – całą kępę lub łan pokrzyw. Z rozmaitych powodów jest to błędem.

Jedynym rodzimym gatunkiem jest pokrzywa zwyczajna (*Urtica dioica*). Jej obecność jest znakiem dużej ilości azotu w żyznej glebie. Rośnie nad rzekami, a także w miejscach, w których człowiek użyźnił ziemię różnymi substancjami organicznymi.

Pokrzywa zwyczajna jest rozdzielnopłciowa. Istnieją osobniki żeńskie, jak i męskie, co nie jest częste wśród roślin zielnych. Najłatwiej jest rozróżnić obie płcie w porze kwitnienia: osobniki żeńskie mają kwiaty wiotkie i zwisające, u osobników męskich kwiaty nie zwisają, lecz odstają na boki.

Kwiaty pokrzyw są wiatropylne. Nie potrzebują owadów – to owady potrzebują ich. Pokrzywy są roślinami żywicielskimi gąsienic wielu gatunków motyli, szczególnie z rodzaju rusałek. Jeden wywodzi nawet swą nazwę od uch roślin – to kolorowa rusałka pokrzywnik. Zależność jest bardzo prosta: im mniej pokrzyw, tym mniej motyli. Trzeba wziąć pod uwagę, że o ile gąsienice żerują na pokrzywach, o tyle dorosłe motyle już nie, zapylają natomiast wiele innych roślin, które nie mają zdolności wiatropylnych. Brak pokrzyw w okolicy skutkuje więc zubożeniem różnorodności roślin. I nie chodzi o pojedyncze pokrzywy. Gąsienice rusałek potrzebują obszernych kęp lub jeszcze lepiej ich rozległych łanów.

Pokrzywy były i nadal mogłyby być roślinami użytecznymi dla ludzi. Niegdyś w Danii dostarczały np. włókien do tkania ubrań – z tej perspektywy baśń Andersena o księżniczce ratującej swoich braci zaklętych w łabędzie dzięki utkaniu dla nich koszul z pokrzyw nabiera innego znaczenia. W pokrzywach pokłada się również nadzieje, iż pomogą w schorzeniach reumatycznych, a także są cenione za swój sok.

Obecnie jednak głównych zalet pokrzywy – poza ukrytym w niej prawdziwym pięknie – trzeba upatrywać w wybitnej roli, jaką pełni w utrzymaniu różnorodności przyrodniczej rozmaitych organizmów łaknących łanu pokrzyw.

eprasa.pl ddcc5e7c42

Spisać słowa i czyny

W Polsce trwa pełzający zamach stanu – ogłosił prezes Trybunału Konstytucyjnego Bogdan Święczkowski i złożył do legalnego zastępcy prokuratora generalnego zawiadomienie o popełnieniu przestępstwa przez premiera, ministrów, marszałków Sejmu i Senatu, parlamentarzystów koalicji rządzącej oraz niektórych sędziów i prokuratorów. Za złamanie art. 127 Kodeksu karnego (czyli „zmianę przemocą konstytucyjnego ustroju Rzeczypospolitej Polskiej") grozi nawet dożywocie.

Michał Ostrowski potraktował sprawę poważnie i wszczął śledztwo, w którym zdążył już przesłuchać kilku wysokich urzędników.

Trudno dziś przewidzieć, czym zakończy się ten niekonwencjonalny ruch Święczkowskiego, ale można być pewnym, że nie jest to tylko incydent medialny, lecz sięgnięcie po adekwatną broń w momencie coraz głębszego osuwania się naszego państwa w chaos bezprawia.

Gdy prezes Trybunału rusza na wojnę, jego przeciwnik powinien się obawiać. Dobrze wiedzą o tym choćby przestępcy z mafii VAT-owskich, które Święczkowski skutecznie rozbijał jako szef PK. Dziś zapowiada, że kolejnym etapem jego ofensywy będzie informowanie instytucji i opinii publicznej za granicą o niszczeniu demokratycznego ustroju w Polsce.

Czy premier obawia się ruchu prezesa TK? Udaje, że to po nim spływa, ale musi czuć, że zegar zaczął tykać.

Co zrobią media? Jak będą relacjonować tę sprawę? Te publiczne – polityczny kij w rękach Tuska – wykonają każdy rozkaz. Niewiele dobrego można się też spodziewać po tych wpisanych przez szefa Platformy na listę spółek strategicznych. Są jeszcze te polskojęzyczne, choć podlegające zagranicy, oraz te tradycyjnie wrogo nastawione wobec środowisk konserwatywnych. Razem tworzą pokaźną pulpę personifikowaną w wianuszku zapatrzonych w premiera reporterów stanowiących 90 proc. obecnych na jego konferencjach.

Będą odwracać wzrok od faktu, że ekipa Tuska rzeczywiście podważyła obowiązujący w Polsce ustrój i dalej kryć nielegalne działania w prokuraturze i sądach, niepublikowanie orzeczeń TK, ignorowanie wyroków SN, zabieranie pieniędzy opozycji oraz sędziom Trybunału, siłowe i bezprawne przejęcie mediów celem utrzymania władzy, aresztowania posłów chronionych immunitetem. A to tylko początek listy.

Jednak prokuratora Olszewskiego nie można odwołać bez zgody prezydenta, więc ta sprawa będzie się toczyć nawet przy obstrukcji całego aparatu podległego Tuskowi. I być może będzie musiała poczekać na upadek jego rządów, by zakończyć się aktem oskarżenia. Ale ten dzień nadejdzie.

Kpiny premiera tego nie zmienią. Dzięki nim Polacy lepiej zobaczą, jak niepoważny to człowiek. Niech się skleja wyborcom w pamięci z rakietką do tenisa stołowego i placuszkami od teściowej. Niech wciąż nie dostrzega, jak w oczach większości staje się memem, kłamliwym błaznem opętanym socjopatyczną żądzą zemsty. Niech potęguje rosnącą do siebie niechęć. Polska na tym skorzysta.

Ogłoszenie wszczęcia śledztwa w sprawie zamachu stanu zbiegło się z komunikatem PK o chęci stawiania zarzutów ujawnienia tajemnicy Mariuszowi Błaszczakowi, który w 2023 r. ujawnił plan pierwszego rządu PO-PSL obrony przed ewentualnym atakiem Rosji na linii Wisły, a więc wydania całej Polski wschodniej na los podobny do Buczy czy Irpienia. Idiotyzm ścigania za to polega na tym, że Błaszczak jako szef MON mógł osobiście zdjąć klauzulę tajności z tych dokumentów i to zrobił. Nie złamał zatem żadnych przepisów.

Decyzję w jego sprawie przekazała prokurator Anna Adamiak, która przed laty zignorowała wydany przez prokuratora generalnego Andrzeja Seremeta zakaz współpracy z białoruską prokuraturą i przekazała służbom Łukaszenki dane o opozycjoniście Alesiu Bialackim, co pozwoliło uwięzić go na kilka lat w kolonii karnej. Dziś ta zhańbiona śledcza jest rzecznikiem prasowym nielegalnie powołanego prokuratora krajowego. Lepiej nie mogli wybrać.

To dodatkowy kontekst sytuacji, w jakiej od grudnia 2023 r. tkwimy coraz głębiej. Systemowi Tuska coraz bliżej systemowi do tego w Mińsku i nie zamażą tego żadne zabawy pingpongową piłeczką.

Marek Pyza

eprasa.pl ddcc5e7c42

OGNIEM NA WPROST

Moskal i osły bierze w kamasze

Andrzej Rafał Potocki

Na froncie w armii Federacji Moskiewskiej pojawiły się... osły. Nie chodzi o dowódców, bo ci siedzą tam od początku wojny, tylko o logistykę. „Chłopaki dostali do utrzymania logistyki osiołka. Prawdziwego osiołka. Podzielili się swoją historią, nie szczędząc wulgarnych epitetów" – tłumaczy jeden z rosyjskich kanałów. Na udostępnionym nagraniu widać, że osioł jest trzymany w improwizowanej zagrodzie. Ale sam pomysł nie jest zły. Osły brały udział w kampanii włoskiej 1943/1944 i w bitwie o Monte Cassino, dostarczając zaopatrzenie walczącym na pierwszej linii żołnierzom. Dostawały się tam, gdzie nie mógł przejechać jeep ani tym bardziej ciężarówka. Zwierzęta te mogą wspierać np. transport amunicji, paliwa i zaopatrzenia oraz innych ciężkich przedmiotów. Osły były wykorzystywane m.in. w Bundeswehrze w czasie operacji w Afganistanie. Do dzisiaj muły (skrzyżowanie klaczy konia domowego z ogierem osła) służą w jednostkach górskich w Niemczech, Austrii i Francji. Mimo wielu zalet, wysyłanie tych zwierząt na front ukraiński (teren z większością dróg przejezdnych dla ciężarówek) świadczy o niedoborze pojazdów i innych środków transportu. W ten sposób ruski raczej nie wygra tej wojny.

Na odcinku kurskim nie ma znaczących zmian. Co nie znaczy, że walki wygasły. Operują tam jednostki specjalne i szturmowe, niszcząc poszczególne stanowiska Moskali i hurtowo biorąc ich do niewoli. Wołczańsk – bez zmian. Na Ukrainie zaczęły się pokazowe procesy dwóch generałów i pułkownika dowodzących tym odcinkiem w przededniu ataku Kacapów. Zarzuty są kretyńskie, ale publika chce mięsa. W każdym razie wygląda to jak odwracanie uwagi od błędów i nieudolności władzy cywilnej. Na północ od Kupiańska sytuacja się sypie i to po całości. Okazało się, że mimo działań ofensywnych rosyjskiej 1. Armii Pancernej w ub.r., nikt nie przygotował tu linii obronnych. Nie wiadomo, na co liczono. Natarcie w rejonie zalewu na Żerebcu na razie przystopowało. Atak idzie na Terny i Jampoliwkę. Bez ich zajęcia i opanowania przesmyku pod Myrne przyczółek może jeszcze zostać zlikwidowany. Moskale kontynuują oskrzydlanie Pokrowska, dążąc do odcięcia drogi zaopatrzenia dla Konstantynówki. Czasiw Jar i Torećk – w zasadzie koniec epopei. Moskale doczyszczają teren. Teraz zacznie się walka o Konstantynówkę. Jeśli tempo rosyjskich działań będzie tu takie, jak w Czasiw Jarze i Torećku, to być może dotrą do miasta za rok.

W Moskwie doszło do potężnej eksplozji w luksusowym kompleksie mieszkalnym Szkarłatne Żagle. Prawdopodobnie celem ataku był założyciel ormiańskiego batalionu Arbat, prorosyjski polityk Armen Sarkisjan vel Gorłowski. Z informacji podawanych w mediach wynika, że trzy osoby zostały ranne, a dwie zginęły, w tym Sarkisjan. Formalnie był on szefem Związku Bokserskiego tzw. Donieckiej Republiki Ludowej, a nieoficjalnie politykiem ormiańskiego pochodzenia, który formował kolaborancki batalion Arbat, podlegający resortowi obrony. Został wysłany na wojnę w lipcu 2023 r. Ma się składać z rosyjskich i abchaskich Ormian oraz ochotników z Armenii. Arbat brał udział w zdobywaniu Awdijiwki na przełomie 2023 i 2024 r. Prawdopodobnie jest to formacja kadrowa, nieliczna, głównie o znaczeniu propagandowym, wskazującym, że Ormianie popierają Rosję. Z tego powodu jest traktowana przez Erywań jako formacja antypaństwowa, a jej członkowie są oskarżani o próbę wywołania przewrotu pałacowego w kraju. Część osób powiązanych z Arbatem aresztowano w Armenii.

30 stycznia w Kijowie z honorami wojskowymi pożegnano Polaka, 19-letniego Filipa Antosiaka, który zginął w okolicach Pokrowska w obwodzie donieckim. Służył w 25. Brygadzie Powietrznodesantowej. „Ten chłopak był naprawdę zaangażowany w to, co robił. Takich ludzi rzadko się dzisiaj spotyka" – wspomina towarzysz broni dzielnego Polaka. „Był bardzo dumny z tego, że pomaga ludziom w tym kraju. Mówił o tym zawsze, kiedy do nas dzwonił. W pierwszym liście, który do nas napisał, gdy wyjechał na Ukrainę, przepraszał, że oszukał nas po raz pierwszy w życiu, ale taki miał plan – wyznał ojciec Filipa Marcin. – Jest nam bardzo ciężko, jesteśmy bardzo dumni z naszego dziecka" – podkreślił. Jego rodzicom wręczono Świadectwo Zasługi i Odwagi podpisane przez naczelnego dowódcę Sił Zbrojnych Ukrainy gen. Ołeksandra Syrskiego. Pożegnanie Polaka odbyło się w soborze Michajłowskim, skąd jego ciało przewieziono na Majdan Niepodległości w centrum ukraińskiej stolicy. Nad trumną, która była okryta flagami Polski i Ukrainy, odegrano hymny obu krajów. Zostanie pochowany w Łowiczu. Cześć i chwała bohaterom!

Współpraca: „Skipper"

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl ddcc5e7c42

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Politpoprawna szczerość

Aleksander Nalaskowski

Czy szczerość jest cnotą, czy raczej niebezpiecznym darem, który niekiedy może prowadzić do konfliktów i nieporozumień? Od dziecka słyszymy, że powinniśmy mówić prawdę, a kłamstwo jest czymś złym. Jednak kiedy dorastamy, szybko przekonujemy się, że świat nie jest czarno-biały, a szczerość, choć wartościowa, bywa niebezpieczna. Sam się o tym przekonałem kilka lat temu, gdy szczerze napisałem, co sądzę o tzw. paradach równości. W ten sposób zostałem wrogiem mojej Alma Mater.

Nie sposób nie zauważyć, że w dzisiejszym świecie szczerość często przegrywa z dyplomacją i taktyką. W relacjach międzyludzkich balansujemy na cienkiej granicy między prawdomównością a delikatnością. Mówienie wprost tego, co myślimy, bywa odczytywane jako brak taktu, a jednak unikanie prawdy może prowadzić do nieporozumień i fałszywych relacji. Czy więc lepiej mówić prawdę, ryzykując konflikty, czy raczej owijać ją w bawełnę, aby nie urazić rozmówcy? Dotykamy tu zjawiska niezwykle niebezpiecznego i krzywiącego prawdę, a mianowicie poprawności politycznej. Co ciekawe, owa poprawność polityczna pojawia się w sferze opisu obyczajów. Słowa dewiant, homoseksualista albo zboczeniec zostały zastąpione przez neutralnie brzmiącego geja i biada temu, kto ośmieliłby się ich użyć publicznie. Zostanie tak szczelnie owinięty tęczową flagą, że straci oddech.

Współczesny świat, pełen filtrów w mediach społecznościowych i wyreżyserowanych uśmiechów, zdaje się nie sprzyjać szczerości

Na scenie politycznej poprawność obowiązuje mniej. Ale w jedną stronę. Marsz Niepodległości można zatem nazwać marszem faszystów czy nazioli. Nikomu za to włos z głowy nie spadnie. Za to wyrażenie niechęci czy krytyki pod adresem Owsiaka skutkuje niemal natychmiastowymi represjami ukazującymi gorliwość i determinację policji.

Na odrzuceniu politycznej poprawności polegał m.in. sukces Trumpa, który mówił to, co myśli, a myślał, jak chciał. Postawił on na pragmatyzm oraz szczerość i miażdżąco wygrał. Postawił na wytęsknioną przez lwią część Amerykanów normalność i stał się ich prezydentem, chociaż wieloma sposobami próbowano go zniszczyć.

Filarem politycznej poprawności jest eufemizm. W ten sposób partyjny zamordyzm nazwano demokracją walczącą, a podeptanie konstytucji jej interpretacją.

Polityczna poprawność nie dotyczy Donalda Tuska. Z tego powodu, że jest on królem, a może i cesarzem kłamstwa. Kłamie bez zmrużenia oka i na każdy temat. Zblatowany z nim aparat partyjny i betonowy elektorat nic sobie z tego nie robią, bo idzie wszak nie o prawdę, ale o to, by PiS nie wróciło do władzy. Tutaj nie ma racjonalności, jest natomiast emocjonalna mina. Polityczna poprawność nie realizuje się zatem w kłamstwie. Natomiast obecny premier czuje się w fałszu jak ryba w wodzie.

Współczesny świat, pełen filtrów w mediach społecznościowych i wyreżyserowanych uśmiechów, zdaje się nie sprzyjać szczerości. Częściej mówimy to, co inni chcą usłyszeć, zamiast tego, co rzeczywiście myślimy. Być może dlatego tak rzadko spotykamy ludzi autentycznych, a jeśli już na nich trafiamy, bywają dla nas zaskakująco odświeżający – lub wręcz przeciwnie – niewygodni. To ostatnie zależy od tego, na ile potrafimy mierzyć się z prawdą. Wcale nie jest to takie oczywiste. W niektórych obszarach wręcz pragniemy wiedzieć fałszywie i chcemy być okłamywani. Kłamstwo ma jednak krótkie nogi, więc także nasze dobre samopoczucie oparte na nim jest krótkotrwałe i fałszywe.

Naukowi przeciwnicy politycznej poprawności widzą w niej narzędzie represji i ograniczania swobody wypowiedzi. W ich opinii język jest żywym organizmem, który ewoluuje w sposób naturalny, a nie pod presją regulacji i społecznego aktywizmu. Nadmierna poprawność prowadzi do absurdu, każdy może poczuć się urażony jakimkolwiek sformułowaniem, a twórcy kultury czy dziennikarze stosują autocenzurę w obawie przed oskarżeniem o „mowę nienawiści". Krytycy wskazują również, że nadmierna poprawność tworzy podziały, zamiast je niwelować – ludzie zaczynają się bać szczerej debaty, a prawdziwe problemy społeczne schodzą na dalszy plan w obliczu językowych sporów. To polityczna poprawność każe nam używać feminatywów, które dotąd zupełnie nie były potrzebne, każe używać absurdalnych sformułowań typu „osoba studencka". Mniej lub bardziej biernie ulegamy takim dyrektywom, co widać zwłaszcza na uczelniach. Tym samym wyrażamy zgodę na idiotyzm wyniesiony do rangi wskaźnika równości.

Przyjdzie czas, że rozliczymy sprawców gospodarczej, ekonomicznej i obyczajowej degrengolady Polski. Gangsterskie metody Tuska, Bodnara, Sienkiewicza i wielu innych zostaną spisane, a ich sprawcy pójdą siedzieć. Ale kto naprawi szkody językowe, kto odpowie za klęskę polszczyzny w debacie publicznej?

eprasa.pl ddcc5e7c42

Michał Korsun prezentuje:
Lepszy Tusk w ping-ponga niż „w politykę”

Wycinki z przeszłości

Stanisław Marusarz ustanowia rekord na skoczni na Krokwi w Zakopanem, skokiem 72 m.

Zimą 1932 r. „Tygodnik Ilustrowany” relacjonował konkurs skoków narciarskich w Zakopanem. Czytamy: „Zawody te były ważnym etapem na drogach rozwoju olbrzymiego ruchu narciarskiego w Polsce. Pierwszy etap stanowiły po raz pierwszy u nas urządzone w roku 1929 mistrzostwa międzynarodowej federacji narciarskiej. Zdaliśmy wówczas egzamin i pod względem poziomu organizacji, i pod względem czysto sportowym. Od tego czasu pomnożyły się szeregi zwolenników tego najwspanialszego sportu bodaj kilkakrotnie. A w szeregach sportowców, zwłaszcza w Zakopanem, poczęły się pojawiać, urastać i dojrzewać nowe talenty”.

Wkrótce słowa te zostały potwierdzone przez wielkie sukcesy widocznego na zdjęciach Stanisława Marusarza, którego trzy lata temu przypomniał film „Marusarz. Tatrzański Orzeł”. Przydałby się podobny o barwnej postaci Zofii Stopkówny, która po wojennej przerwie wznowiła karierę. Zginęła tragicznie w 1956 r. pod lawiną śnieżną. ***(mk)***

Narciarska mistrzyni Polski na r. 1932 Zosia Stopkówna — SNTW Zakopane.

Narciarski mistrz Polski na r. 1932, najlepszy skoczek polski Stanisław Marusarz

Z WOLEJA

„Bić Ruskich”: kibice, lizusy i cenzorzy

Ryszard Czarnecki

Daniel Olbrychski oburzał się kiedyś na polskich kibiców, że na meczach naszych siatkarzy z Rosją ośmielają się gwizdać, gdy zagrywają przeciwnicy. Cóż, zatęsknił chyba za czasami PRL – wtedy w przerwie meczu piłkarskiego Dynama Tbilisi z reprezentacją klubów górniczych władze potrafiły interweniować, aby Polacy, którzy po pierwszej połowie prowadzili po bramce Gerarda Cieślika 1-0, za wszelką cenę nie wygrali meczu! Było to we Wrocławiu w 1951 r. i oburzyło nawet związanego z reżimem pisarza Jerzego Putramenta, który opisywał, że w przerwie polsko-sowieckiego pojedynku „zebrała się egzekutywa Komitetu Wojewódzkiego [...], coś tam graczom szepnięto, mecz skończył się remisem albo nawet »politycznie słusznym« zwycięstwem gości”. Podobny mecz tegoż klubu z ZSRR w Warszawie sędziowany był przez... sędziego z Sowietów, ponieważ, jak ogłoszono przez megafony, „radzieccy sędziowie piłkarscy reprezentują najwyższy poziom i najbardziej postępowy kierunek sędziowania” (!). No i stało się: każda decyzja sędziego przeciwko Polakom wywoływała nie tylko burzę gwizdów, na boisko leciały też kamienie, puste butelki, jabłka i ogryzki. Kibice krzyczeli, że „polskim graczom specjalnie nie kazali wbijać bramek” i że wszystko to „lipa”.

Ta reakcja kibiców w stolicy nie była specyficzna dla „miasta nieujarzmionego”. W Katowicach na meczu pięściarskim Śląsk-ZSRR 15 tys. widzów skandowało: „Bierzcie zegarki i rowery – idźcie do jasnej cholery”.

Olbrychskiemu musiało się podobać, jak cenzor interweniował, zatrzymując blok wiadomości w Polskim Radiu tylko dlatego, że w informacjach sportowych podano, iż „młodzieżówka ZSRR będzie przeciwnikiem polskiego zespołu”. Reprezentant cenzury grzmiał, że „reprezentacja młodzieży Związku Radzieckiego nigdy nie była, nie jest i nie będzie przeciwnikiem polskiej drużyny!”.

To wszystko działo się w najtrudniejszym okresie stalinizmu. Także wtedy rozgrywano w Warszawie pięściarskie mistrzostwa Europy, gdzie nasi lali ruskich, aż miło. Zdobyliśmy pięć złotych medali, a ZSRR tylko dwa. Maria Dąbrowska pisała: „Entuzjazm dla zawodników polskich wyrażany krzykiem i oklaskami można porównać do huku morza w czasie sztormu. To było ogłuszające. A kiedy po piątym zwycięstwie tłum zaczął gromowym głosem »Jeszcze Polska nie zginęła« – i śpiewał, jak my nigdy nie śpiewamy, łzy pociekły mi z oczu. [...] była to wielka demonstracja patriotyzmu”.

Cóż, wiadoma sprawa: bić ruskich to rzecz i przyjemna, i pożyteczna...

OD A DO ZYBERTOWICZ

Anomalie oraz „anomalie”

Bliskie związki elit państwa i biznesu nie są niczym nowym. Oligarchie jako mechanizm władzy są stare jak świat

Od połowy stycznia przed świtem regularnie budzi mnie przepiękny śpiew kosa. Początkowo myślałam, że to sen. Nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek w styczniu słyszała takie trele. A jednak każdego poranka do koncertującego kosa dołączają inne ptaki.

Anomalia styczniowych ptasich koncertów to efekt wyjątkowo ciepłej zimy w tym roku. Czy oznacza to, że ta pora roku już się skończyła? Ludowe porzekadło przestrzega: „Gdy ptaki w styczniu śpiewają, w maju dzioby im przymarzają”. Mało optymistyczne.

LUDZIOM JEST DOBRZE, ALE…

W świecie społecznym również wystąpiły anomalie. Powołując się na najnowsze dane ekonomiczne, portal gospodarczy Money.pl, podaje, że Polacy zarabiają obecnie więcej niż kiedykolwiek wcześniej, że po jesiennej wstrzemięźliwości konsumpcyjnej kupujemy coraz więcej. Że siła nabywcza pieniądza jest wysoka, bezrobocie niskie, towarów nie brakuje. No i co? Raczej klops, nastroje rodaków są dalekie od optymizmu.

Dziennikarz zastanawia się, czy jest możliwe, żeby wskaźniki gospodarcze nie były dobrze policzone. Chyba nie. Komentatorzy próbują wyjaśnić tę „anomalię”. Jeden z socjologów mówi, że nie cieszymy się aktualnym dobrostanem, bo nazbyt dobrze pamiętamy wcześniejsze kryzysy i obawiamy się, że dobra passa nie potrwa długo.

A mnie coś mówi, że zagrożenia dla ładu społecznego wytworzone przez dualizm prawny polityki premiera Donalda Tuska i ministra sprawiedliwości Adama Bodnara po prostu złowieszczo wiszą w powietrzu. Czy w takiej atmosferze można spokojnie cieszyć się życiem?

NOWA OLIGARCHIA

Pod koniec stycznia br. anomalie (?) większego kalibru opisał tygodnik „Polityka”. Dolina Krzemowa diametralnie zmieniła kurs. Elon Musk, Jeff Bezos, Mark Zuckerberg i inni przedstawiciele big tech już nie wspierają demokracji liberalnej. Ruszyli z Trumpem, by odbudowywać Wielką Amerykę. To dopiero niebezpieczne odchyłki! Sojusz prezydenta USA z właścicielami gigantów technologicznych to „zapowiedź fundamentalnej zmiany w mechanizmach władzy, narodzin nowej globalnej oligarchii” – przestrzega redakcja w tekście o niebezpiecznym „nawróceniu” technokratów.

Bliskie związki elit państwa i biznesu nie są niczym nowym. Oligarchie jako mechanizm władzy są stare jak świat. Ale gdy u władzy był Joe Biden, a takie platformy jak Twitter i Facebook mniej lub bardziej skrycie manipulowały na korzyść jego administracji, to polskie liberalne media nie były aż tak poruszone jak obecnie. Ówczesnej oligarchii nie porównywano do tej rosyjskiej.

Podwójne standardy dotyczą także podobnych zjawisk występujących w Unii Europejskiej. Tu także na bieg zdarzeń wpływa sojusz władzy i biznesu. Nie tylko na Wschodzie istnieją kłopoty z przejrzystością finansową. Nawet fundusze unijne bywają przedmiotem korupcji.

W Niemczech od dekad istnieją silne powiązania między politykami a dużymi korporacjami, zwłaszcza w sektorze motoryzacyjnym. Zostały one obnażone przy okazji skandalu Dieselgate z 2015 r. Wielki koncern Volkswagena manipulował testami emisji spalin, wpływając na politykę i wprowadzane regulacje. Inny przypadek to sprawa austriackiego lobby energetycznego z 2021 r. Dochodzenia wykazały, że austriackie firmy OMV, Verbund oraz Wien Energie miały poważny, nietransparentny wpływ na decyzje polityczne. Dobrze pamiętamy skandal korupcyjny Katargate, który wybuchł w grudniu 2022 r. i dotyczył oskarżeń o przekupstwo i pranie brudnych pieniędzy. Jedną z bohaterek tej afery była Ewa Kaili, ówczesna wiceprzewodnicząca Parlamentu Europejskiego. Ale to nic, bo przecież walczyła o praworządność w naszej części świata, od 2016 r. głosując za niemal wszystkimi rezolucjami dotyczącymi rzekomego łamania praworządności w Polsce.

Zanim damy się ponieść narracji o globalnych technomagnatach, którzy dopiero teraz zagrażają demokracji, zastanówmy się, czy rzeczywiście mamy do czynienia z czymś nietypowym i niecodziennym.

Ale ptaki śpiewające w styczniu mnie martwią. Oby mróz, który przecież może jeszcze przyjść, nie był siarczysty.

Katarzyna Zybertowicz

Autopromocja x2

eprasa.pl ddcc5e7c42

wPolsce 24 / BUDZIMY SIĘ

codziennie od 7:00 rano

GDZIE NAS OGLĄDAĆ:

52	192	32	825	196	65	459
telewizja naziemna	netia	orange	vectra	polsat box	PLAY dawniej UPC	inea

eprasa.pl ddcc5e7c42

„Polska to jest wielka rzecz”

Stanisław Wyspiański

Wesprzyj patriotyczne media

wPolsce24

Dane do wpłat:
Fratria Sp. z o.o.

Konto do wpłat z Polski:
69 1020 4900 0000 8202 3036 2577

Konto do wpłat zagranicznych:
BIC (SWIFT): BPKOPLPW
PL69 1020 4900 0000 8202 3036 2577

w tytule: **DAROWIZNA**

Twoje dane osobowe będą przetwarzane zgodnie z polityką RODO

eprasa.pl ddcc5e7c42